



Heaven
Miasto elfów

Christoph Marzi

Christoph Marzi

HEAVEN
Miasto elfów

przełożyła
Ewa Spirydowicz

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Tytuł oryginału: *Heaven. Stadt der Feen*

Projekt okładki: *Frauke Schneider*

Redakcja: *Jacek Ring*

Redakcja techniczna: *Karolina Bandykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Kamil Kowalski*

© 2009 Arena Verlag GmbH, Würzburg, Germany

www.arena-verlag.de

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Ewa Spirydowicz

ISBN 978-83-287-0115-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2016

Wydanie I

Catherinie, która jest dość duża, by to przeczytać,
oraz Lucii i Stelli, które muszą jeszcze trochę poczekać.

When there's hardly no day

nor hardly no night

There's things 'alf in shadow

and 'alf way in light

On the rooftops of London

coo, what a sight![]*

Richard M. Sherman i Robert B. Sherman
Chim Chim Cher-ee,
piosenka z musicalu *Mary Poppins*

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1 – JAK POD OSŁONĄ NOCY WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO

ROZDZIAŁ 2 – ŹLI LUDZIE

ROZDZIAŁ 3 – THE OWL AND THE PUSSYCAT

ROZDZIAŁ 4 – PIERWSZY PORANEK

PIERWSZE INTERLUDIUM – PAN QUILP

ROZDZIAŁ 5 – CUDZE ŻYCIE, NAGLE TAK BLISKIE

ROZDZIAŁ 6 – MUZYKA SFER

DRUGIE INTERLUDIUM – PAN MICKEY

ROZDZIAŁ 7 – POCZTÓWKI Z INNEGO ŚWIATA

ROZDZIAŁ 8 – FITZROY TAVERN

ROZDZIAŁ 9 – CMENTARZ HIGHGATE

ROZDZIAŁ 10 – ALEJA EGIPSKA

ROZDZIAŁ 11 – WIELKIE NADZIEJE

ROZDZIAŁ 12 – PAPLANINA

ROZDZIAŁ 13 – MARTWI ZŁODZIEJE SERC

TRZECIE INTERLUDIUM – ODWIEDZINY

ROZDZIAŁ 14 – MIASTO UPADŁYCH ELFÓW

CZWARTE INTERLUDIUM – SCROOGE

ROZDZIAŁ 15 – LODOWATY CHŁÓD

ROZDZIAŁ 16 – PASAŻER NA GAPE

ROZDZIAŁ 17 – LONDON EYE

EPILOG

POSŁOWIE

PROLOG

Noc, podczas której Heaven straciła serce, była zimna i bezksiężycowa. Za to ostrze, które wycięło serce z jej ciała, było ciepłe od jej ciemnej krwi. Zagubione, przerażone, bijąc jak oszalałe, serce odbijało się w srebrzystej stali sierpowatego ostrza. Dłonie w czarnych rękawiczkach z gładkiej skóry uniosły serce przed twarz, na której malowało się wyraźne zadowolenie.

Mężczyzna, który tej nocy nie po raz pierwszy ukradł czyjeś serce, skinął na skuloną postać do tej pory trzymającą się z dala.

Znajdowali się na dachu, a silny wiatr sprawiał, że dymy z licznych kominów poruszały się w ciemności jak żywe postacie. Dach pokryty ciemną dachówką stanowił część domu przy Phillimore Place 16, między Holland Park a Kensington Gardens. Rozciągał się z niego piękny widok na miasto, jednak żaden z dwóch mężczyzn nie zwracał na to uwagi. Obaj wpatrywali się w ciało leżące nieruchomo u ich stóp.

Dziewczyna była młoda. Jej kruczoczarne włosy straciły blask w kałuży pokrywającej dach. W ciemności jej skóra lekko połyskiwała. Po policzkach spływały łzy.

Większy z mężczyzn, znany w każdej dzielnicy Londynu pod innym nazwiskiem, wybrał się tego wieczoru do Chelsea po serce. Przez dwie godziny śledził dziewczynę od Wilton Crescent. Łachmaniarz, który warował przy nim jak stary zaniedbany pies, podjął trop przy Sloane Square i od tej chwili jej los był przesądzony. Dziewczyna, a właściwie młoda kobieta (w dawnych czasach w okolicach Hampstead Heath określono by ją zapewne mianem panienki), była sama; bez wyraźnego celu włóczyła się po ulicach. Wędrowała Brompton Road, u Harrodsa oglądała wystawy, w Bunch of Grapes wzięła jedzenie na wynos. Potem skręciła na północ, w stronę Kensington Gardens, ale zamiast wejść do parku, zboczyła w kierunku Notting Hill. Przy stacji kolejowej High Kensington spotkała grupę nastolatków – chyba się znali. Wymienili kilka banałów (nic z tego, co mówili, nie interesowało jej szczególnie) i wtedy jeden z nich, młody mężczyzna z herbem ekskluzywnego prywatnego college'u na krawacie, zawołał ją po imieniu: Heaven.

Nocny tropiciel, mający świetny wzrok i słuch, uznał, że to dziwne imię dla młodej kobiety, ale nie łamał sobie głowy nad znaczeniem imion i tym podobnymi sprawami, to nie było jego zadanie. Imię to jedynie zasłona dymna, marny ślad. Jemu chodziło wyłącznie o jej serce.

Dziewczyna zatrzymała się przy budynku przy Phillimore Place 16 i spojrzała w górę, a potem dotknęła klamki. Czyli chciała wejść do domu, w którym nie miała czego szukać. Pchnęła drzwi.

Łachmaniarz i pan Drood, jak przedstawiał się olbrzym w dzielnicy Kensington, obserwowali to wszystko uważnie. Pod osłoną nocy szli za nią jak drapieżnicy. Przez drzwi, do środka, na schody i dalej, na dach.

Z plecaka, który miała ze sobą, wyjęła podłużny przedmiot. Teleskop, który błyskawicznie ustawiła na dachu. Stała tam i wpatrywała się w niebo. Tu przynajmniej były na nim gwiazdy.

A potem pan Drood i łachmaniarz znaleźli się tuż przy niej. Nie słyszała, jak się skradali. Nikt ich nigdy nie słyszał. Poruszali się w nocy jak koty. Gdy ktoś potrzebował potajemnych usług, przyzywał Drooda, czy jak się tam akurat nazywał w danej dzielnicy, szeptem powierzał mu zadanie, które ten wykonywał. Kradzież serc to jedna z jego specjalności.

Drood był przebiegły, zawsze pracował z kimś, kto umiał zwietrzyć zwierzynę. Ten łachmaniarz lada chwila się rozsypie, będzie sobie musiał poszukać nowego.

Cóż, na cmentarzach ich nie brakuje.

Życie bywa takie proste, pomyślał. Dziwne, że poza nim nikt tego nie dostrzega.

Na jego wąskie wargi wypełził uśmiech i Drood spojrział na serce w dłoni. Wyglądało tak samo jak inne, które kradł już wcześniej. Wycinanie go z ciała sprawiło mu przyjemność. Jako młody chłopak sprzedawał handlarzom w Whitechapel kocie skórki; już wtedy posługiwał się tym samym nożem. Zleceniodawca będzie zadowolony. Zawsze był zadowolony z jego usług.

Już kilka razy załatwiał serce. Dziewczyna była ostatnią ofiarą. Drood wiedział, że zleceniodawcy nie interesuje pierwsze lepsze serce. Sam wybór wymagał nie lada cierpliwości. Stąd łachmaniarz. Serce musi być zdrowe, nieszczęśliwe byłoby do niczego. Martwi mają nosa do żywych serc, w których gości szczęście. Pewnie dlatego, że sami nie żyją i tęskno im za żywym, ciepłym, bijącym sercem.

Ten tutaj zrobił to, czego chciał Drood. Znaleźli serce, Drood wydobyl nóż, zrobił głębokie nacięcie i je wyjął. To proste, a im częściej się to robi, tym staje się łatwiejsze.

Heaven nie była wyjątkiem.

Ale potem stało się coś, co do tej pory nigdy się nie zdarzyło. Coś, co właściwie nie miało prawa się stać.

Młoda kobieta, która jeszcze przed chwilą leżała nieruchomo na dachu i umierała (tak jest, umierała, co do tego Drood nie miał cienia wątpliwości), tak więc ta młoda kobieta o dziwnym imieniu Heaven i jeszcze dziwniejszym nawyku zakradania się na cudze dachy, skąd obserwowwała niebo, po prostu kolejna ofiara... poderwała się na równe nogi i zaczęła uciekać.

Drood gapił się z niedowierzaniem, bo jeszcze nigdy nie widział czegoś

takiego. Nikt nie uciekał, kiedy wydarto mu serce z piersi.

Oprócz Heaven.

Walczyła o życie.

Drood przyglądał się jej ze zdumieniem, ale bez niepokoju. Nie było sensu jej gonić. Miał to, czego chciał.

A łachmaniarz to dobry tropiciel, ale kiepski myśliwy. Od zbyt dawna nie żył, by dotrzymać jej kroku. Bo też zazwyczaj człowiek bez serca nie ucieka, doszedł do wniosku Drood.

Jakby chcąc się upewnić, że zrobił wszystko jak należy, spojrzął na serce w swojej dłoni, a potem pokręcił głową i wsunął je do sporego skórzanego worka, który specjalnie w tym celu zamówił u pewnego londyńskiego kuśnierza.

Łachmaniarz wydał dźwięk przypominający suchy kaszel.

– Mamy, czego nam trzeba – rzucił do niego Drood. Ale ten, w ubraniu oblepionym zaschlą ziemią, milczał. Odprowadzali dziewczynę wzrokiem, a gdy znikła w ciemności, poszli swoją drogą. Bo noc była jeszcze młoda, a zadanie, które sprowadziło obu do Kensington, jeszcze nie zostało do końca wykonane.

ROZDZIAŁ 1

JAK POD OSŁONĄ NOCY WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO

Nie po raz pierwszy wędrował nocą i dobrze znał dachy w tej okolicy. Często wybierał właśnie tę drogę, wśród rynien i dachówek; bywały takie dni (albo noce), że tędy było po prostu szybciej.

David Pettyfer owinął sobie szyję długim szalikiem, postawił kołnierz starej poplamionej skórzanej kurtki, zarzucił torbę na ramię, po raz ostatni sprawdził, czy cenna przesyłka jest dobrze zabezpieczona, a potem wyruszył w noc. Lubił te nocne wędrówki, bo miasto wyglądało wtedy zupełnie inaczej niż w blasku słońca. Niezliczone światła wypełniały wąskie uliczki swoistą magią, zaułki mieniły się w mżawce i mgłę, tak typowych dla Londynu. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, zabrudzone, jakby bajki, w które wierzyło się w dzieciństwie, nagle stały się opowieściami dla dorosłych.

Lubił zapach miasta.

Lubił Londyn.

Nigdy nie przywykł tylko do jednego: tego kawałka bezgwiazdnego nieba nad miastem. Odkąd sięgał pamięcią, ciemny skrawek firmamentu był dla wszystkich zagadką, ponieważ jednak nikt nie potrafił jej rozwiązać, ludzie z czasem dali sobie spokój z szukaniem wyjaśnienia, tylko on jakoś nie mógł. Jego przyjaciel Mike ciągle z niego drwił z tego powodu.

David odgarnął ciemne niesforne włosy z twarzy i czoła, aż zaczęły zabawnie sterczeć. Nad katedrą St. Paul królowała nieprzenikniona ciemność, nieba nie rozjaśniała nawet jedna gwiazda.

Z Kensington High Street, z poziomu ulicy, dobiegał wieczorny koncert klaksonów. Prawdziwa muzyka nocy, takie przynajmniej odnosiło się wrażenie.

David wyszukiwał drogę wśród rynien i dachówek; szczególną uwagę zwracał na zaśnieżone lub wyszlizgane miejsca. Tu, jak wszędzie poza centrum Londynu, na niebie lśniły gwiazdy i jaśniał księżyc. Nie tylko dlatego lubił te nocne wędrówki.

Póki nie został posłańcem, nie miał pojęcia, że wysoko nad dachami Londynu mieszka tyle osób. To był oddzielny świat, z własnymi drogami, drabinami, kominami, wąskimi przejściami i wykuszami, które służyły jako mosty.

Z czasem stał się częścią tego świata. Znał klatki schodowe, otwarte w dzień i w nocy, i drzewa, po konarach których można było przejść na drugą stronę ulicy. Ale tu na górze czyhały także pułapki. Wystarczył jeden niewłaściwy krok, by runąć w przepaść.

Rozpędził się i przeskoczył na kolejny dach. Jak zawsze miał na nogach czerwone trampki. Poza tym był ubrany na czarno – czarne dżinsy, pasek, sweter – wszystko. Też jak zawsze.

Jego klient już się na pewno niecierpliwi. Bezcenny skarb, który niósł, to francuskie wydanie *Narzeczonej z Lammermooru* sir Waltera Scotta z 1886 roku wydawnictwa Firmin-Didot, z ilustracjami Browna, Godefroya i innych rysowników. Kurier UPS przywiózł ją wieczorem do antykwariatu wraz ze stertą dokumentów. A panna Trodwood, właścicielka sklepiku The Owl and the Pussycat, uparła się, że David musi dostarczyć książkę jeszcze tego wieczoru. Klienci zamawiający takie pozycje nie chcą długo czekać.

Pojechał metrem do stacji Kensington High Street, ale resztę drogi wolał pokonać piechotą, właśnie tędy, górą. Nie przepadał za metrem, bo w jego tunelach odnosił wrażenie, że został żywcem pogrzebany pod ziemią. Wolał włóczyć się po dachach, trasami kominiarzy, na świeżym powietrzu, tam gdzie mógł swobodnie myśleć.

Dzisiaj było mu to szczególnie potrzebne, bo chciał w końcu zapomnieć o czymś, co od wielu dni nie dawało mu spokoju. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jego problemy to nie tragedie na skalę światową ani sprawy wielkiej wagi.

Nie, to, co go dręczyło, było w gruncie rzeczy bardzo banalne i zapewne podobne rozterki przeżywa każdy nastolatek.

Miał siedemnaście lat i od dwóch miesięcy był w związku, który trudno nazwać szczęśliwym, po prostu nie kochał tej dziewczyny. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że BBC mogłaby spokojnie nakręcić o tym film i wyszedłby niezły melodramat, na tyle dobry, że pod względem oglądalności konkurowałby z *EastEnders*, ale nie chciał nadawać tej sprawie większego znaczenia, niż na to zasługiwała.

Popełnił błąd. Kelly także.

Z głośnym stęknieniem wylądował na dachu domu przy Phillimore Walk, minął komin i pobiegł dalej po stromej płaszczyźnie.

Kiedy tak biegł dachami, dotarło do niego, że właściwie cały czas balansuje nad przepaścią, że wystarczy jeden nieostrożny krok, a straci równowagę i runie w otchłań, tam, na ulice, gdzie ludzie są tylko małutkimi punkcikami, które jak mrówki zmierzają w sobie tylko znanym kierunku. Miał świadomość, jak niewiele dzieli go od przepaści, i doszedł do wniosku, że najwyższy czas znowu poczuć grunt pod nogami. A to oznaczało, że musi unikać Kelly Robertson.

Zatrzymał się, odetchnął pełną piersią.

Gałęzie nagich drzew, w lecie tak zielonych, że chwilami wydawało się, iż wysoko nad miastem wyrósł prawdziwy las, oplatały rynny, w których szumiały zimne strumyki deszczówki. Podczas ulewnych deszczy na dachach bywało niebezpiecznie, ale kiedy tylko kropiło albo miasto spowijała mgła, ryzyko

znacznie malało.

Wysoko nad Londynem niebo przecięła spadająca gwiazda i zniknęła gdzieś nad Bloomsbury. Jej lśniący ogon, delikatny jak dopiero co wypowiedziane słowa, rozbłysnął na chwilę nad dachami miasta i przez krótki moment, zanim zniknął na dobre, przypominał ogon rajskiego ptaka zmierzającego w kierunku Regent's Park.

Magia. Podobno są tacy, którzy w nią wierzą, pomyślał i westchnął niemal w tej samej chwili. Tego dnia był w naprawdę dziwnym nastroju. Mike pewnie uznałby, że to stres związany z życiem uczuciowym, i poradziłby mu łyknąć kilka tabletek, żeby w końcu wyluzował. Ale te czasy minęły bezpowrotnie, choć do dzisiaj czasami tęsknił za kopem, jaki dawały prochy. A jeszcze bardziej – za chwilami zapomnienia.

Dawniej mieszkał w Cardiff i tam chodził do szkoły. W dniu piętnastych urodzin ukradkiem wymknął się z domu i poszedł sam do kina. Obejrzał wtedy film z Michaeliem Yorkiem i Jenny Agutter – *Ucieczka Logana*. Ten film otworzył mu oczy. Opowiadał o ludziach uwięzionych w idealnym świecie.

Davidowi wydawało się, że po raz pierwszy dostrzegł świat taki, jaki jest naprawdę. Ludzie są ślepi i samolubni. Głupi. Tępi. Wszędzie czają się problemy: w szkole, na ulicach i oczywiście w domu. O ich istnieniu wiedział już wcześniej, nie sposób byłoby ich nie dostrzec. Do tej pory jednak za wszelką cenę starał się je ignorować, żyć z nimi, tak jak jego ojciec i Geraldine, młodsza siostrzyczka.

Pod koniec, kiedy wydawało się, że ściany przysuwają się coraz bliżej, właściwie już tylko milczał. W tamtym okresie w kółko słuchał Nicka Cave'a and the Bad Seeds. Rzadko kiedy komuś udawało się wydobyć z niego coś więcej niż pół słowa i urywki zdań. Nawet podczas częstych kłótni z ojcem zdarzało się, że nagle przerywał i po prostu wychodził. Coraz mniej czasu spędzał z kumplami, którzy jak on ubierali się na czarno, czytali amerykańskie komiksy i mieli w nosie piłkę nożną. Palili, co się dało, kradli, żeby mieć na towar, i żyli życiem, które było im całkowicie obojętne.

Później nadeszła tamta noc, gdy David spakował swój dobytek do worka żeglarskiego. Nie planował tego, po prostu musiał to zrobić. Nie napisał żadnego listu pożegnalnego, nic podobnego. Tylko młodszej siostrze zostawił wiadomość – karteczkę ze słowami piosenki zespołu The Divine Comedy. Ukrył ją w książeczce do jednej z jej ukochanych płyt, *Zooropa* zespołu U2.

A potem wsiadł w pociąg do Londynu, nie wiedząc, czy życie w wielkim mieście okaże się mniej klaustrofobiczne. Pieniądzy wystarczyło mu na tydzień noclegów w wiekowym schronisku na Ludgate Hill, dziesięć funtów za nocleg i śniadanie.

Zaczął pracować, by mieć za co żyć. Jako goniec w mieście bez nieba. Jako kelner w knajpach na Notting Hill. W dokach Rotherhithe, jako pomocnik handlarzy. Coraz częściej decydował się na szemrane interesy, żeby jak najszybciej

zarobić. Na życie i na towar. Wtedy zadawał się tylko z Mikiem i innymi chłopakami. Do tamtych miesięcy niechętnie wracał pamięcią.

Później jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy, które całkowicie zmieniły jego życie.

Po pierwsze: trafił do The Owl and the Pussycat.

W Londynie nauczył się zdawać na ruch uliczny, dawał się ponieść prądowi. Biegł, bez celu, bez tchu, jakby uciekał przed czymś, czego sam nie potrafił nazwać.

I tym sposobem pewnego dnia znalazł się niedaleko Seven Dials, przy Charing Cross Road. Kawalek dalej, na Earlham Street, trafił do antykwariatu The Owl and the Pussycat i zobaczył ogłoszenie na wystawie. Stało między stertami książek, bardzo niepozorne. Zawierało bardzo jasną informację – panna Trodwood szukała czeladnika.

Tak właśnie było napisane na zwykłej kartce papieru, zwykłym odręcznym pismem. „Szukam czeladnika”. Nie pomocnika, nie ucznia, nie księgarza, nie pracownika w niepełnym wymiarze godzin, tylko czeladnika. I proponowała pensję oraz zakwaterowanie.

David nie zwlekał ani chwili. Właśnie to słowo przemówiło prosto do jego serca. Wszedł do środka i po krótkiej rozmowie dostał pracę – został czeladnikiem. Panna Trodwood, najprawdziwsza starsza dama, jakby żywcem wyjęta z powieści Jane Austen albo Agathy Christie, pokazała mu jego pokój na pięterku, tuż nad sklepem. David zwolnił łóżko w schronisku i wprowadził się na Earlham Street.

To było pierwsze, co się zdarzyło.

Teraz czas na drugie.

David bardzo się cieszył ze zmiany w swoim życiu i wtedy w sklepie Virgin Store na Piccadilly Circus ukradł płytę CD – i przyłapano go na gorącym uczynku.

Do dziś nie wiedział, czemu właściwie schował tę płytę. Z przyzwyczajenia, głupoty, brawury, nudy – nieważne. Płyta zniknęła w jego kieszeni być może pod wpływem chwili. Spodobała mu się okładka, muzyka oczywiście też, nieważne. Ważne było to, że go przyłapano. On, który przez wiele miesięcy handlował prochami z Mikiem w klubach East Endu, trafił do policyjnej kartoteki, bo, o ironio losu, zwędził płytę za niecałe cztery funty.

Koniec końców uratowała go praca u panny Trodwood. Miał stałe miejsce zamieszkania i pracę, nie był na ulicy.

Jednak od tamtej pory władze miały go na oku. Pracownica opieki społecznej regularnie zaglądała do księgarni. Pani Robertson – „Mów mi Kelly!” – rozmawiała z nim długo, a czasami chodzili razem na ekologiczną kawę do kafejki przy Cambridge Circus. Notowała coś w brązowym kajecie i przyglądała mu się bacznie.

Pewnego wieczoru David przekonał się, że nawet pracownice opieki

społecznej bywają w klubach Clerkenwell. Miała dwadzieścia osiem lat i jasne włosy, słuchała The Clash, U2 i Leonarda Cohena. Spotkał ją w klubie Bones. Popatrzyli na siebie w rozedrganym świetle, a potem tańczyli razem przy dźwiękach utworów Tindersticks, Glasvegas, The Cure i Muse.

Davidowi przemknęło przez myśl, że to chyba nie jest dobry znak, kiedy pierwszemu pocałunkowi towarzyszy muzyka zespołu Linkin Park.

– Może się okazać, że to nie lada głupota – szepnęła. Jej perfumy odurzały go bardziej niż muzyka.

– Głupoty są po to, żeby jej popełniać – odparł. A potem zniknęli w toalecie. Niebieskie światło, rytm tłumiony ścianami. Szybkie ruchy. Założyła mu prezerwatywę, a za ścianą Marilyn Manson śpiewał *Tainted Love*. Oparł ją o ścianę pomazaną starymi graffiti.

I tak się zaczęło.

Spotykali się potajemnie i Davidowi odpowiadało, że wreszcie nie jest sam, choć tak naprawdę niewiele mieli sobie do powiedzenia. Jednak Kelly coraz częściej dokuczały wyrzuty sumienia, do tego oczywiście obawiała się, że ktoś się o nich dowie, a wtedy musiałyby się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Była pracownicą opieki społecznej, jego opiekunką, a on nadal był nieletni.

– Powinniśmy zerwać – stwierdziła. – Nie przez telefon.

– Dlaczego?

– Bo to niewłaściwe.

– Teraz sobie o tym przypomniałaś?

Odwróciła się.

– Od początku było niewłaściwe.

– Ale ci się podobało.

Łypnęła na niego groźnie.

– Tobie też.

Wstał, ubrał się. Nad telewizorem wisiała tania reprodukcja Kandinsky'ego – ostre kąty i linie, zimne kolory, prawie żadnych krągłości. Wziął szklankę ze stołu i z wściekłością cisnął w obraz. Ramka pękła, okruchy szkła posypały się na podłogę. Kelly nic nie powiedziała. David wyszedł z jej mieszkania i więcej nie wrócił.

Podmuch wiatru zmierzwił mu włosy, otulił go mżawką, zadziwiająco zimną nawet jak na listopad w Londynie. Nie zwracał na to uwagi. Wpatrzony w ruch uliczny daleko pod nim na Kensington Street. W ludzi, którzy mijali się w biegu, a czasami wahali przez moment, jakby wydawało im się, że zobaczyli znajomą twarz. Że robią rzeczy, dzięki którym ich życie stanie się piękniejsze albo których pożałują, zanim jeszcze ta noc dobiegnie końca.

David pokręcił głową. No dobra, nigdy nie kochał Kelly. Po prostu była jedną z nielicznych osób w Londynie, które okazały mu odrobinę sympatii.

W gruncie rzeczy wcale mu na niej nie zależało. I gdyby z nią został, pewnie znowu doszłoby do awantury. A mimo to odczuwał teraz pustkę. Cholera, dlaczego nie może o niej po prostu zapomnieć?

Odetchnął głęboko, otulił szyję szalikiem i ruszył dalej. Jego klient, pan Merryweather, zamieszkały na Phillimore Place 18, wielki miłośnik dzieł Waltera Scotta, zapewne czekał już niecierpliwie, pykając fajkę i kręcąc wąsik, na skarb, który znalazła dla niego panna Trodwood.

Dobrych dziesięć metrów nad ulicą David minął budynek z topolami na dziedzińcu i doszedł do rezydencji Essex. Od celu dzieliła go zaledwie jedna przecznica. Tutejsze dachy były bardziej płaskie, dzięki czemu poruszał się szybciej. Po chwili stanął nad wąskim przesmykiem oddzielającym domy z numerami 16 i 18. Zmierzył odległość, wziął rozpęd i skoczył. Już nieraz dochodził do wniosku, że warto byłoby zmienić niebezpiecznie śliskie czerwone trampki na solidniejsze obuwie, ale za bardzo je lubił.

Wziął zamach, skoczył. Odruchowo przytrzymał się piorunochronu i wyhamował.

A potem poczuł opór tam, gdzie się tego najmniej spodziewał. Mało brakowało, a upadłby, bo się potknął... o ciało dziewczyny. Leżało na dachu, koło starego teleskopu. W mdłym świetle w pierwszej chwili jej nie widział – a poza tym nie spodziewał się, że na dachu będzie ktoś oprócz niego.

Ciemna skóra, długie ciemne włosy.

Tyle zdążył zobaczyć, potem zaczął zsuwać się z dachu i poczuł, jak jego barki przeszywa ostry ból.

Dłonie chwyciły pustkę, machał ramionami jak szalony, usiłował wbić palce w mokre dachówki, ale zsuwały się ze starych, gładkich powierzchni. David rozpaczliwie wciskał palce w każdą rysę, każdą nierówność, ale i tak sekundy przerodziły się w całą wieczność, zanim w końcu udało mu się zatrzymać na skraju dachu.

Przez chwilę leżał nieruchomo. Ciszę przerywał jedynie jego oddech.

Jezu, ależ było blisko! Co za lekkomyślność! Podniósł głowę i ostrożnie spojrział w dół. Stare domy w Kensington, powstałe na przełomie XVIII i XIX wieku, nie były szczególnie wysokie, David przywykł do wyższych budowli, ale nawet trzy czy cztery kondygnacje wystarczą, żeby zginąć.

Podciągnął się powoli, uklęknął i rozejrzał dokoła.

Budynek przy Phillimore Place 18 miał spadzisty dach z załomami, ale nieco wyżej, gdzie leżała dziewczyna, znajdował się w miarę płaski fragment, być może planowano zrobić tam balkon. Dach był mokry od mżawki, a dymy z kominów spowijały okolice ciemną mgłą.

Dziewczyna uniosła powieki i spojrzała na niego ciemnymi oczami.

– Co ty robisz, do cholery? – zapytał.

– Ja... – urwała. Zaczęła rozglądać się nerwowo, jakby kogoś wypatrywała. Zachowywała się jak człowiek przyłapany na przestępstwie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał David odruchowo. Z duszą na ramieniu zajrzał do torby i z ulgą stwierdził, że u Waltera Scotta wszystko w porządku.

– Nie. – Pokręciła głową. – Szczerze mówiąc, nie.

Podszedł do niej, uklęknął obok.

– Zrobiłaś sobie coś?

– Nie, to ty się o mnie potknąłeś. Wcale nie bolało.

Zapytaj, jak ja się czuję, przemknęło mu przez głowę, ale ugryzł się w język.

– Jakim cudem się tu znalazłaś? – rzucił zamiast tego.

– Włamałam się – odparła.

– Włamałaś się? – Z niedowierzaniem uniósł brew i przysiadł na niskim murku. Przez chwilę obserwował ją w milczeniu, masując obolały bark.

David od dawna oceniał ludzi po pierwszym wrażeniu i zwykle się nie mylił.

Była wysoka, niemal równie wysoka jak on, i szczupła jak ktoś, kto nie musi uprawiać sportu, żeby dobrze wyglądać. Kiedy się poruszała, jej ruchy były jak przyjemna melodia, którą chce się nucić. A do tego oszałamiała urodą. Nie zwykłą, tylko wręcz oszałamiającą.

Miała klasyczne rysy. Oliwkowa skóra lśniła leciutko w świetle księżyca, długie rozpuszczone włosy spływały luźno na plecy.

Nosiła zwyczajne ciuchy, niezbyt odpowiednie na tę porę roku, ale chyba nie za bardzo zwracała uwagę na to, w co się ubiera. Za to wszystko było zdecydowanie drogie. Jej buty kosztowały prawdopodobnie tyle, ile zarobi u panny Trodwood przez najbliższe pół roku.

– Włamałaś się? – powtórzył z niedowierzaniem, bo cały czas milczała.

– Tak. Na dole. Przez drzwi, to proste. Weszłam na klatkę schodową i...

– Spojrzała na niego znużona. – Chciałam zobaczyć gwiazdy – dodała.

Niezbyt precyzyjna odpowiedź, pomyślał i spojrzał na teleskop, którego szczątki poniewierały się na dachu.

– Pomożesz mi? – zapytała. Chyba stopniowo dochodziła do siebie.

W czym? pomyślał zaintrygowany.

A jednak skinął głową.

Chciała wstać, ale się zachwiała. David poderwał się z miejsca i ją przytrzymał. Była leciutka.

– Jesteś lodowata – zauważył, gdy dotknął jej dłoni.

– Ktoś mnie ściga – odparła. – Tu, na dachu.

– Ktoś?

– Dwaj mężczyźni.

David stłumił westchnienie. Jeszcze tylko tego mu brakowało. Awantury z jakimiś gośćmi – to akurat mógł sobie darować. Czy raczej powinien to sobie

darować, poprawił się w myślach. Chyba że życzy sobie, by odwiedziła go pracownica opieki społecznej.

– Jacy mężczyźni? – zapytał.

– Żli.

David z trudem powstrzymał irytację. Coraz lepiej, nie ma co!

– Żli? Jak w bajkach?

Cały czas była poważna.

– Mężczyzna w rękawiczkach i facet w łachmanach.

Hm. Rękawiczki i łachmany.

– Czego od ciebie chcieli?

– Wyjęli mi serce. Tak mi się przynajmniej zdaje. – Jej oczy wydawały się tak ciemne, że nagle nie widział ich wyraźnie.

– Jak to?

– Normalnie. – Położyła sobie rękę na piersi. – Nie czuję bicia serca.

– Starła się nie płakać, nerwowo bawiła się suwakiem kurtki. – Wyciął je.

– Przelknęła ślinę. – Tylko że nie ma żadnych ran. Już... Już sprawdziłam.

David przyglądał się jej w milczeniu.

– Zobacz! – Nagle znalazła się jeszcze bliżej, chwyciła go za rękę, rozpięła kurtkę i położyła jego dłoń na swojej piersi. Cały czas patrzyła mu w oczy.

Czuł, że się rumieni. Jego ręka nie powinna być tam, gdzie się obecnie znajdowała. Spojrzał w jej ciemne oczy i wtedy to poczuł przez cienki materiał bluzki.

Wyczuwał rytmiczny oddech, delikatne wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej, lodowaty chłód, który zdawał się od niej bić... i nic więcej.

Nerwowo cofnął dłoń.

– Widzisz? – Głos jej się łamał. – Byłam tu, na dachu. Zaszli mnie od tyłu, rzucili się na mnie. Ten w rękawiczkach miał nóż. A potem im uciekłam, zbiegłam na parter, na ulicę, jak najdalej od nich. Chyba mnie nie ścigali, tak mi się przynajmniej zdaje.

David gapił się na nią cały czas i mimo ciemności usiłował zajrzeć jej głęboko w oczy. Zobaczył w nich strach. Śmiertelne przerażenie.

– Dlaczego wróciłaś? – zapytał, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Bo sytuacja była absolutnie niesamowita i czuł, że musi coś powiedzieć, coś z siebie dać.

Dotknęła teleskopu, którego szczątki poniewierały się na dachu.

– Nie chciałam tego zostawiać. Dostałam go od ojca, jest dla mnie bardzo ważny.

David pokręcił głową. Jezu, w życiu nie przeżył czegoś równie niesamowitego!

– Nie można żyć bez serca – stwierdził i starał się nie myśleć, że przecież nie

czuł tętna. Trzymał dłoń na jej piersi; przez cienki materiał bluzki musiałby coś wyczuć. Ale jednak... nie, to niemożliwe. – Nie można żyć bez serca – powtórzył. – A co dopiero biegać i uciekać.

– Wiem – odparła załamana. Z jej oczu spływały łzy, zamarzały na policzkach, zmieniały się w kryształki lodu. Starła je zniecierpliwiona. – A jednak tu stoję, prawda? I żyję.

David przyjrzał się jej. Miała na sobie ciemnozieloną kurtkę, a pod nią pomarańczową koszulkę.

– David. – Uznał, że najwyższy czas się przedstawić, nadać tej historii jakiś porządek.

– Heaven – odparła.

Patrzył na nią bez słowa.

– Żadnych żartów z mojego imienia – poprosiła.

Wzruszył ramionami.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Davidowi wydawało się nawet, że mijają całe godziny, choć zapewne było to mgnienie oka, jeden ruch motyliich skrzydeł. Znowu zaczęło mżyć, a zimna mgła przypominała zasłonę z niewidzialnego jedwabiu.

Zastanawiał się gorączkowo, co robić. Coś jej się stało, nie miał tylko pojęcia co. Nie wiadomo, czego się nałykała. Ani czy w ogóle ktoś tu z nią był. Może ją zgwałcili, a teraz dziewczyna jest w szoku i opowiada takie brednie?

– Zabiorę cię do szpitala. – Nie wpadł na inny pomysł.

Skinęła głową.

– Naprawdę?

– Najbliższy to szpital St. Mary's Abbot's. – Machnął dłonią w kierunku południowym. – Tu, niedaleko.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Czy to nie tam przywieziono Jimiego Hendrixa?

David wzruszył ramionami.

– To chyba nie ma większego znaczenia.

Heaven nagle znowu się zdenerwowała.

– Możemy już iść? – poprosiła. – Błądziła wzrokiem po sąsiednich dachach, nagle spłoszona jak ptak.

– O co chodzi z tymi złymi ludźmi? – zapytał. – Masz pojęcie, czego od ciebie chcą?

– Wszystko wskazuje na to, że upatrzyli sobie moje serce.

David wstrzymał oddech, westchnął, ważył kolejne słowa.

– Posłuchaj, Heaven – zaczął, mocno akcentując jej imię. – Nie wiem, co łyknęłaś, ale wierz mi, to nie jest rzeczywistość. Nie można funkcjonować bez

serca. Nie wiem, co ci zrobili ci faceci, ale stoisz tu cała i zdrowa. Oddychasz. Żyjesz.

Spojrzała na niego i szepnęła tylko:

– Wiem.

Jej ton sprawił, że zrezygnował z dalszej dyskusji.

– David?

Dziwne, zauważył, po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

– Tak?

Patrzyła mu głęboko w oczy.

– Ja nie zwariowałam.

Odwzajemnił spojrzenie, ale na wszelki wypadek milczał. W końcu jednak musiał się odezwać:

– Gdzie mieszkasz?

– Jak to?

– Mogę odprowadzić cię do domu. – Nagle nie był taki pewien, że szpital to najlepsze rozwiązanie. Już sobie wyobrażał, jak wchodzi na izbę przyjęć. Podchodzi do recepcji i oznajmia, że jego towarzyszka o wdzięcznym imieniu Heaven nie ma serca.

No jasne!

No dobra, mógłby powiedzieć, że Heaven się wydaje, iż nie ma serca. Co i tak sprowadza się do tego samego. Było oczywiste, jak ją potraktują. Przy odrobinie szczęścia nie potraktują jej słów poważnie. Jeśli miałyby pecha, sprowadziliby psychologa i psychiatrę.

W każdym razie skończyłoby się zamieszaniem, w które wolał się nie pakować. A poza tym pan Merryweather czekał na swojego Waltera Scotta.

– Marylebone – powiedziała. – Mieszkam na łodzi. W Little Venice.

– Sama?

– Nie jestem dzieckiem – zachnęła się.

– Nie to miałem na myśli.

– Nie? Bo tak zabrzmiało.

– Posłuchaj, chcę ci tylko pomóc – zwrócił jej uwagę. – Rzadko się zdarza, że spotykam kogoś tu, na górze.

Znowu zapadła cisza.

David przejął inicjatywę.

– No dobrze, Heaven – zaczął. – Odprowadzę cię do Marylebone. Na tę twoją łódź. A potem musisz sobie radzić sama. Mam inne sprawy.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

David Pettyfer, który nie za bardzo wiedział, czemu właściwie robi to wszystko, ruszył przodem, a Heaven za nim.

Tak w każdym razie to wszystko się zaczęło. W tamtą ciemną noc.

ROZDZIAŁ 2

ŹLI LUDZIE

Klatka schodowa w budynku pod numerem szesnastym była stara i przepastna. Schody i metalowa poręcz opadały spiralnie, jak żebra prehistorycznego potwora.

David szedł przodem. Podjął decyzję. Odprowadzi ją do Marylebone na tę jej łódź, a potem z czystym sumieniem wróci do siebie i zapomni o całej sprawie. Dziewczyna będzie bezpieczna, na pewno znajdzie się ktoś, kto się nią zaopiekuje. Dziewczyny podobne do Heaven zawsze mają kogoś, na kogo mogą liczyć, kto im pomoże. To takie niepisane prawo.

Resztki teleskopu spakowała do plecaka. Było jej go żal, jakby straciła ukochane zwierzę. Czule zbierała kawałki sprzętu.

– Wolniej, proszę – wysapała za jego plecami. Oddychała szybko, kurczowo zaciskała dłonie na poręczy.

David zatrzymał się, obejrzał na nią.

– Wszystko w porządku?

Zaprzeczyła.

– Kręci mi się w głowie.

Pokonał dzielące ich kilka stopni.

– Kiepsko wyglądasz.

– Dzięki. – Nadal miała dość siły na pogardliwe prychnięcia.

– Nie o to mi chodziło.

– Przepraszam.

David przyglądał się jej uważnie.

– Szczerze mówiąc, wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć. – Spojrzał w dół. Zazwyczaj człowiek padał z nóg, gdy musiał pokonać tyle schodów, ale w górę, nie w dół. A Heaven sprawiała wrażenie bardzo wysportowanej.

Więc jednak prochy?

– Powiedz szczerze, co brałaś.

Posłała mu spojrzenie tak ociekające lodowatą pogardą, że mało brakowało, a skuliłby się skruszony.

– No dobra, dobra – mruknął uspokajająco. Zamyślił się. – Chcesz usiąść?

Energicznie pokręciła głową.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, że tu jesteśmy.

David spojrział na drzwi wzdłuż korytarza. Dokoła panowała cisza.

– Nie bój się, jeśli ktoś zapyta, co tu robimy, powiemy, że się pomyliłem

i wszedłem nie do tego domu.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Książka – wyjaśnił. Nagle nie był pewien, czy wcześniej o tym wspominał.

– Muszę dostarczyć książkę, a nasz klient mieszka tuż obok, pod osiemnastką.

– Och. – Milczała przez chwilę, a potem spojrzała mu w oczy. – No i na co się tak gapisz? – zapytała. Jej dłonie drżały.

– Wcale się nie gapię.

Co za kłamstwo. Oczywiście, że się gapił. Wyglądała naprawdę super. Była przepiękna. Tajemnicza. Nieodgadniona.

– Oczywiście, że się gapisz.

– Tylko ci się przyglądam.

– No właśnie o tym mówię.

– Nie. Powiedziałaś, że się na ciebie gapię. Gapienie się jest chamskie. Nie gapiłem się.

– Więc tylko mi się przyglądałaś.

Kącik jego ust uniósł się w leciutkim uśmiechu.

– Właśnie.

– I?

– Zastanawiam się po prostu, co się z tobą dzieje.

Cisza dzwoniła im w uszach.

– Muszę wyjść na dwór – oświadczyła w końcu Heaven. – Na świeże powietrze. Na dworze zaraz poczuję się lepiej. Taką przynajmniej mam nadzieję. Strasznie tu duszno – dodała cicho.

– Dobrze. – David co prawda nie rozumiał, co miała na myśli, bo na klatce schodowej było przyjemnie ciepło po paskudnej listopadowej mżawce na zewnątrz, ale niech jej będzie. – Daj mi rękę. – Wyciągnął do niej dłoń. – Jeszcze spadniesz ze schodów i się połamiesz. – Uśmiechnął się szerzej. – Ale daję słowo, nawet wtedy nie będę się gapił.

Usiłowała się roześmiać, ale potem zrobiła pierwszy krok i ugięły się pod nią kolana. Kurczowo chwyciła się poręczy. David złapał ją pod pachy i podtrzymał. Jej włosy pachniały cytryną i cynamonem, a oddech był ulotny jak mgła w chłodny wiosenny poranek.

Była zimna. Nienaturalnie zimna.

– Dasz radę iść dalej? – zapytał. Może miała rację, może rzeczywiście wystarczy, że odetchnie świeżym powietrzem.

– Chyba tak – mruknęła, skinęła głową i ruszyła w dół.

Pokonywali schody stopień po stopniu, powoli, ostrożnie. Trzymał ją, a ona zdawała się na niego. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz i chwilę później wyszli z budynku na dwór.

Owiało ich zimne powietrze. David wzdrygnął się odruchowo. Ulica była

pusta. W tej dzielnicy niewiele się dzieje, a już na pewno nie o tej porze. Pod nagimi gałęziami drzew parkowało kilka samochodów, ale nigdzie nie widzieli żywej duszy.

Heaven oddychała głęboko i nagle wyglądała o wiele lepiej. Była speszona i zmieszana.

– Nie mam pojęcia, co mi się stało na schodach.

– Najważniejsze, że już ci lepiej. – Puścił ją. – Mój klient mieszka tutaj. – Wskazał sąsiedni budynek. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym szybko podrzucił mu Waltera Scotta? A potem odprowadzę cię na łódź.

Heaven spojrzała na niego niespokojnie.

– Mogę iść z tobą?

– Chodźmy. – David ruszył przodem, pokonał schodki prowadzące do drzwi pod osiemnastką i zadzwonił.

Heaven stała za nim i niespokojnie przeczesywała ulicę wzrokiem.

– Spokojnie, już ich nie ma – zapewnił i sam słyszał, jak dziwacznie zabrzmiały te słowa. Co on właściwie robi? Czyżby zdążył uwierzyć w opowieść o dwóch złych ludziach, którzy kręcą się po okolicy i wycinają ludziom serca?

Nie, skądże. Ale nagle poczuł, że musi powiedzieć coś, co ją pocieszy. Być może tylko w ten sposób mógł jej teraz pomóc.

– Ktoś idzie. – Spojrzała na drzwi.

I rzeczywiście, po kilku sekundach otworzyły się i w progu stanął pan Merryweather – istny relikw z *Wielkich nadziei*. Miał na sobie szlafrok w wyjątkowo paskudny wzorek i kapcie w kratkę. Trzymał w dłoni fajkę z pianki morskiej, która lekko dymiła.

– David Pettyfer – powiedział i skinął na znak, że ma wejść. Zmierzył dziewczynę czujnym spojrzeniem. – A kim pani jest, młoda damo?

– Dziewczyną Davida – odparła szybko.

David milczał. Czego jak czego, ale spontaniczności nie można jej odmówić.

– Heaven Mirrlees.

Po raz pierwszy podała nazwisko. Pasowało do niej.

Pan Merryweather uśmiechnął się i przeczesał bródkę palcami.

– Masz dobry gust, chłopcze. – Zaprosił Heaven do środka.

– Tak mniej rzucam się w oczy – szepnęła do Davida, kiedy go mijala.

Zastanawiał się, czemu niby miałyby rzucać się w oczy. Heaven weszła do saloniku w ślad za panem Merryweatherem.

Pokój był mały i przytulny. Pachniał tytoniem i starymi książkami, farbą drukarską, zaczytanymi gazetami, które grubą warstwą leżały na stole, pod imbrykami do herbaty, pustymi filiżankami i talerzykami z resztkami ciastek. Przy ścianach, pokrytych kolorową tapetą i boazerią, wznosiły się wysokie regały na książki. Wokół stołu stały wiekowe fotele i przedpotopowa lampa z abażurem.

David postawił plecak na podłodze, otworzył go, zajrzał do środka i bardzo ostrożnie wyjął drewnianą szkatułkę.

– Proszę bardzo – oznajmił uroczyście, uniósł wieko i wyjął książkę.
– Walter Scott, *Narzęczona z Lammermooru*.

Oczy pana Merryweathera rozbliły i nagle nietrudno było sobie wyobrazić, jak wyglądał jako mały chłopiec.

– Wreszcie, wreszcie – szeptał z przejęciem.

Heaven obserwowała go ciekawie.

Pan Merryweather wziął książkę w dłonie, otworzył ją, przesunął palcami po stronie tytułowej. Powąchał papier i przełożył kolejną stronicę.

– Jest tak, jak pan sobie wyobrażał? – zapytał grzecznie David.

Pan Merryweather roześmiał się.

– To naprawdę wydanie Firmin-Didot. Niewiarygodne.

David zamknął plecak i postawił szkatułkę na stole.

– A więc podoba się panu?

– Czy mi się podoba? – Pan Merryweather roześmiał się głośno. – Jest wspaniała. – Spojrzał na Heaven. – Przyznasz, prawda?

– Wygląda na bardzo kruchą – powiedziała poważnie.

Pan Merryweather przesunął dłonią po okładce.

– Przypomina mi o żonie – rzekł z powagą. Podszedł do okna i przez chwilę w milczeniu wyglądał na ulicę. Potem znowu odwrócił się do Davida i Heaven.

– Musicie wiedzieć, że poznałem panią Merryweather w teatrze, w Islington.

– Zniżył lekko głos. – I od razu się w niej zakochałem. Kiedy ją zagadnąłem podczas antraktu, upłynął prawie kwadrans, nim się zorientowałem, że jest niewidoma. Umiała to świetnie ukrywać. – Mówił, co chwila dotykając książki.

– Bardzo kochała książki. – Westchnął, zamyślił się. – Minęło już tyle czasu.

Bardzo dużo czasu. Pani Merryweather zmarła, kiedy Margaret Thatcher zasiadała w parlamencie. – Po chwili namysłu dodał: – Ależ ten czas szybko płynie.

– Uśmiechnął się smutno. – Nieważne. Tę historię czytałem jej wiele razy.

– Całą książkę? – zdziwiła się Heaven.

Skinął głową.

– Siadaliśmy tutaj, w saloniku, przy świecach, zawsze przy świecach. Bo wiecie, czuła ich ciepło, słyszała trzaskanie ognia. Ja jej czytałem, a ona dotykała ilustracji, które opisywałem. Ilustracje... zawsze mówiła, że widzi je oczami wyobraźni. – Zamyślił się. – Ale to było później – mruknął. – Dużo, dużo później.

David ukradkiem zerknął na Heaven. Nie po raz pierwszy dostarczył książkę panu Merryweatherowi, którą wynalazła mu pani Trodwood, i staruszek za każdym razem snuł swoje opowieści. Zaczynał od zmarłej żony, a kończył na drugiej wojnie światowej. David na swój sposób to lubił; mężczyzna przypominał mu dziadka, który pod koniec nie wiedział, jaki jest dzień tygodnia, ale

z najdrobniejszymi szczegółami pamiętał służbę na okręcie podwodnym podczas zimnej wojny.

I choć sam przebywał tu chętnie, nie wiedział, co inni sądzą o opowieściach pana Merryweathera. Pomyślał o Kelly i zastanawiał się przez chwilę, jaka byłaby jej reakcja. Pewne zbyłyby gadaninę staruszka i uznała za brednie albo, co gorsza, usiłowałyby go namówić na jakieś ponizające zajęcia w tak zwanym klubiku seniora.

Spojrzał na Heaven.

Słuchała w napięciu.

– Tuż po ślubie mieszkaliśmy z żoną w wielkim domu w Hampstead Heath. Byliśmy jeszcze tacy młodzi. Pewnej nocy nadleciały bombowce. – Z całej siły uderzył pięścią w stół. – Cholerna wojna, ten nieszczęsny blitzkrieg. Nie macie pojęcia, co to były za czasy. Wtedy nad Londynem było jeszcze prawdziwe niebo, nie to bezgwiazdne nic, które dzisiaj widnieje nad miastem. – Pokręcił głową i zaciągnął się fajką. – W każdym razie tamtej nocy nadleciały niemieckie bombowce i ludzie jak szczury uciekali do metra, pod ziemię, a na górze rozpętało się piekło. – Przechadzał się po pokoju i co chwila zerkał na książkę. – Którejś nocy trafili też w nasz dom, doszło do wybuchu gazu, dom stanął w ogniu. Księgozbiór mojego ojca, którzy mi przekazał, spalił się do cna. – Poklepał okładkę powieści. – Walter Scott też tam był.

– Książka, którą czytał pan żonie? – dopowiedziała Heaven.

Pan Merryweather skinął głową.

– Nasza pierwsza książka.

Heaven otarła łzy.

David intrygowało, czy w ogóle ma pojęcie, ile staruszek zapłacił za swój zabytkowy egzemplarz.

– I znowu będę jej czytał – ciągnął pan Merryweather. – Postawię jej zdjęcie tam, na komodzie, i będę czytał na głos jak wtedy. Znowu będziemy razem. Jak wtedy.

Heaven uśmiechnęła się. Zacisnęła dłonie na poręczy fotela i nagle zaniósła się kaszlem.

– Wszystko w porządku, moja droga? – zaniepokoił się pan Merryweather.

David już był przy niej.

Heaven pokręciła głową.

– Kręci mi się w głowie – szepnęła. Położyła dłoń na sercu. Czy raczej tam, gdzie dawniej było, jeśli jej wierzyć. A potem osunęła się na kolana.

David przytrzymał ją. Pan Merryweather odłożył książkę na regał.

– Musi wyjść na dwór – rzucił David.

Gospodarz już biegł do drzwi. Bardzo zdenerwowany, niespokojnie przeczesał bródkę palcami.

Na dworze mżyło. Powietrze przesycił zapach ziemi, trawy i ściółki. Heaven ciężko opierała się o Davida, ale po chwili odzyskała nieco siły.

– Powinnaś iść do lekarza, dziewczyno – rzekł z powagą pan Merryweather.

– Tak zrobimy – obiecał David.

– Na pewno? – starszy pan nie dawał za wygraną.

– Zaopiekuję się nią.

– To była bardzo piękna historia. Ta, którą pan opowiedział – szepnęła Heaven.

Uśmiechnął się.

– To wszystko, co mi zostało. Historie. Pieniądze nie są ważne. Bądźcie szczęśliwi. A ty – zerknął na Davida – pozdrów ode mnie pannę Trodwood. Za każdym razem nie mogę się nadziwić, że potrafi znajdować takie skarby.

– Tak jest, proszę pana.

I tak zostawili starszego pana spod osiemnastki z jego bezcenną książką i zagłębili się w noc. Lodowaty wiatr bawił się mokrymi liśćmi nad czarnym chodnikiem.

– Już lepiej? – spytał David, zanim minęli kolejny zakręt.

– Świeże powietrze dobrze mi robi.

W milczeniu pokonali kolejny odcinek drogi.

– A więc tak wygląda twoje życie – powiedziała Heaven. Miała na myśli książkę i pana Merryweathera.

– Przynajmniej jego część.

– Często ci się to zdarza?

– Takie sytuacje jak z panem Merryweatherem?

– Tak.

– Nie. – Nie musiał się długo zastanawiać. – Zazwyczaj klienci nie opowiadają mi historii swojego życia.

– Znasz tę książkę? – zainteresowała się. – *Narzeczoną z Lammermooru*?

Pomyślał o przepaściach, które nagle otwierają się człowiekowi pod nogami, niekoniecznie na dachach.

– To opowieść o dwóch zwaśnionych rodzinach i prawdziwej miłości, która pokonuje wszelkie przeszkody. Romeo i Julia w szkockich krajobrazach, można by powiedzieć.

– Czytałeś?

Wbił wzrok w swoje trampki, a potem zmienił temat.

– Powinniśmy posłuchać staruszka.

– Z czym?

– Wiesz co? Nie odprowadzę cię do Marylebone. – Przyglądał się jej uważnie. – Mów, co chcesz, ale jesteś w kiepskiej formie. Te napady duszności... musisz się zbadać. Poważnie.

– Wyrwali mi serce – przypomniała.
David westchnął.
– Heaven. Posłuchaj mnie. Moim zdaniem powinnaś iść do szpitala.
Skinęła głową.
– No wiesz, mogłabyś też pójść do przychodni albo prywatnego gabinetu, ale o tej porze pozostaje nam tylko ostry dyżur.
– Wiem.
– Ale ani słowa o sercu – dorzucił szybko.
Jej nastrój zmienił się błyskawicznie.
– Nie wierzysz mi.
– Nie o to chodzi. Masz pojęcie, jak to brzmi?
Milczała.
– Kiedy w szpitalu na dzień dobry opowiesz lekarzowi historię, jak to źli ludzie wycięli ci serce, zaraz wezwie sanitariuszy i skieruje cię na oddział zamknięty.
– Ty draniu! – syknęła i zatrzymała się. Wściekła. – Wiedziałam.
– Co wiedziałas?
– Że jesteś taki sam jak wszyscy.
– Co to niby ma znaczyć?
– Wszyscy ludzie są głupi. – Patrzyła na niego gniewnie. Jej skóra nabrała hebanowego połysku. – Naprawdę tak trudno mi uwierzyć? Niby dlaczego miałabym cię okłamać? Co mi z tego przyjdzie?
– Nie mam pojęcia. Ale... bez serca nie można żyć.
– Wiem o tym.
– Coś jest z tobą nie w porządku. I powinnaś się zbadać.
Odwróciła się, zaczęła biec, ale po kilku krokach stanęła i odwróciła się w jego stronę. Po jej policzkach spływały łzy.
– Okropnie się boję! – krzyknęła mu w twarz. – Myślisz, że nie wiem, jak idiotycznie to brzmi? Ale tak właśnie było! Właśnie to mnie spotkało! Nie mam pojęcia, co to znaczy. Ale powiedziałam ci prawdę! – Ochrypla. – Ja nie kłamię, David.
Coś w jej głosie, w tym, jak wypowiedziała jego imię, zupełnie go rozbroiło.
– Przestańmy się kłócić – zaproponował. – Zaprowadzę cię do szpitala, ktoś cię zbada i zobaczymy. Ale obiecaj, że nie powiesz ani słowa o sercu, dobrze?
Skinęła głową.
– Dobrze. – Gniewnym ruchem starła wierzchem dłoni łzy z twarzy.
– Dobrze – powtórzył.
Heaven nadal się nie ruszała.
– Ale pójdziesz ze mną?
Westchnął głośno.

– Tak, pójdę z tobą. – Ostrzegawczo podniósł rękę. – Pod warunkiem że nie powiesz nic o sercu.

– Ani słówka.

– Obiecujesz?

– Tak.

– W porządku.

– To idziemy? – zapytała.

David poprowadził ją Argyll Road, potem Phillimore Walk, Campden Hill Road. Aż do Kensington High Street szli w milczeniu.

– Posłuchaj – wyrwało mu się w końcu. – Właściwie wcale cię nie znam. Nie wiadomo, skąd wzięłaś się na dachu, i jeszcze opowiadasz niesamowitą historię. – Wbił ręce w kieszenie, nie tyle z zimna, ile z zakłopotania. – Możesz mi powiedzieć, co ja właściwie w tym wszystkim robię?

Nie odpowiedziała.

Uśmiechnął się lekko.

– No cóż, przynajmniej to nas łączy. Bo ja też nie mam zielonego pojęcia.

Heaven odwzajemniła uśmiech.

– Nie szkodzi. Najważniejsze, że nie zostawisz mnie samej.

David pokręcił głową.

– Co za noc.

– Fakt – mruknęła.

A potem dotarli do celu.

Szpital St. Mary Abbott mieści się przy Marlowe Road, na południe od Kensington High Street, niecałe pięć minut piechotą od najbliższej stacji metra. To potężne gmazysko, które przetrwało drugą wojnę światową i kolejne lata. Fasada z czerwonej cegły, z licznymi wieżyczkami i wykuszami, robiła imponujące wrażenie, onieśmiała. David zawsze myślał, że tak wyglądałby szpital zbudowany przez rodzinę Addamsów. Po murze piał się bluszcz. Okna płonęły żółtym światłem.

Ostry dyżur znajdował się w zachodnim skrzydle.

David zajął się formalnościami. Bez problemu wymyślał kłamstwa na poczekaniu, dawniej nieraz to robił. Mike zawsze powtarzał, że ma twarz pokerzysty.

Jego dziewczyna źle się poczuła, oznajmił, gdy znaleźli się w środku. Miała zawroty głowy. Tak, jest zdrowa. Nie, zazwyczaj jej się to nie zdarza. Nie, nie brała żadnych środków, nie, on też nie.

Nie znosił szpitali. Bardzo często pracujący tam ludzie sprawiali wrażenie, że nie mają najmniejszej ochoty na kontakt z chorymi.

Recepcjonistka nie była wyjątkiem. Siedziała za monitorem komputera, uśmiechnęła się kwaśno i podsunęła Davidowi gęsto zadrukowany formularz, który

musiał wypełnić.

W poczekalni było gorąco. David rozpiął kurtkę i podszedł z Heaven do ciągu krzeseł. Usiedli. Heaven niespokojnie trzymała formularz w dłoni i udawała, że go wypełnia.

Izba przyjęć to w gruncie rzeczy długi korytarz, po obu stronach zastawiony krzesłami. Ostre światło jarzeniówek nadawało mu niesamowity, nierealny wygląd i sprawiało, że siedzący na krzesłach ludzie wyglądali na jeszcze bardziej chorych.

Niektórzy mieli rany klute, inni złamane kości. Byli też narkomani, którzy szukali schronienia na noc. Działo się sporo, nawet o tej porze. Bo miasto nigdy nie śpi. Korytarz wypełniał szmer rozmów, nieliczni lekarze w otoczeniu pielęgniarek i sanitariuszy przechodzili szybkim krokiem, przebiegali nerwowo z jednego gabinetu do drugiego. Padały głośne polecenia, przesuвано ciężkie aparaty. Powietrze przesycał zapach cierpienia i środków dezynfekcyjnych.

Heaven przysunęła się z krzesłem do Davida i położyła zimną dłoń na jego ręce. Drżała.

A potem oczy uciekły jej w głąb czaszki i osunęła się na ziemię razem z krzesłem. Leżała, wstrząsana drgawkami.

– Cholera – mruknął David.

Młody stażysta i pielęgniarka podbiegli do nich, podnieśli Heaven, usadzili na wózku inwalidzkim. Zmierzyli jej ciśnienie, krzątali się, zaglądali jej w oczy, szukali pulsu, wszystko bardzo szybko i nerwowo. David właściwie nie miał pojęcia, co z nią robią. Aż nagle stażysta znieruchomiał. Wrócił stetoskopem do jej klatki piersiowej. Pielęgniarka mierzyła puls. Wymienili znaczące spojrzenia.

– Co jest? – zapytał David.

Patrzyli na niego jak na ducha.

– Dlaczego tak na mnie patrzycie?

W końcu odezwał się stażysta.

– Nie słyszę serca.

David poczuł, jak nagle brakuje mu powietrza.

– Słucham?

– Dobrze pan słyszał.

Stażysta i pielęgniarka wymienili spojrzenia.

– Czy to możliwe, żeby...

– Że co? – zawołał David. Coś tu było bardzo nie tak.

Stażysta cały czas nie odrywał od niego wzroku.

– Sam nie wiem. – Odwrócił się od pielęgniarki i szepnął: – Musimy koniecznie zawiadomić doktora Lauriego.

– Co jej jest? Co jej dolega? – David podszedł bliżej i położył nieprzytomnej Heaven rękę na ramieniu. – Czy mógłby pan łaskawie ze mną porozmawiać?

– Ostatnie zdanie niemal wykrzyczał.

– Idę po doktora Lauriego – zdecydował stażysta i pobiegł do telefonu.
– Proszę wypełnić formularz.

Pielęgniarka została.

David dotknął policzka Heaven. Był lodowato zimny.

– Skąd jesteście? – zagała pielęgniarka.

– Po co te wszystkie pytania? – Sam słyszał agresję w swoim głosie.

– Dzisiaj jest bardzo dziwna noc. – Nagle pielęgniarka wydawała się bardzo zdenerwowana. Zerknęła na stażystę, który stał w dalszej części korytarza i rozmawiał przez telefon. – Jakies pół godziny temu – zaczęła cicho – był u nas ktoś z Ministerstwa Zdrowia. Dowiedzieliśmy się, że jest poszukiwana młoda dziewczyna, która uciekła z domu. Cierpi na problemy natury psychicznej.

David zerknął na Heaven.

– Podobno ma omamy, tak nam powiedziano – ciągnęła pielęgniarka.

David nie pojmował, dlaczego mu to wszystko opowiada.

– No i?

– Ci, którzy jej szukali, wydali mi się jacyś... dziwni – szepnęła pielęgniarka. – Wszystko było jak trzeba, mieli identyfikatory i w ogóle. Ale... Inne słowo nie przychodzi mi do głowy. Oni byli... źli.

Stażysta mówił coś do słuchawki, kilkakrotnie skinął głową, a potem się rozłączył. David poczuł mrowienie pod swetrem. Nagle zrobiło mu się gorąco.

Gorąco.

Bardzo tu gorąco.

Spojrzał na Heaven.

Gorąco!

Czemu wcześniej tego nie zauważył?

W izbie przyjęć było gorąco. Podobnie jak na klatce schodowej pod szesnastką i u pana Merryweathera. Za to na ulicy było zimno. I na dachu.

To oczywiste! Heaven czuła się lepiej w niskiej temperaturze. W ciepłym pomieszczeniu kręciło jej się w głowie.

Stażysta ponownie uniósł słuchawkę.

Heaven złapała go za rękę. Błagała go wzrokiem, żeby coś zrobił.

Cholera!

To był jeden z tych dni, gdy wszystko idzie nie tak, jak powinno.

– Dlaczego pani to robi? – zwrócił się do pielęgniarki. – Dlaczego mi pani to wszystko opowiada?

– Oni byli niesamowici – odparła zmieszana. – Chciałam was tylko ostrzec.

David nie spuszczał stażysty z oczu.

– Do kogo on dzwoni? – zapytał pielęgniarkę. R. Cohen, głosił identyfikator na fartuchu.

– Do lekarza dyżurnego, doktora Lauriego.

– A on? Co zrobi?

Wzruszyła ramionami.

– To z nim rozmawiali ci faceci z ministerstwa.

No, to jasne.

Stażysta uciekł wzrokiem w bok. David znał to spojrzenie. Miał udawać, że wszystko w porządku, ale widać było, że coś kombinuje. Co chwila kiwał głową i zaraz się krzywił, jakby nie do końca pasowało mu to, co słyszał od doktora Lauriego.

Pielęgniarka – R. Cohen – odwróciła się.

– Muszę iść do innych pacjentów – szepnęła.

– Dziękuję – mruknął David.

Unikała jego wzroku.

Stażysta cały czas rozmawiał przez telefon i co chwila zerkał w ich stronę. Najwyraźniej chciał mieć pewność, że nie uciekną.

David rozglądał się z udawanym znudzeniem.

Izba przyjęć pękała w szwach. Szmery rozmów, zapachy, gorąco. Strasznie tu gorąco. Heaven oddychała z trudem. Miała spierzchnięte usta, a ciemne oczy cały czas wpatrywały się w niego błagalnie.

David spojrzał na alarm przeciwpożarowy. Klasyczne rozwiązanie!

W życiu nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie całkiem poważnie brał to rozwiązanie pod uwagę. Ale teraz ta wizja bardzo kusiła. Takie rzeczy robią tylko w filmach. Bohaterowie, którzy jeszcze nawet nie wiedzą, że są bohaterami, robią to, żeby uciec przez złoczyńcami.

W filmach zawsze działało, może i teraz się uda?

Zerwał się z miejsca, podbiegł do alarmu, łokciem zbił plastikową szybkę. Nikt nie zwracał na niego uwagi, gdy wcisnął guzik. Tylko stażysta, który upuścił słuchawkę, wiedział, co się zaraz wydarzy.

Rozległo się wycie syreny przeciwpożarowej. Przecięło odgłosy szpitala jak nóż. David błyskawicznie wrócił do Heaven.

Izba przyjęć ożyła. Otwierały się drzwi. Lekarze, pielęgniarki, sanitariusze i pacjenci biegali we wszystkie strony. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Alarm nieprzyjemnie drażnił uszy. I skończyło się tak samo jak na filmach.

Chaosem.

Pacjenci krzyczeli na lekarzy, pielęgniarki i sanitariuszy. Niektórzy od razu rzucili się od ucieczki. Ktoś wpadł na wózek inwalidzki, gdzieś posypały się narzędzia.

David zerknął na stażystę, który najwyraźniej nie wiedział co dalej. Wpatrywał się w słuchawkę kołyszącą się na sznurze, jakby rozważał, czy wrócić do przerwanej rozmowy, ale po chwili namysłu odwrócił się i zaczął przebijać się przez tłum.

David szybko pchał wózek inwalidzki z Heaven w kierunku wyjścia. Był pewien, że na świeżym powietrzu wróca jej siła. Nie wiedział, czemu tak jest, ale miał pewność, że właśnie dlatego nagle zasłabła.

– Z drogi! – krzyczał. – Z drogi!

Gnał z wózkiem przez długi korytarz i modlił się, żeby Heaven nie spadła. Pacjenci, pielęgniarki, lekarze i inni, którzy Bóg jeden wie co robili w izbie przyjęć, uskakiwali mu z drogi.

W końcu dotarli do wyjścia. Z impetem pchnął wózek na drzwi. Stały otworem.

Ledwie Heaven owiało zimne powietrze, doszła do siebie. Zamrugła szybko.

– Co jest? – zapytała zdziwiona. – Czy ja...

– Alarm przeciwpożarowy – rzucił zwięźle. – Dasz radę biec?

Wyciągnął do niej rękę, pomógł jej wstać z wózka.

– Tak, już mi lepiej. – Głęboko wciągała w płuca nocne powietrze.

– No to spadajmy stąd! – Przyciągnął ją do siebie. – Pielęgniarka wspominała coś o złych ludziach.

– O złych ludziach? – Z trudem przełknęła ślinę.

– Którzy cię szukają. – Odchrząknął. – A ściśle mówiąc, szukają dziewczyny z zaburzeniami psychicznymi, która sama biega po Kensington. Brzmi znajomo?

Uśmiechnęła się.

– Owszem.

– Też tak pomyślałem – mruknął w odpowiedzi.

– Ale i tak mi pomożesz?

– Mam słabość do pięknych kobiet, które mają nierówno pod sufitem.

– Jak miło.

Złapał ją za rękę.

– Do metra tędy.

Za ich plecami z izby przyjęć wylewał się tłum; nieco dalej kolejni ludzie opuszczali szpital wyjściami ewakuacyjnymi. W oddali wyły syreny straży pożarnej, były coraz bliżej, i David uznał, że teraz już zdecydowanie muszą uciekać, bo nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z policją.

Razem przebiegli parking i wtedy Heaven stanęła. Dosłownie zastygła w bezruchu.

– To oni! – krzyknęła. Jej słowa przecięły nocne powietrze.

– Gdzie? – zainteresował się David.

– Tam.

Podążył wzrokiem za jej palcem.

No dobra, pielęgniarka nie przesadziła. Heaven też nie.

Właśnie tak wszyscy wyobrażają sobie złych ludzi.

Wysiedli z drogiego samochodu. Potężny mężczyzna w rękawiczkach i drugi w łańchmanach. David nie widział ich twarzy, ale właściwie nie musiał. Ten w rękawiczkach szedł w kierunku izby przyjęć i rozmawiał ze stażystą, który wybiegł na dwór, rozejrzał się, niestety, wskazał w ich kierunku i coś powiedział do nieznanym.

– Ministerstwo Zdrowia? – prychnął David. – Chyba nie mówili tego poważnie!

– Kto?...

Sekundę później mężczyźni odwrócili się i ruszyli w ich stronę.

Łachmaniarz trochę utykał, natomiast drugi mężczyzna poruszał się szybko, choć w jego ruchach pozornie nie było pośpiechu.

– Cholera! – syknął David.

Puścili się z Heaven biegiem, najpierw Marlose Road, potem Iverna Court, skręcili w Wright's Lane i dalej pędzili w stronę Kensington High Street.

O tej porze ulice były właściwie puste, z oddali dobiegł jedynie uliczny zgiełk z Kensington High. Heaven okazała się dobrą biegaczką i David cieszył się, że jednak nie zmienił trampki na inne obuwie.

W końcu dopadli do stacji metra. Ledwie zobaczył wejście, poczuł, jak wszystko w nim wzdraga się przed zejściem pod ziemię. Biegniemy prosto w pułapkę, przemknęło mu przez myśl.

Choć jednocześnie dobrze wiedział, że to bzdura. Jeśli chcieli uciec prześladowcom, metro jest najlepszym rozwiązaniem. W podziemiach zazwyczaj panuje tłok, w którym można bez trudu zniknąć.

Zerknął na zegarek. Już po północy. Ale pociągi nadal kursują. A przy odrobinie szczęścia okażą się nawet zatłoczone, bo nocne składy linii Circle Line i District Line jeżdżą rzadziej i zgarniają wielu nocnych marków wracających do domu.

Ale przecież w metrze jest ciepło. Niedobrze, krzyczał wewnętrzny głos, bardzo, bardzo niedobrze! Jedno spojrzenie na towarzyszkę wystarczyło, by się przekonać, że jest tego samego zdania.

– Jak myślisz, dasz radę? Przejedziemy tylko jedną stację.

Przełknęła ślinę i wzruszyła ramionami.

– A mamy inne wyjście?

– No dobra, spróbujmy.

Zbiegli po schodach ruchomych, zerknęli na tablice informacyjne, zlekceważyli automaty z biletami, przeskoczyli bramki. Davida otoczyło gęste powietrze, wypełniające kręte korytarze. Ich kroki niosły się głośnym echem, oboje głośno dyszeli. Przed oczami migały im kolorowe plamy – plakaty reklamowe na wyłożonych kaflami ścianach.

Podmuch wiatru rozwał mu włosy, rozchylił poły kurtki Heaven. Wzrost

ciśnienia w tunelu oznaczał, że nadjeżdża pociąg.

Czuł, że prześladowcy depczą im po piętach, choć na razie ciągle ich nie widział. Facet w rękawiczkach nie wyglądał jak ktoś, kto szybko daje sobie spokój – raczej za wszelką cenę będzie dążył do celu. Jakim cudem zdobyli identyfikatory Ministerstwa Zdrowia? I dlaczego lekarze im uwierzyli? David nie miał pojęcia, co się tu dzieje, ale jednego był pewien – nie zostawi Heaven samej.

Z oddali docierał łoskot nadjeżdżającego pociągu.

– To nasz! – wysapał.

Skręcili za róg, dopadli kolejnych schodów, prowadzących na peron Circle Line, kierunek Aldgate.

Heaven tylko skinęła głową. Bieg bardzo ją wyczerpał.

Wpadli na peron. Pod koniec David musiał ją podtrzymywać. Znowu dygotała na całym ciele. I była lodowato zimna.

Wjechał pociąg. Hamował.

Dopiero teraz zobaczył prześladowców. Mężczyzna w rękawiczkach pojawił się u szczytu schodów ruchomych. Zatrzymał się na chwilę, żeby ocenić sytuację.

Rozległ się pisk hamulców.

– Proszę poczekać! – Drood mówił bardzo spokojnie, nie był zdyszany, nie krzyczał. A jednak jego słowa, wyraźne i głośne, docierały aż na peron. – Ta dziewczyna to moja pacjentka.

– To on! – szepnęła Heaven ze strachem.

David nawet nie drgnął.

Ich prześladowca nie wyglądał na lekarza. A już na pewno nie na urzędnika Ministerstwa Zdrowia, za którego podał się w szpitalu.

– To moja pacjentka – powtórzył. – Chcę jej tylko pomóc.

Teraz dołączył do niego łachmaniarz, przycłapał zza rogu. Stał jak pies u boku swego pana. Był jakiś dziwny. Utykał i dziwacznie przekrzywił głowę.

– Kłamie – szepnęła Heaven. – Ten w rękawiczkach. To on miał nóż.

Za ich plecami pociąg zatrzymał się ze zgrzytem hamulców.

– Biegiem! – David złapał Heaven za rękę i niezbyt delikatnie pociągnął za sobą. Westchnęła – pewnie sprawił jej ból, ale teraz nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Musieli wsiąść do tego pociągu!

Z wagonów wylewały się potoki ludzi. Ostatni imprezowicze, rozbawieni i głośni, zmęczeni wielbiciele teatru.

David i Heaven minęli ciąg okien i wskoczyli do wagonu bliżej czoła pociągu, nieco luźniejszego niż pozostałe. Wcisnęli się między ludzi stojących w przejściach, trzymających się uchwytów pod sufitem.

No, dalej! David wzrokiem zaklinał drzwi. Zamknijcie się już!

Ludzie w wagonie czekali, tępo wpatrywali się w peron, niektórzy rozmawiali, ale większość milczała.

Jedźmy już!

David kątem oka widział, jak mężczyzna w rękawiczkach najspokojniej w świecie zjeżdża schodami ruchomymi na peron. Nie biegł nawet, po prostu zjeżdżał schodami.

A potem był już na peronie. Równym, miarowym krokiem szedł wzdłuż pociągu.

Boże, dlaczego te drzwi się nie zamykają? Dlaczego ten cholerny pociąg nie odjeżdża?

David ciągnął Heaven za sobą, przeciskał się między ponurymi pasażerami.

Mężczyzna w rękawiczkach dotarł do drzwi. Wsiadł do wagonu. Uważnie spojrzał w ich kierunku. I nadal się nie spieszył.

Na zewnątrz, na peronie, dziwaczny łachmaniarz człapał wzdłuż wagonu.

Rozległ się elektroniczny pisk.

David pociągnął Heaven do drzwi. Odczekał jedno uderzenie serca, drugie... I skoczył.

Za ich plecami drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył.

Mężczyzna w rękawiczkach patrzył przez okno. Jego oczy zdawały się wielkie jak spodki. A potem zniknął wśród innych pasażerów.

– Patrz! – wysapała Heaven.

David wiedział, co miała na myśli.

Dziwaczny łachmaniarz cały czas stał na peronie przed nimi i obserwował ich jakimś dziwnym, martwym wzrokiem. Nie ruszał się, tylko na nich patrzył. A potem niezdarnie ruszył w ich kierunku.

– Biegnij! – krzyknął znowu David. Tej nocy to już naprawdę weszło mu w krew.

Łachmaniarz nie bardzo wiedział, co robić, bez instrukcji mężczyzny w rękawiczkach. Stał bez ruchu, jakby wyłączono mu prąd. Według Davida wyglądał po prostu upiornie. Może nie wydawał się zły, ale bardzo... niesamowity. Tak, był niesamowity. Pod starym brudnym płaszczem, dosłownie obklejonym suchymi sosnowymi igłami, miał na sobie ciemny garnitur, upaprany czymś, co wyglądało jak zaschnięta ziemia. Był blady jak ściana, a ciemne oczy przypominały martwe jeziora na tle martwej bieli.

David odruchowo pomyślał o dziadku. O tym, jak go widział po raz ostatni. W jego domu w Cardiff odbywało się wystawienie zwłok. Łachmaniarz wyglądał dokładnie tak samo. Jak ktoś, kto już leżał pod ziemią, a teraz wrócił.

Otrząsnął się z odrętwienia. Nieważne! Niech sobie będzie, kim i czym chce, wolał tego nie wiedzieć. Ciągnął Heaven i biegł schodami ruchomymi w górę.

A potem podziemny labirynt przeszył zgrzyt hamulców. David i Heaven zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Hamulec bezpieczeństwa! Mężczyzna w rękawiczkach naprawdę pociągnął hamulec bezpieczeństwa!

Heaven popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem i wysapała:

– Biegnij! – Usiłowała się uśmiechnąć, ale wypadło to bardzo słabo. Była przerażona.

Szczerze mówiąc, on też.

Złapał ją za rękę, nie przejmował się już tym, czy sprawia jej ból.

– Dalej!

Zaniosła się kaszlem, gorączkowo nabrała powietrza, potykała się o własne nogi, omal nie upadła, ale dotarła do drugich ruchomych schodów. Tam osunęła się na ziemię. Zatrzepotała powiekami.

– Cholera! – David zerknął za siebie.

Słyszał kroki, na razie jeszcze w oddali, ale zbliżały się coraz bardziej.

Pochylił się nad Heaven, podniósł ją. Była bardzo lekka. Wbiegł na schody ruchome. Heaven oddychała płytko. Jej długie włosy opadały mu na twarz. Jeszcze kilka kroków i już. Minęli plakaty i automaty biletowe, ławki i zamknięte kioski, jeszcze kilka schodków i...

W końcu. Lodowato zimna noc.

Ruch uliczny. Hałas.

David pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Znowu otaczały ich światła Londynu.

Heaven otworzyła oczy.

– Pojedziemy taksówką – zdecydował David. Wybiegł na jezdnię i zatrzymał przejeżdżającą czarną taksówkę z włączonym neonem na dachu. Wskoczyli do środka.

– Piccadilly Circus – rzucił David bez chwili namysłu, a potem otworzył okno, żeby do środka samochodu docierało zimne nocne powietrze. Ciaśniej owinął szyję szalikiem. – Lepiej?

Heaven położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła cicho płakać.

ROZDZIAŁ 3

THE OWL AND THE PUSSYCAT

Taksówkarz nie pytał, czemu David otworzył okno i pozwolił, by wnętrze pojazdu wypełniło lodowate powietrze. Wolał nie wiedzieć, dlaczego jego pasażerowie są zdyszani i przerażeni i co chwila nerwowo zerkają za siebie, jakby chcieli się upewnić, że nikt ich nie ściga. W Londynie trafiają się różni pasażerowie i z czymś takim trzeba się po prostu pogodzić. W radiu nadawano szybką piosenkę Neila Hannona i Heaven nerwowo wystukiwała rytm palcami na obiciu siedzenia. David w milczeniu wpatrywał się w miasto, które nagle wydawało mu się zimne i obce jak wtedy, gdy przyjechał z Cardiff.

Muzyka go uspokajała.

– Kto to? – zainteresowała się Heaven.

– The Divine Comedy – odparł.

– Lubisz taką muzykę?

Skinął głową.

– Czasami.

– Teraz?

Pokręcił głową.

Lodowaty wiatr wiał mu w twarz, mierzwił włosy. Łzawiły mu oczy.

Za to Heaven oddychała spokojniej. Muzyka chyba pomagała jej ochłonąć. Plecak ze szczątkami teleskopu stał na podłodze między jej nogami.

David wolał na razie się nie odzywać. Po lewej stronie mijali spowity cieniami Hyde Park. Wellington Arch rozjaśniał noc jak wielki neon. Światła miasta nie kołysły; przypominały rozerwane płomienie, które przed oczami zlewają się w niepokojący obraz. Wśród trzasków radia Neil Hannon umilkł, a jego miejsce zajęła Yomit Mamo, która – doprawdy, odpowiednia piosenka – śpiewała o tym, że każdy w życiu trafi na pasażera na gapę, który porywa go do tańca.

David westchnął. Był wyczerpany, ledwie żywy, zbyt zmęczony, by myśleć.

Wysiedli przy Piccadilly Circus. Stąd już niedaleko do Charing Cross. Heaven nie pytała, dokąd ją zabiera, co zamierza; we wszystkim zdawała się na niego.

Ostatni odcinek drogi pokonali piechotą, otuleni sztucznym światłem wielkiego miasta, które odbijało się w zimnych kałużach chodników zamiast gwiazd. Wielki brązowy anioł, który z jedną stopą na głazie wzbija się w powietrze z fontanny pośrodku placu, obserwował pustym wzrokiem ożywiony nawet o tej porze ruch uliczny i kolorowe, kłamliwe reklamy. Wysoko nad nierzeczywistym

morzem blichtru i kłamstw nie było na niebie ani jednej gwiazdy, tylko nieprzenikniona ciemność.

Znajdowali się w dzielnicy Londynu, nad którą nie było prawdziwego nieba. Od ponad dwudziestu jeden lat królowała tam pustka; zajęła dawne miejsce gwiazd. Większość londyńczyków obwiniała o to kometę, która w tamtym okresie miesiącami królowała w nagłówkach brukowców. Wspominano o statkach kosmicznych, kosmitach, pewna kobieta twierdziła nawet, że widziała na własne oczy, jak jej psa porywa zielony ufoludek. Naukowcy oczywiście do takich wypowiedzi odnosili się z pogardą. Astrologowie tłumaczyli to zjawisko inaczej, a każdy używał bardziej wyszukanych słów niż poprzednik, ale przekonującej odpowiedzi, przyznawali to wszyscy, nie znalazł nikt.

Byli na Piccadilly Square. David rozejrzał się uważnie i przerwał milczenie.

– Nie wiem, przez kogo lub co byliśmy ścigani, ale mam nadzieję, że zgubili ślad – powiedział. Błądził wzrokiem po pijanych nocnych markach, którzy zapełniali plac nawet o tej porze. Nie widział wśród nich ani tego w rękawiczkach, ani łachmaniarza. A jednak nie miał całkowitej pewności, że zgubili pościg.

– Więc zabierz mnie do domu – mruknęła Heaven. Bez cienia nieufności.

Przeszli przez jezdnię, narażając się na gniewne odgłosy klaksonów.

– Nie, bo ci, którzy cię ścigają, na pewno nie dali za wygraną – odparł.

– Pomyśl tylko: w szpitalu pokazali fałszywe identyfikatory z Ministerstwa Zdrowia. Na pewno doskonale wiedzą, gdzie mieszkasz.

– Nie sądzę.

– A ja owszem.

– Niby skąd mieliby wiedzieć, jak się nazywam? Trafili na mnie przypadkiem.

– Jesteś pewna?

Nie odpowiedziała. Wbiła ręce w kieszenie kurtki.

– Zimno ci?

Pokręciła głową.

– Na dworze jest całkiem przyjemnie.

David chuchał w dłonie.

– Wcześniej wspominałaś, że mieszkasz na łodzi.

Skinęła głową.

– Powiedzmy, że to mój azyl.

– Azyl?

Znowu skinęła głową.

– Tak, moje schronienie, jeśli wolisz. Bo tak naprawdę mieszkam w Richmond. – Przewróciła oczami i skrzywiła się. – To długa historia.

– Mamy czas. Trochę potrwa, zanim dotrzemy do Charing Cross.

Pokręciła głową, aż jej długie włosy rozsypały się na ramiona.

– Nie teraz. – Choć szli szybko, oddychała równo, swobodnie. – Jeśli naprawdę wiedzą, jak się nazywam, i mnie szukają, trafią do Richmond, ale na pewno nie do Little Venice.

David westchnął.

– A jednak na wszelki wypadek zabiorę cię do antykwariatu – powiedział.
– Mieszkam tam. Tak będzie najlepiej. Zadzwoisz do kogoś, kto zdoła ci pomóc, a zanim po ciebie przyjedzie, trochę odpoczniesz.

Przyglądała mu się badawczo.

– Niby do kogo miałabym zadzwonić?

– Nie wiem. Do rodziców. Chłopaka, przyjaciółki, do kogoś, kto...

– Moi rodzice nie żyją.

Spojrzał na nią.

– Przykro mi – rzucił szybko. Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to bardzo sztucznie.

– Ja... Nie ma nikogo, do kogo mogłabym zadzwonić.

David wahał się tylko przez chwilę. Tym razem nie myślał o kłopotach, w które mógłby się wpakować, gdyby u niego została, tylko o tym, jak wydawała się krucha i bezradna wtedy, gdy zrozumiała, że jej nie wierzy.

Podjął decyzję.

– No więc na razie zatrzymasz się u mnie – oznajmił.

– Na noc?

– Nie bój się, oddam ci łóżko, a sam zdrzemnę się na fotelu.

Uśmiechnęła się i komicznie zmarszczyła nos.

– Na fotelu?

– Jest bardzo wygodny – zapewnił pospiesznie.

Uśmiech dotarł do jej oczu, sprawił, że pojaśniały.

– Oczywiście.

– Co w tym takiego śmiesznego? – zapytał, lekko unosząc brew.

– Och, nic – odparła szybko. – Nic śmiesznego. Tylko... – Parsknęła śmiechem.

David nie mógł jej nie zawtórować.

– No, dobra. To jak, jedziesz ze mną?

Spoważniała, miała taką minę, jakby analizowała możliwości. Lekko przekrzywiła głowę.

– A mam jakiś wybór? – zapytała, ale to pytanie było właściwie odpowiedzią.

– W księgarni nikt cię nie będzie szukał. Nawet jeśli się dowiedzą, że mieszkasz na łodzi, do mnie nie trafią; w końcu spotkaliśmy się przez przypadek.

Zgodziła się.

– Dziwne to wszystko, co?

Dziwne, fakt. Działy się naprawdę tajemnicze rzeczy i nadal nie do końca pojmował, co sprawiło, że jeszcze o tej porze włóczy się po mieście. Jak często człowiek spotyka dziewczyny na dachach Kensington?

Że już nie wspomni o takim drobiazgu jak to, że dziewczyna twierdzi, iż nie ma serca. Że uciekał z nią z miejskiego szpitala i wymknął się dwóm podejrzanym typom, które nie zawahały się pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, byle ich dopaść.

Heaven zatrzymała się na czerwonym świetle. Jej oddech tworzył w powietrzu biały obłoczek.

– Dziękuję – szepnęła.

– Spoko – mruknął. Nagle zauważył, że chmurka jego oddechu jest o wiele gęstsza.

– Ja też to widzę – odparła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć na ten temat. Uniosła dłoń do ust. – Mój oddech nie jest zbyt ciepły.

David delikatnie uniósł dłoń do jej warg. Wypuściła powietrze z płuc; musnęło jego skórę jak chłodny powiew. Wzdrygnął się.

– Przykro mi – wykrztusiła z trudem.

Przestępował z nogi na nogę z rękami w kieszeniach. Światło zmieniło się na zielone.

Niebo nad nimi było ciemne jak jej skóra. Spojrzała w górę.

– Jako dziecko bałam się tej ciemności – mruknęła.

– Rozumiem. – Odkąd po raz pierwszy zobaczył ciemny fragment nieba, czuł to samo. Patrząc w górę, odnosił wrażenie, że może dotknąć pustki wszechświata.

– Wiesz, w Richmond są gwiazdy. Może właśnie dlatego ojciec kupił dom akurat w tej dzielnicy. Żeby mogła widzieć gwiazdy. – Uśmiechnęła się i znowu umilkła.

Po lewej minęli Trocadero Centre, szli Coventry Street. Wszystkie sklepy były zamknięte. Na kocich łbach ich kroki niosły się szybkim, rytmicznym echem, jak takt irlandzkiej melodii.

W pewnym momencie David nie mógł tego już dłużej wytrzymać.

Stanął i odetchnął głęboko.

– Tak nie może być – powiedział i spojrzał na nią. – Nie możemy iść dalej i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Więc pogadajmy – odparła spokojnie.

– I co?

– Jak to: i co? To ty chciałeś rozmawiać.

– Wiem.

– Więc zacznij.

Wpatrywał się w zielony neon nad kafejką internetową. W jej wnętrzu nadal

łoczyli się ludzie wpatrzeni w ekrany komputerów.

– Heaven. – Spojrzał jej w oczy. – Kim ty naprawdę jesteś, Heaven?

– Czy to ma być pytanie?

– Chyba tak.

Roześmiała się, a jej twarz się rozpromieniła i David musiał jej zawtórować.

– Jestem Heaven – odparła. – Chociaż tak naprawdę mam na imię Freema.

– Wypowiedziała to bardzo wyraźnie. – Freema Mirrlees. Ale ojciec zawsze mówił do mnie Heaven. – Wspomnienie ojca sprawiło, że jej oczy rozbłysły. – Chodzę do Chelsea Independent College na Fulham Road i prowadzę normalne, śmiertelnie nudne życie. Nie ma co opowiadać, naprawdę. Żyję tak samo jak tysiące innych ludzi.

– A co twój chłopak na to, że nocami sama włączysz się po dachach?

Zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem.

– A co twoja dziewczyna na to, że nocami włączysz się po dachach i roznosisz książki dziwnym starszym panom?

Uniósł brwi.

– Śmiesznie to wygląda – mruknęła.

– Co?

– Twoje brwi.

– Bawią cię?

Szybki ruch głową.

– Są takie... wąskie i cienkie. – Poruszyła głową, aż jej włosy podskoczyły, jakby żyły własnym życiem. – Jak ty.

– Jak ja? – Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie dało się słyszeć urazę.

I znowu szybki ruch głową.

– To do ciebie pasuje.

– Dzięki.

– A do tego te baki.

Uśmiechnął się.

– Bomba.

– I masz fajne buty.

– Dzięki po raz kolejny.

Znowu spoważniała. Skręcili w Charing Cross Road. Stąpała cicho jak kot.

– W szpitalu naprawdę stwierdzili, że nie masz serca, prawda? – Kiedy wreszcie padły te słowa, eksplodowały jak granaty na cichej ulicy.

Heaven skinęła głową.

– Na to wygląda.

– A jednocześnie idziesz tu koło mnie.

– Nie da się ukryć.

– I co to wszystko ma znaczyć?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Może ten lekarz to jakiś gamoń.

Pokręciła głową.

– Nie sędzę. Badało mnie tylu lekarzy, że chyba potrafię to ocenić.

Przyglądał jej się pytająco.

– Kiedy byłam mała, uważano, że mam wadę serca. Raz do roku szłam na badania. Ale nigdy niczego nie znaleźli. – Roześmiała się gorzko. – Ironia losu. Teraz w końcu mają to, czego szukali, co?

David pomyślał o prześladowcach podających się za pracowników Ministerstwa Zdrowia.

– Może w ogóle nie powinnaś wracać do domu – powiedział powoli. – Ani dzisiaj, ani jutro.

Ta myśl nie przypadła jej do gustu.

– Na barkę mogę spokojnie wrócić. Nikt nie wie dokładnie, gdzie cumuje, nawet Richmond. – Dziwnie to zabrzmiało. Nie powiedziała: rodzina czy krewni, tylko: Richmond.

Davidu intrygowało, jak właściwie wyglądało jej życie w Richmond i na łodzi.

– Może jednak na wszelki wypadek nie powinnaś się tam pokazywać. Mam złe przeczucie.

– Naprawdę myślisz, że ktoś na mnie czyha?

– Posłuchaj, ci faceci zatrzymali pociąg. Nie mają żadnych oporów. Żadnych skrupułów. – Gwizdnął przez zęby. – Wiesz, naprawdę mam bardzo, ale to bardzo złe przeczucie.

– Już to mówiłeś.

– No, to jeszcze raz powtórzę.

Nic nie odpowiedziała, dopiero po dłuższej chwili się odezwała:

– Myślałam, że zapytasz, dlaczego mieszkam na barce.

– Sama mi powiesz, kiedy zechcesz.

Uśmiechnęła się.

– Więc zapytaj o coś innego.

Nie musiał się długo zastanawiać.

– Uciekłaś z domu?

– Nie do końca. – Pokręciła głową.

– Jak to?

– Po prostu na jakiś czas musiałam się wyprowadzić. Ten dom jest taki duży. Przytłaczający. Wielkopański. – Westchnęła. – Przy Twickenham Road. – Najwyraźniej niechętnie opowiadała o domu. – Ściśle mówiąc, między Richmond Green a Old Deer Park.

David znał tę okolicę, czasami tam bywał. W tej części miasta mieszkało kilku zamożnych klientów.

– Ktoś się tobą zajmuje?

– Cóż, mam opiekuna, pana Simsa, dawnego wspólnika ojca.

– Mieszka z tobą?

Roześmiała się.

– Broń Boże! Nie wiem, czy on w ogóle gdzieś mieszka, poza biurem. Widuję go dwa razy do roku, kiedy usiłuje zainteresować mnie zestawieniami finansowymi. Jest przekonany, że mnie to fascynuje. – Przez chwilę wydawała się zwykłą, rozbawioną dziewczyną. – Biedaczek, na swój sposób jest całkiem miły. Mówi się, że królowa rozważa, czy nadać mu tytuł szlachecki za jego zaangażowanie w sprawy społeczne. A fundację założył jeszcze z moim ojcem.

– Więc kto z tobą mieszka? – David nie dawał za wygraną. – Kto czeka w Richmond?

– Właściwie to tylko jedna osoba. Lokaj.

– Alfred?

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Nie, nie Alfred. Mickey.

David gapił się na nią z niedowierzaniem.

– Mickey?

Parsknęła śmiechem.

– Tata wymyślił sobie, że zatrudni kogoś takiego jak ja.

– Co to znaczy?

Zatrzymała się, uniosła dłonie do twarzy.

– Ach, tak – mruknął. Kolor nigdy nie miał dla niego znaczenia. Jedni mają taką skórę, inni taką, i tyle.

– Dzieci bywają okrutne, zwłaszcza dzieci z rodzin, które trzymają się z dala od londyńskiego tygła, a czasami najzwyczajniej w świecie nie mają o nim pojęcia. Dawniej zawsze mi się wydawało, że jestem inna, bo mam inną skórę.

– A teraz?

Uśmiechnęła się.

– Teraz to żaden problem. – Podeszła do leżącej na chodniku butelki i kopnęła ją mocno. – Kiedy mój ojciec związał się z mamą, jego rodzina przeżyła niemały szok.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Brytyjska klasa wyższa. Mieli problem z kolorową dziewczyną. Mama... – Urwała nagle. – Ale nie będę cię zanudzała historią całego życia. – W oddali Big Ben wybił godzinę. – W każdym razie odkąd zostaliśmy sami, opiekuje się mną pan Mickey. – Gwałtownie zmieniła temat. – A ty? – Spojrzała na niego pytająco.

Tu, na dworze i zimnie nie było w niej nawet śladu słabości. – Nie mówisz jak rodowity londyńczyk.

– Cardiff – rzucił tylko.

– Och, Cardiff.

– Tak.

Przyglądała mu się.

– To daleko.

– Brakuje mi morza.

– Tylko?

– Brakuje mi tylko morza. Uciekłem stamtąd.

Jej oczy rozbłysły.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dlaczego?

David skorzystał z wyrwy w sznurze samochodów i przeszedł przez Charing Cross Road. Przyspieszył jak zawsze, gdy wracały nieprzyjemne wspomnienia.

Heaven dotrzymała mu kroku.

– Co cię nagle ugryzło? – zapytała.

– Nic – mruknął.

– Nie musisz mi opowiadać o swoim życiu.

Zatrzymał się nagle.

– Nie, to nie tak. Ja po prostu uciekłem, i tyle.

Między czarnymi workami ze śmieciami przy ścianie budynku kręcił się czarny kot. Ściany pokrywały graffiti. Głupie rysunki, hasła, przekleństwa.

– Zaraz będziemy na miejscu. – David pociągnął ją za sobą. Skręcili w wąski zaułek. Stojące tu domki były małe i wąskie, najczęściej trzypiętrowe, o skośnych dachach, tak krzywych, jakby bawił się nimi zimowy wiatr, który zabłądził w Westminsterze.

David wskazał mały sklepik o ciemnym oknie wystawowym.

The Owl and the Pussycat, głosił napis nad drzwiami. Bez trudu można było dostrzec kotkę i sowę. Sowa grała na gitarze, kotka słuchała z przejęciem. Zwierzaki siedziały w zielonej łodzi.

– Oto dom, który znalazłem w Londynie. – Zdawał sobie sprawę, że to zdanie zabrzmiało zbyt patetycznie, i było mu trochę głupio, ale naprawdę tak uważał. A Heaven go nie wyśmiała. Przeciwnie. Ciekawie przyglądała się budynkowi.

– Dziwne – mruknęła. – Kiedy idzie się przez miasto, nikomu nie przyjdzie do głowy, że nad sklepem może ktoś mieszkać.

David poszedł przodem, wyjął klucze z kieszeni i weszli do środka.

Mały antykwariat wypełniał zapach kurzu i papieru, pluszowych foteli

i regałów z wiekowego drewna. W mdłym świetle unosiły się dalekie sny i marzenia, ciche szepty o dalekich pustyniach i spokoju wędrówki. Gdzieś w oddali szumiał grzejnik, między regałami buczała lodówka. A wszystko spowijał zapach tęsknoty i zamyślenia do podróży.

– Kadzidełka. – David uprzedził jej pytanie. – Pani Trodwood bardzo je lubi. Zawahała się, zanim weszli dalej.

David nasłuchiwał przez chwilę.

– Już śpi – wyjaśnił niepotrzebnie.

Pannę Trodwood można było zastać w antykwariacie o każdej porze dnia i nocy. Zawsze wiedziała, co doradzić klientowi, który zagubiony utknął między regałami pełnymi starych i nowych książek. Ba, umiała nawet poradzić tym, którzy nie zajrzeli do jej królestwa. Była niczym miss Marple świata literatury, wyszukiwała rzadkie wydania książek, czasami na zlecenie klientów, czasami dla własnej satysfakcji.

A ponieważ tropienie prawdziwych perełek jest bardzo męczące (nieraz twierdziła, że im starsza książka, tym bardziej bywa uparta), co wieczór kładła się do łóżka punktualnie o ósmej.

Dzisiaj David był z tego zadowolony. Wiedział, że staruszka wyjątkowo zainteresuje się jego nową znajomą, bo lubiła wtykać nos w sprawy, które w ogóle nie powinny jej obchodzić.

Ba, kiedyś zagadnęła go nawet o Kelly.

„Spławiłeś ją w końcu? – zaczęła prosto z mostu. – Czy ona ciebie, co w gruncie rzeczy nie robi większej różnicy?”

Co prawda, nie miał ochoty omawiać z panną Trodwood swoich sercowych perypetii, ale staruszka nie zostawiła mu wyboru. Zasypała go gradem pytań i koniec końców, przy herbacie i ciasteczkach, wyciągnęła z niego wszystko, o czym tak bardzo chciał zapomnieć.

„Jesteś jeszcze bardzo młody – stwierdziła. – W młodości każdy popełnia błędy. Ale teraz musisz ruszyć głową. To już nie Cardiff. Musisz patrzeć przed siebie. Właściwie to bardzo proste. Poszukaj dziewczyny, która do ciebie pasuje”.

Powiedziała te słowa z wielką pewnością w głosie. Taką samą, z jaką oznajmiła mu, że jeśli jeszcze raz przyłapie go z narkotykami, wyląduje z powrotem na ulicy. Pani Trodwood zawsze była pewna tego, co mówiła.

– Z czego się śmiesz? – spytała zdziwiona Heaven.

Pokręcił głową.

– Coś mi się przypomniało.

Zapalił światło i nagle cienie stały się rzeczywistymi przedmiotami, regałami pełnymi książek i stolikami z nowościami. Pośrodku królował staroświecki sekretarzyk, a na nim – wielka kasa. Za nią, na ścianie, wisiał plakat z wierszykiem Edwarda Leara, któremu antykwariat zawdzięczał nazwę. Pod ścianą piętrzyły się

kartony zaklejone taśmą, a obok nich – sterty nowych, jeszcze nieposegregowanych książek. Żadnych czasopism, tylko dzienniki.

– A więc tu pracujesz?

Skinął głową.

– Podoba mi się tu. – Ciekawiło go, czy Heaven przypadnie do gustu panie Trodwood.

Uśmiechnęła się.

– A mieszkasz...

Wskazał zasłonę za kasą.

– Za kotarą jest składzik i schody na piętro. Musimy iść cicho, pani Trodwood mieszka piętro wyżej, a schody bardzo skrzypią.

Heaven przeszła przez pomieszczenie i zatrzymała się przy monstrualnym meblu pośrodku księgarni. I znowu na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– To jest ten wygodny fotel?

– Bingo – mruknął.

Poszedł przodem. Odsunął kotarę. Czas zaprowadzić ją na górę i otworzyć okno. Na razie nie zdradzała żadnych oznak osłabienia, ale wołał nie ryzykować.

Ruszyła za nim. Szła bezszelestnie, ale schody i tak trzeszczały. Najwyraźniej drewno uwielbia kurczyć się i rozsychać w najmniej oczekiwanych momentach.

– Nie lubi, kiedy kogoś tu sprowadzam. No wiesz, panna Trodwood.

Heaven nie odpowiedziała. Rozglądała się ciekawie. Na ścianach wisiały fotografie i portrety pisarzy. Dylan Thomas, Edward Lear, Edith Nesbit, James Thurber. Graham K. Chesterton, A.A. Milne i John Masefield. Schody prowadziły na korytarz, korytarz do drzwi, drzwi do pokoju.

– Mój dom. – David zapalił światło i zaraz otworzył okno. Przykręcił ogrzewanie. – Możesz spać na materacu. Zastępuje mi łóżko.

Heaven rozglądała się ciekawie. Pokoik był malutki, umeblowany tylko najniezbędniejszymi sprzętami: materac, szafa, biurko, fotel, wiekowa lampa stojąca z abażurem z frędzlami, zasłony w orientalny wzór, wielkie radio z pokrętłami, goła posadzka.

Pokazał jej, gdzie jest łazienka, a gdzie kuchenka.

– Zimno naprawdę ci nie przeszkadza?

– Nie, właściwie w takiej temperaturze lżej mi oddychać.

– Hm.

Przez chwilę stali w milczeniu. David w drzwiach, Heaven przy oknie. Cisza trzeszczała głośniejsz niż schody.

– Aha, weź sobie do spania coś z szafy. No wiesz, jako pizamę.

Skinęła głową.

– Gdybyś czegoś potrzebowała... Będę na dole.

– Na pewno nie zasnę, choć jestem ledwo żywa ze zmęczenia.

– Ja też nie.

Odwrócił się na pięcie.

– David?

– Tak?

– Dziękuję – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Postaraj się zasnąć.

A potem zamknął drzwi i wrócił na dół.

ROZDZIAŁ 4

PIERWSZY PORANEK

Przemierzał dachy we śnie. Zaglądał w przepaście i w ciemne oczy. A do tego słyszał uporczywe bicie serca, którego nie ma tam, gdzie powinno być. Piosenka *The Stowaway*. Pasażer na gapę. Błysk ostrza, głośne krzyki. Wczepione w siebie dłonie, splecione białe i czarne palce.

Potem gdzieś z oddali dobiegł go głos, suchy i przenikliwy jak trzeszczenie schodów na piętro:

– Davidzie Pettyfer – huczał głos i sprawiał, że sen oddalał się bezpowrotnie. Coś szturchnęło go w ramię. Palec, stary i kościsty. – Już dzień! Dochodzi dziewiąta!

Obudził się przerażony. Znużony zamrugał nerwowo. Miał wrażenie, że łamano go kołem, i zdawało mu się, że zaledwie przed chwilą zasnął, i tak zapewne było.

– Och, panno Trodwood...

Starsza pani stała obok niego. Ze zdumieniem zobaczył, że księgarnia nadal jest zamknięta. Przez mleczne okna wpadało miękkie słoneczne światło. Przyjemne ciepło, zasługa wiekowego ogrzewania, zdawało się płynąć z niezliczonych książek. Wełniany koc, którym owinął się przed snem, leżał na ziemi.

– Spałeś w fotelu. – Starsza pani przeszywała go wzrokiem. Miała na sobie kostium z brązowego materiału i indyjski szal w skomplikowany wzór. – Dziewczyna już jadła.

David oprzytomniał w ułamku sekundy.

Heaven!

– Ona...

– Spotkałam ją w kuchni i zapytałam, co tu właściwie robi.

– Cóż...

– A potem zapytałam, kim właściwie jest.

David podrapał się w głowę.

Starsza pani spojrzała jeszcze groźniej.

– Wiesz, jak się umówiliśmy.

David pamiętał, że była mowa o zakazie odwiedzin, zwłaszcza po tej sprawie z Kelly.

„Ach, ta dziewczucha – powtarzała w kółko pani Trodwood. – Powinna była poszukać sobie kogoś w zbliżonym wieku, ale nie, musiała akurat tobie zawrócić w głowie. Tobie, takiemu młodziutkiemu i chudziutkiemu, jakby nikt cię nie

karmił”.

Cholera! A teraz natknęła się akurat na Heaven. David na śmierć zapomniał ostrzec ją przed staruszką. Owszem, pokazał jej kuchnię, ale nie wspomniał, że korzysta z niej też jego gospodyni.

– No tak, ona... – Przetarł oczy. Grał na zwłokę. – To długa historia... – Nie miał pojęcia, co powie pannie Trodwood.

– Lubię długie historie. – Odsunęła się od niego odrobinę i zaczęła porządkować książki na stolikach.

– A tak przy okazji, pan Merryweather bardzo się ucieszył ze Scotta. – Niezbyt zręcznie usiłował zmienić temat. – Miałem przekazać pani pozdrowienia. – Przeczesał palcami włosy sterczące na wszystkie strony.

– Opowiadaj! – Nonszalancko położyła powieść Salmana Rushdiego obok przygodowego dziełka Michaela Chabona o żydowskich wojownikach.

– Nazywa się Heaven Mirrlees.

– Tyle to i ja wiem – burknęła staruszka. – Przedstawiła mi się.

David odetchnął z ulgą. Znał te burknięcia. Oznaczały gotowość do zgody. W przeciwieństwie do syknień, które sygnalizowały nadciągającą burzę. Tak więc może jednak jeszcze nie wszystko stracone.

– Poznałem ją na dachu. Źle się czuła.

Panna Trodwood układała dzienniki na stojakach. Nie lubiła tracić czasu.

– Coś takiego. A więc znalazłeś ją na dachu.

– Tak. – David wstał i pomógł jej przy układaniu. – Potrzebowała pomocy.

– I dlatego sprowadziłeś ją tutaj?

Szybko skinął głową.

– Ile razy ci mówiłam, że tam na górze jest bardzo niebezpiecznie. Zwłaszcza o tej porze roku.

– Ja...

– I to w taką pogodę. W BBC zapowiadali na najbliższe dni opady śniegu. – Poprawiła na nosie okulary w solidnych metalowych oprawkach i łypnęła na niego groźnie. – Równie dobrze możesz chodzić po ulicach, jak wszyscy normalni ludzie. – Jej małe zielone oczy błyszczały gniewnie jak u starej kotki.

– Bardzo mi przykro. – Zdawał sobie sprawę, że mamrotał pod nosem. Pannie Trodwood raz za razem udawało się sprawić, że czuł się jak mały chłopiec. Przypomniawszy sobie, co jeszcze nie tak dawno wyprawiał na ulicach, i wiedział, że jego dawnym kumplom szczęki opadłyby ze zdumienia, gdyby wiedzieli, jak wielkim szacunkiem darzy drobnutką staruszkę w brązowym kostiumie. Czasami zdawało mu się, że tak dobrze się dogadują, ponieważ są zupełnie inni.

Panna Trodwood uniosła ręce i syknęła gniewnie, a potem prychnęła:

– I to niby ma mnie przekonać?

– Ona naprawdę potrzebowała pomocy.

– Coś takiego – mruknęła starsza pani i podeszła do drzwi. – Musimy otwierać. – Dotknęła klamki i z zadowoleniem skinęła głową.

– Długo zostanie? – zapytała.

– Nie. Właściwie prawie jej nie znam. – No dobra, to już zabrzmiało naprawdę idiotycznie, ale trudno. David powoli szedł w stronę kotary za kasą.

– Ja na twoim miejscu włożyłabym kurtkę! – zawołała za nim starszka.
– Dziewczyna siedzi w kuchni przy wszystkich oknach otwartych na oścież.

Ze zdumieniem stwierdził, że pannie Trodwood najwyraźniej nie przeszkadza, iż Heaven rozgościła się w jej kuchni.

– Jak się czuje?

Starsza pani uśmiechnęła się pod nosem.

– Jest bardzo uprzejma. – Szybkim krokiem podeszła do Davida, wspięła się na palce, choć teraz i tak sięgała mu zaledwie do piersi, i szepnęła znacząco:
– I o wiele ładniejsza od tamtej latawicy.

David przełknął ślinę.

– Bez obaw, przy niej nie wspomnę o latawicy.

Sięgnął po kurtkę, która leżała na podłodze przy kasie.

– Dziękuję. Zjrzę do niej. – Zniknął za kotarą.

Heaven siedziała w kuchni pogrążona w lekturze. Kiedy wszedł, zamknęła książkę.

– Dzień dobry.

David przypomniał sobie wydarzenia minionej nocy. Na jej widok ucieszył się bardziej, niż byłby skłonny przyznać.

– Cześć – odparł.

W kuchni było zimno. Wręcz lodowato.

Przez otwarte okno do środka docierały odgłosy poranka: samochodów przedzierających się przez Charing Cross Road, wozów dostawczych z hałasem zostawiających towar w zaułku, ludzi spieszących się do metra. Wszystko to, co razem składało się na Londyn, budziło się do życia.

David zerknął przez okno i zobaczył gęste chmury na niebie. Poczł zapach śniegu. Właściwie nie pamiętał, by kiedykolwiek zrobiło się białe przed Bożym Narodzeniem. Szczerze mówiąc, przypomniał sobie niewiele okazji, gdy padał śnieg. Nie było go w Cardiff, choć w dzieciństwie bardzo tego pragnął.

– Jak tam? – zapytał i zapiął kurtkę.

Heaven popijała herbatę z filiżanki.

– Poznałam pannę Trodwood.

– Wiem.

– Bardzo źle?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Zazwyczaj nie przepada za gośćmi, ale ciebie chyba polubiła.

– Poczęstowała mnie dżemem z malin. Za taki dżem zrobię wszystko.
– Uśmiechnęła się pod nosem. – Choć początkowo chyba mnie z kimś pomyliła.

David domyślał się, co usłyszy dalej.

– Z kimś o imieniu Kelly.

Westchnął.

– To... pracownica opieki społecznej, która miała się mną zajmować.

– Pracownica opieki społecznej?

– Przyłapano mnie na kradzieży. Idiotyczna sprawa.

– Często tu nocowała?

– Kto?

– Twoja opiekunka społeczna.

– Nie, nigdy. Panna Trodwood jej nie lubiła. – Po chwili wahania dodał: – Ja też już jej nie lubię.

Heaven uśmiechnęła się w charakterystyczny dla siebie sposób i nagle w kuchni nie było już tak strasznie zimno.

Usiadł obok niej przy stole. Postawił kołnierz kurtki.

– Jak się czujesz? – zapytał poważnie.

– Kiepsko spałam. – Dotknęła klatki piersiowej. Jej uśmiech nagle znikł i teraz była równie załamana jak w nocy. – Dzisiaj to wszystko wydaje mi się jeszcze bardziej niesamowite. A ty... pewnie masz mnie za wariatkę.

– Nie. – Sięgnął po jej lodowatą dłoń. – Wcale nie. – Widział swoje odbicie w jej oczach. – Naprawdę. Owszem, to wszystko jest nieźle odjechane, ale w takim razie zwariowaliśmy oboje.

Kąciki jej ust drgnęły, ale nie mógł liczyć na uśmiech z prawdziwego zdarzenia.

– No i co teraz mają zrobić wariaci?

David wstał. Nerwowo przechadzał się po pokoju.

– Nie mam pojęcia. Prawie całą noc o tym myślałem.

– Też nie mogłeś spać?

– Właściwie nie.

– I naprawdę nie uważasz, że zwariowałam?

– Słyszałem, co mówił lekarz w szpitalu.

Heaven znowu dotknęła swojej piersi. Dopiero teraz David zauważył, że miała na sobie jego ciuchy. Czarne dzinsy, czarną koszulkę i bluzę, czarne wełniane skarpetki.

Poczula na sobie jego spojrzenie.

– Moje rzeczy są umazane krwią – powiedziała i wbiła wzrok w stół. – Moją krwią. – Podniosła głowę. – Rano, zaraz po przebudzeniu, usiłowałam sobie wmówić, że to był tylko sen. Koszmar senny, który paraliżuje całe ciało i z którego tak trudno się otrząsnąć, ale jednak tylko sen. Okłamywałam się, póki nie

zobaczyłam swojej koszulki.

David podszedł do kredensu i zaparzył kawę. Oparł się o lodówkę, sączył gorący płyn i rozpaczliwie usiłował odzyskać jasność myślenia.

– Co ty na to, żebyśmy przeanalizowali wszystko jeszcze raz?
– zaproponował.

Heaven zgodziła się.

David głęboko zaczerpnął powietrza.

– Dobra, od czego zacniemy? – Przez chwilę wpatrywał się w biały obłoczek pary nad kubkiem kawy. – W porządku, nie masz serca. Oboje wiemy, że to szaleństwo. Ale nie masz tętna, a w szpitalu nie umieli powiedzieć, co się dzieje. I to nie jest kwestia sprzętu, ponieważ doktor posłużył się zwykłym stetoskopem, a ten nie może się zepsuć. A sama stwierdziłaś, że lekarz znał się na rzeczy.

– Nie zapominaj, że był czymś głęboko poruszony. I pielęgniarka też.

David wzruszył ramionami.

– W takim razie załóżmy, że to możliwe. Ale przecież siedzisz tu przede mną. Rozmawiasz ze mną. Żyjesz.

– Jakimś cudem.

– Nie jakimś cudem. Oddychasz. Jesteś... jesteś, Heaven. A skoro zabrali ci serce, musimy je po prostu odnaleźć.

Heaven otuliła dłońmi filiżankę z herbatą.

– W twoich ustach brzmi to bardzo prosto.

Usiłował się uśmiechnąć, ale kiepsko mu wyszło.

– A przychodzi ci do głowy coś innego?

Zaprzeczyła.

– Dobra, to dalej. O co chodzi z tymi facetami? Już to, że dopadli cię na dachu, oznacza, że nie byłeś przypadkową ofiarą. W zimne listopadowe noce na dachach Kensington nie ma wielu ludzi, nie licząc nas dwojga.

Heaven pokręciła głową. Tego dnia jej włosy były jeszcze bardziej niesforne niż wczoraj.

– Dlaczego upatrzyli sobie akurat mnie? – Spojrzała na niego pytająco.

– Dlaczego? Przecież jestem nikim. W moim życiu nie ma nic wyjątkowego.

David wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Odstawił swoją filiżankę. – Opowiadaj. Co pamiętasz?

– Długi nóż. – Skrzywiła się z obrzydzeniem, jakby znowu poczuła go na skórze. – Pamiętam, jak przemknęło mi przez głowę, że jest jakiś dziwny. Podłużny, wąski, zakrzywiony. A potem straciłam przytomność, a kiedy się ocknęłam, wstałam i biegłam, dalej i dalej. – Miała łzy w oczach. – Dlaczego coś takiego spotyka akurat mnie?

David stłumił w sobie odruch, by podejść i wziąć ją w ramiona. Wydawała

się tak cholernie krucha i kiedy wyobrażał sobie, co przeżywała tam, na dachu, ogarniała go lodowata wściekłość. Jednak nie ruszył się z miejsca, oparł się ciężko o lodówkę. Coś mu mówiło, że Heaven za wszelką cenę chciała zachować dumę. A nie chciał zepsuć czegoś, czego tak naprawdę wcale jeszcze nie było.

– Ja... o cholera! – Otarła łzy z oczu, zanim zamieniły się w kryształki lodu.
– Cholera. – Zerwała się na równe nogi i zacisnęła pięści. Miała taką minę, jakby chciała cisnąć filiżanką o ścianę, zaraz jednak wzięła się w garść. – Moim zdaniem chyba jednak najlepiej będzie, gdy wrócę na łódź – szepnęła zrozpaczona. – Tutaj przecież nie mogę zostać.

– Niby dlaczego nie?

Wystarczyły dwa słowa:

– Panna Trodwood.

– Załatwię to. Tu nic ci nie grozi.

Milczała przez dłuższą chwilę i wyraźnie usiłowała się pozbierać.

– Jeśli mam zostać, muszę mieć czyste ciuchy. – Roześmiała się cicho.

– Przyniosę ci. Powiedz, jak znaleźć łódź i co ci przynieść.

Przygryzła dolną wargę.

– Naprawdę to zrobisz?

– Jasne.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego?

– Przecież prawie się nie znamy.

– Czy to ważne?

– Właściwie tak. Ludzie nie pomagają sobie ot, tak.

– W filmach – owszem.

– No tak, ale to nie film.

– W książkach też.

– Ale to też nie książka.

– To Londyn – zauważył. – Tutaj wszystko jest możliwe.

Westchnęła.

– A jeśli ktoś tam będzie?

– Będę ostrożny.

– Może jednak powinnam iść z tobą – zaproponowała. – Mogłabym się gdzieś ukryć i poczekać, kiedy pójdziesz po moje rzeczy. Niedaleko łodzi jest taka kafejka.

David zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. Będzie ci za gorąco i zemdlejesz.

– Żałosne, co?

Uśmiechnął się i spojrzał na nią z ukosa.

– Zrobisz dla mnie coś jeszcze? – Jej wąskie palce oplotły filiżankę.

– Przekażesz panu Mickeyowi wiadomość? Będzie się martwił i... – Urwała, szukała odpowiednich słów, w końcu wykrztusiła: – A tego nie chcę.

– Dlaczego do niego po prostu nie zadzwonisz?

– Zacznie pytać. Po prostu nie chcę z nim rozmawiać.

Wiedział, co miała na myśli. Pewnie sam zachowałby się podobnie.

– Wrzucisz liścik do skrzynki na listy i uciekniesz.

– Mam tam iść najpierw?

– Tak. – Puściła do niego oko, w końcu trochę rozbawiona. – Bo inaczej musiałbyś wędrować z ciuchami przez pół miasta.

Odwzajemnił uśmiech.

– Fakt.

Przyglądała mu się cały czas.

Z ulicy do kuchni docierały odgłosy miasta. I nagle David wiedział, że nie zostawi jej samej bez względu na wszystko. Poprzedniej nocy skrzyżowały się ich drogi i jeśli takie zbiegi okoliczności mają jakiś sens, trzeba wykorzystać okazję, gdy los pcha ci ją w ręce.

PIERWSZE INTERLUDIUM

PAN QUILP

Mężczyzna w czarnych rękawiczkach, teraz noszący nazwisko Quilp, stał na chodniku na Fulham Road i obserwował uczniów płynących szerokim strumieniem do wielkiego gmachu z wysokimi oknami. Spokojnie odczytał napis widniejący nad wejściem, głoszący dumnie, że znajduje się przed Chelsea Independent College. Uczniowie wydawali się znudzeni i zaspani.

Quilp rozglądał się bacznie, ale nigdzie nie widział twarzy, której wypatrywał. Nie żeby liczył, że dziewczyna się tu pojawi. Nie, nie był aż tak naiwny. Jednak żadnej możliwości nie należy wykluczać, choćby najbardziej nieprawdopodobnej.

Pod pachą trzymał gazetę – „Timesa”. Tym razem nie było w niej artykułu o zwłokach, z których wycięto serce, a zazwyczaj taki zamieszczano. O nie, tym razem było zupełnie inaczej. Wszystko skomplikowało się bardziej niż zwykle? Zapewne. Ale trudności należy postrzegać jako wyzwania.

Wyjął komórkę, zadzwonił do informacji, sprawdził numer telefonu. Nie chciał, by go z nim powiązano, tylko zapamiętał ciąg cyfr. Takie drobne ćwiczenia mające wyostrzyć zmysły to zawsze miła odmiana. A potem wybrał numer i czekał.

Wiedział, że w budynku, który obserwował już od godziny, zadzwonił telefon. Wiedział, że słuchawkę podniesie sekretarka. I wiedział, że już wkrótce zdobędzie więcej informacji.

Quilp uśmiechnął się pod nosem. Przechodnie, którzy kątem oka widzieli jego grymas, wzdrygali się odruchowo, czując zaledwie przelotny dreszcz, jak wtedy gdy nagle dopada nas złe przeczucie i mamy świadomość, że gdzieś dzieje się coś bardzo niedobrego.

A potem usłyszał kobiecy głos.

– Dzień dobry – zagaił grzecznie. Przedstawił się i zaczął zadawać pytania.

ROZDZIAŁ 5

CUDZE ŻYCIE, NAGLE TAK BLISKIE

Zanim David wyruszył do Richmond, chciał załatwić coś jeszcze. Musiał dowiedzieć się czegoś o Heaven, a że panna Trodwood gardziła nowoczesnymi wynalazkami takimi jak internet, ilekroć chciał wejść do sieci, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej, musiał szukać innego rozwiązania. Które zazwyczaj nazywało się Michael Townson.

Mike mieszkał w ruderze przy Wardour Street, czyli mniej więcej na trasie do Richmond.

Od czasu do czasu wpadali jeszcze na siebie w klubach i knajpach, ale zdarzało się to coraz rzadziej. Dawniej łączyły ich wspólne ciemne interesy, co brzmiało może dramatycznie, jak wspomnienia gangsterów z filmu z lat sześćdziesiątych, jednak w rzeczywistości były to kradzieże, paserka, narkotyki, wszystko to, przed czym ostrzegali rodzice, a co obiecywało szybką kasę.

David zadzwonił do drzwi. Nie był tu od wielu tygodni.

W progu stanął zaspany Mike. Był w szlafroku, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Davy?

– Mike!

– Co jest?

– Muszę do netu.

– I dlatego przychodzisz o tej porze? – Mike się skrzywił. – Stary, myślałeś kiedyś o tym, żeby podłączyć się do sieci? Która godzina?

– Już prawie południe – odparł David. – A do sieci wchodzę rzadko i nie opłaca mi się zakładać łącza.

– Znam kolesia, który...

– Nie, dzięki. Przecież mam ciebie.

Mike skrzywił się ze znużeniem i wpuścił go. Mieszkanie śmierdziało starym dymem papierosowym i piwem. David wszedł do środka i zobaczył na stole resztki kolacji: zimny makaron z zastygłym sosem. Chińskie danie na wynos.

Mike prowadził go w głąb przez panujący wszędzie bałagan.

– Widzę, że nadal mieszkasz po królewsku – mruknął David.

– Człowiek stara się jak może. – Na biurku leżały części silnika samochodowego.

– Twój stary mini? – spytał David na ten widok.

– Już po nim.

- A to pech.
- Kiedy zarobię dość kasy, znowu go wyszykuję.
- Pracujesz?

Mike posłał mu spojrzenie, które David znał aż za dobrze.

- Jasne, u...

David nie pozwolił mu dokończyć.

- Oczywiście. – Nie chciał wiedzieć. Zbyt wiele ich już dzieliło.
- Komp jest twój – powiedział w końcu Mike i zniknął w łazience.

David odczekał, aż komputer się włączył, i wszedł do internetu.

Wpisał w wyszukiwarkę Freema Mirrlees. I trafił w dziesiątkę. Niech żyje technologia.

Znalazł zdjęcia. Kilka fotek, ale to zawsze coś. Szkolna klasa, w bardzo eleganckim otoczeniu. A potem Heaven z dwiema koleżankami na Trafalgar Square. Siedziały na lwich łbach i śmiały się beztrąsko. Na Twitterze – Heaven z koleżankami na zakupach, w kawiarni – kolorowe fotki z normalnego życia. Śmiała się często, nawet na nieostrych, poruszonych zdjęciach, robionych zwykłym aparatem. Pewnie miała zaraźliwy śmiech.

Przeglądał wyniki w Google. Wbrew sobie, co musiał przyznać. Znalazł wzmiankę o jej ojcu, Jonathanie Mirrleesie. Wystarczyło jedno kliknięcie i wiedział więcej. Jonathan E. Mirrlees, potomek starej rodziny przemysłowców z Richmond. Przed dwudziestu dwu laty się ożenił, a cztery lata później urodziła mu się córeczka – Freema. O żonie była tylko krótka wzmianka – zmarła tuż po narodzinach dziewczynki. Sam Jonathan zginął przed czterema laty w wypadku helikoptera w Lake District. Kierował wówczas firmą Mirrlees and Sims Waist Company. Po jego śmierci stery przejął jego wspólnik, Juno Sims. Z czasem przekształcił ją w Sims Enterprises.

Sims. Opiekun, który dba o pieniądze Heaven. David nie wiedział tylko, o jakich sumach mowa.

Kliknął jego nazwisko i przebiegł wzrokiem wpis w Wikipedii: Juno Sims kierował firmą i bardzo angażował się w sprawy społeczne. Występował w wielu programach telewizyjnych, mówiło się nawet o tytule szlacheckim. Na zdjęciach wyglądał jak typowy biznesmen: elegancki, zadbany, zawzięty i bogaty. David przypomniał sobie, jak Heaven westchnęła, mówiąc o zestawieniach finansowych. Wszystko się zgadzało.

Kliknął link odsyłający do filmiku wideo.

– Jesteśmy nie tylko przemysłowcami, którzy coś tam produkują – dowodził Juno Sims. Był zadziwiająco chudy. Błękitne oczy patrzyły z wielkim skupieniem zza złotych oprawek okularów, jakby chciał narzucić widzom swoje zdanie. – Nie, musimy się nauczyć, co to znaczy brać na siebie odpowiedzialność. – Spojrzał prosto w obiektyw kamery. – Jesteśmy odpowiedzialni wobec tych, których nie

wolno nam ignorować. Sims Enterprise produkuje swoje towary wyłącznie w Szkocji i Walii. Angielskie produkty powinny powstawać w kraju, w angielskich fabrykach. – Wspominał dzieciństwo w robotniczym miasteczku w Yorkshire i podkreślał, że wszyscy ludzie na świecie zasługują na szansę od losu.

David przewrócił oczami i wyłączył filmik. Dobra, nie tylko bogacz, ale i święty. Własnymi rękami wydzwignął się z bagna, a teraz jest dobroczyńcą w garniturze od Armaniego. Równie zakłamanym jak mieszkańcy Cardiff. Tylko na nieco innym poziomie.

Ponownie skupił się na zdjęciach przedstawiających Heaven z koleżankami na Trafalgar Square.

Siedział i po prostu im się przyglądał. Zajęła miejsce na lwim łbie, na pomniku. Machała nogami i uśmiechała się do kamery.

Gdzieś w oddali zaszumiała woda. Za jego plecami stanął Mike.

– Nowa? – spytał.

– Nie. – David nie chciał powiedzieć nic więcej.

– A co z tą laską, z którą ostatnio widziałem cię w Train?

– Już koniec.

– Sean twierdził, że to twoja opiekunka społeczna.

– Sean to dupek.

Mike uśmiechnął się.

– Ale dupek z planem.

David odwrócił się z krzesłem i łypnął gniewnie.

– Wiesz, już chyba wszyscy w całym Londynie wiedzą, że to była moja opiekunka społeczna. I co z tego?

Mike wzruszył ramionami i pojednawczo machnął ręką.

– Nic.

– I dobrze.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

Mike zerknął na monitor.

– Poważnie, Davy, kto to? – zapytał spokojnie, niemal pojednawczo.

– Poznałem ją wczoraj.

– Wygląda super.

Coś w tym, jak Mike to powiedział, nie przypadło mu do gustu, ale nie skomentował tego, bo wiedział, że kumpel nie miał złych zamiarów.

– Jesteście razem?

– Mike! Znamy się zaledwie od wczoraj!

– Cóż, z opiekunką też nie marnowałeś czasu, co?

– To nie Kelly. – David czuł, jak wraca wściekłość.

Mike skinął głową.

– Cóż, ty wiesz najlepiej.

– Tak – prychnął David. – Wiem.

Mike przyjął to do wiadomości.

– Kawy? – zapytał.

– Chętnie.

Zniknął w kuchni i dwie minuty później wrócił z dwoma kubkami.

– Coś mi mówi, że wpakowałeś się w tarapaty.

– Właściwie nie.

– Uważaj.

– I kto to mówi?

Mike miał wyrok w zawiasach, bo przyłapano go na sprzedawaniu dopalaczy małowłatom w klubach na East Endzie.

– Uważam.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Mike, jak zawsze, wydawał się zmęczony po nocy.

– Utrzymujesz kontakt z siostrą? – zapytał nagle.

– Nie.

– Naprawdę spaliłeś za sobą wszystkie mosty.

David skinął głową i wstał.

– Na mnie już czas.

Na pożegnanie Mike szturchnął go w ramię.

– Uważaj na siebie.

– Nie zrobię niczego, czego ty byś nie zrobił.

Mike spoważniał.

– Właśnie to mam na myśli, bracie. Właśnie to.

Roześmiali się.

David wyszedł z mieszkania i ruszył do Richmond.

Richmond leży dwadzieścia kilometrów od Londynu. Do małego miasteczka spokojnie można dojechać linią metra District, ponieważ jednak David cały czas żywił niechęć do tego środka transportu, wsiadł do autobusu 415 na Victoria Station. Co prawda jechał pół godziny dłużej, ale przynajmniej nie musiał kisić się w dusznym wagonie.

Podczas jazdy patrzył, jak zmieniają się domy, jak wysokie kamienice ustępują miejsca małym schludnym domkom szeregowym, a potem w oknie rozkołysanego autobusu pojawiły się trawniki, parki i wolno stojące budynki. Droga wiodła w górę Tamizy, tam gdzie zmarła królowa Elżbieta I, tam gdzie Tudorowie wzniesli imponującą rezydencję, na której do dzisiaj widniało godło Henryka VII.

Rzeka, tu spokojna, leniwie opływała Kew Gardens i Old Deer Park. Domy w okolicach parków wyglądały bardzo wielkopańsko. Były to posiadłości bogatych rodzin, których korzenie sięgały rewolucji przemysłowej. Czerwona cegła i jasny

bazalt zadawały kłam opowieściom o trudach i cierpieniach epoki fabryk i maszyn parowych, które tym rodzinom przyniosły majątek i bogactwo. Dzisiaj jednak większość posiadłości wynajmowano, a Twickenham Road, Kew Road i Lower Mortlake Road okazały się zwykłymi ulicami.

David był tu tylko raz czy dwa, rzadko dostarczał coś bogaczom mającym własne biblioteki większe niż wszystkie mieszkania, w których w życiu przebywał.

Kiedy wysiadał z autobusu, od razu zwrócił uwagę na czyste powietrze. Chłodniejsze i czystsze niż to w londyńskim City. Lekki wiatr przesuwiał chmury na niebie.

Tak więc tutaj dorastała Heaven Mirrlees. W autobusie wyłączył myślenie, podziwiał widoki. Przyszło mu do głowy, że to, co tu widzi, często przypominało ilustracje do książek z dzieciństwa, bajek, w których eleganckie borsuki i zółwie umawiały się na herbatkę i opowiadały sobie swoje przygody. Teraz jednak wrócił myślami do rzeczywistości.

Do Heaven i dachu w Kensington.

Wszystko wydawało mu się nierealne. Im dalej znajdował się od Londynu, tym mniej był skłonny całe to wariactwo uznać za prawdę.

Z przystanku skręcił w lewo. Miał przed sobą Twickenham Road, po prawej – Old Deer Park. Nagie, krzywe gałęzie kołysały się na wietrze. Czasami wśród drzew przemykał samotny biegacz.

Dotarł do domu z numerem 21.

Przez wielką bramę z kutego żelaza widział długi podjazd prowadzący wśród drzew do rezydencji, której cienkie kominy wyglądały zza drzew jak czułki. Miał wrażenie, że w oddali posiadłość zlewa się w jedno z Old Deer Park, który zaczynał się za jej granicami.

Już podczas wcześniejszych odwiedzin w tej dzielnicy – bo mimo oddalenia administracyjnie Richmond stanowiło część miasta – zwrócił uwagę na tę bramę, a to za sprawą misternych ozdób – kolorowych gwiazd, planet, komet.

David rozejrzał się dokoła. Przechodnie nie zwracali na niego uwagi.

„Lepiej, żebyś nie rozmawiał z panem Mickeyem osobiście, bo zaraz zacnie cię wypytywać – tłumaczyła Heaven. – Po prostu wrzucić karteczkę do skrzynki pocztowej przy bramie i odejść stamtąd”.

Nie było to jednak takie proste. Gmaszysko wznoszące się na końcu długiego podjazdu miało co prawda wszystko, co przychodzi na myśl, gdy mowa o angielskiej rezydencji – wieżyczki, wykusze, ponure mury i ciemne okna, ale brakowało takiego drobiazgu jak skrzynka pocztowa, przynajmniej nie widział jej, stojąc na ulicy. Mieszkańcy takich domów spodziewają się pewnie, że korespondencję podadzą im na srebrnej tacy, pomyślał David zirytowany.

Ostrożnie pchnął wysokie skrzydło bramy osadzonej w grubym murze, który otaczał całą posiadłość. Wyślizgana klamka była zimna, ale ustąpiła bez problemu,

choć już niemal słyszał złowieszczy zgrzyt – pewnie dlatego, że przypomniał mu się stary serial z Basilem Rathbone’em.

Kiedy z wahaniem wchodził na teren posesji, spodziewał się w duszy, że zaraz zaatakują go wściekle rottweilery albo wilczury. W filmach takich posiadłości zazwyczaj pilnują psy. I gmaszyska spowija mgła.

Ostrożnie zbliżał się do budynku położonego ze trzysta metrów od uliczki. Nie uśmiechała mu się perspektywa rozmowy z groźnym tajemniczym lokajem, ale za ciemnymi oknami nie dostrzegł żadnego ruchu.

Trzymał się z dala od podjazdu, świetnie widocznego z domu, i przemykał się między drzewami i krzewami. Im głębiej wchodził na teren posiadłości, tym dziwniejsza stawała się atmosfera. Wysokie drzewa miały nagie gałęzie, a zza rozłożystych krzewów niczego nie było widać.

W lecie jest tu zapewne pięknie, tak pięknie, że spokój staje się niemal namacalny. Z kolei wiosną zakątek ten zmienia się w królestwo magii i czarów.

Przypomniała mu się Edith Nesbit. Mama zawsze czytała mu jej powieści, kiedy była w lepszej formie. Geraldine, młodsza od niego o pięć lat, pewnie nie wiedziała nawet, kim była Edith Nesbit.

Od razu wróciły wyrzuty sumienia. Odruchowo zacisnął zęby, przyspieszył kroku i już po chwili nie pamiętał, jakim cudem myślał o magii i czarach.

Halo, halo, to przecież połowa listopada. Zimno, mokro, znowu zaczęło padać. Trawnik był mokry, miejscami pod nogami szeleściła ściółka.

Usiłował wyobrazić sobie Heaven, która bawi się tu jako mała dziewczynka. Po raz kolejny przemknęło mu przez myśl, że robi to wszystko dla dziewczyny, której właściwie nie zna.

Zawsze był bardzo ostrożny. Nie ufał nikomu. Ta sprawa z Kelly po raz kolejny uświadomiła mu, jak łatwo można oberwać. Dawniej ufał siostrze, ale ona wybrała własną drogę. Nigdy nikomu nie ufaj, bo możesz się boleśnie sparzyć. J.D. Salinger wiedział o tym doskonale!

Ale z Heaven było inaczej. Wierzył jej. A ona go potrzebowała.

Pogrążony w myślach doszedł pod sam dom. Potężne mury lśniły od deszczu, mżawka zasnuwała wszystko delikatną mgłą. Wieżyczki i wykusze sprawiały, że dom przypominał surową twarz wpatrzoną w ponury dzień.

– A więc tu jest twój dom – szepnął.

Niemal oczekiwał, że Heaven odpowie mu tym swoim ochryłym głosem, ale słyszał jedynie ciszę i daleki szum ruchu ulicznego. Gdzieś zakrakał kruk.

W końcu zobaczył skrzynkę na listy, stała skromnie przy podjeździe, jakby lokatorzy się jej wstydzili. Była wąska, ciemnozielona jak otaczający ją żywopłot.

David szukał w kieszeni liściku, który Heaven troskliwie wsunęła do koperty. Obserwował, jak zamaszystym pismem kreśliła słowa na kartce.

U mnie wszystko w porządku, proszę się nie martwić.

Tylko tyle chciała przekazać panu Mickeyowi.

„Tylko tyle?” – zapytał wtedy.

„Zrozumie”.

David po raz ostatni zerknął na dom. Drzwi wejściowe zdobiła pojedyncza gwiazda wycięta w ciemnym drewnie.

Kątem oka dostrzegł ruch.

I zaraz potem postać.

Odruchowo skoczył za żywopłot i zgiął się wpół. Wstrzymał powietrze, nie śmiał oddychać. Serce waliło mu jak oszalone, obawiał się, że już to go zdradzi. W myślach mamrotał wszystkie przekleństwa, które przychodziły mu do głowy.

Jakim cudem nie zobaczył go wcześniej? Cholera, jak mógł okazać się takim głupkiem?

Oddychał głęboko, uniósł ręce do twarzy, chuchnął w nie ciepłym oddechem, wypuścił powietrze z płuc. A potem ostrożnie wyjrzał zza żywopłotu i zaraz schował się z powrotem.

Cholera, cholera, cholera.

Najchętniej palnąłby się w głowę. Przecież nie tak dawno cierpliwie tłumaczył Heaven, że źli ludzie na pewno wiedzą, gdzie mieszka. No tak, niecałe dziesięć godzin temu. A co teraz wyprawiał? Nie miał nic innego do roboty?

Postać przy domu to na sto procent ten dziwny facet, który towarzyszył tamtemu w czarnych rękawiczkach, ten, który przypominał Davidowi nieżyjącego dziadka. Stał tam, pod ciemnymi oknami, i wyglądał tak samo jak na peronie stacji Kensington High Street.

Jak trup, przemknęło Davidowi przez głowę i poczuł przeszywający go dreszcz.

Powoli, ostrożnie wsunął list do kieszeni.

Łachmaniarz nadal stał nieruchomo i zerkał na podjazd.

A gdzie ten drugi? Ten w czarnych skórzanych rękawiczkach?

Jest! Łachmaniarz się poruszył. Odwrócił głowę, ale reszta jego ciała stała nieruchomo. Wyglądało to tak, jakby zwietrzył trop.

David poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Co oni właściwie wiedzą? Jakim cudem tu dotarli? Wiedzą, że Heaven tu mieszka? Znają jej nazwisko?

Sądziła, że była przypadkową ofiarą, że po prostu znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu, ale teraz wszystko wskazywało, że to on miał rację. Dziwaczny napad na dachu to nie przypadek. A może jednak?

Przeczesał włosy palcami. Cały czas czuł w skroniach rozszalały puls.

Co mówiła pielęgniarka w szpitalu? Kiedy podszywali się pod pracowników Ministerstwa Zdrowia, czy podali nazwisko Heaven, czy tylko pokazali lekarzowi jej zdjęcie? A może opisali ją?

Skoncentruj się! Co dokładnie mówiła pielęgniarka? Ale nie mógł sobie

przypomnieć.

Dobra, trudno, później o tym pomyśli. Jakie ma możliwości? Uciekać do tego domu? A co, jeśli typ w czarnych rękawiczkach właśnie składał wizytę panu Mickeyowi?

Nie, lepiej dyskretnie się wycofać. Do licha, przecież to tylko mały liścik. Równie dobrze może zadzwonić do Mickeya z budki telefonicznej.

Wiedział jednak, że nie ruszy się z miejsca. Tylko tropiąc tych dwóch, może się dowiedzieć, co właściwie spotkało Heaven. I ewentualnie jak jej pomóc.

Już miał głębiej wtulić się w żywopłot, by przeczekać najgorsze i rozważyć, co dalej, gdy wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Łachmaniarz spojrział w jego stronę i niemal w tej samej chwili ktoś rozsunał żywopłot i rzucił się na niego. Chwycił go, pchnął na ziemię. David poczuł uderzenie, zaniósł się kaszlem, otoczył go zapach mokrej ziemi. Potem ktoś brutalnie dźwignął go do pionu. Sapnął, czując ogromną siłę mężczyzny.

– Witaj, młody przyjacielu – odezwał się mężczyzna nienaganną angielszczyzną.

Davidowi pociemniało przed oczami.

– Musimy porozmawiać – usłyszał głos, ostry i niebezpieczny jak zakrzywiony nóż.

David nerwowo chwycił powietrze ustami i patrzył na starannie ogoloną twarz mężczyzny. Usta tamtego wykrzywiły się w uśmiechu, tylko oczy zdradzały, że coś z nim jest nie tak. Sugerowały niezłomną siłę woli. Zdradzały, że nigdy nie odpuszcza. Były lodowate jak najsrozsza zima.

Mężczyzna, na sto procent ten w czarnych rękawiczkach z metra, miał na sobie zwykłe, ciemne ubranie, nierzucające się w oczy. Starannie przycięte włosy. W tłumie, z aktówką w dłoni, nie zwracałby na siebie uwagi, ale tutaj przyprawiał Davida o falę dreszczy. Odruchowo zatęsknił za kastetem, który tuż po tym, jak zamieszkał u panny Trodwood, pogrzebał na dnie śmietnika w zaułku za sklepem.

Mężczyzna nie tracił czasu.

– Gdzie ona jest?

David zmusił się, by patrzeć w zimne oczy.

– A pan to kto? – odpowiedział pytaniem.

Natychmiast poczuł na szyi ucisk dłoni w czarnych rękawiczkach. Odcięły mu dopływ powietrza. Rzęził, odruchowo usiłował się wyswobodzić, ale nie dał rady.

– Nieładnie – odparł mężczyzna tak łagodnie, że Davidowi krew zastygła w żyłach. – To bardzo, bardzo nieładnie odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Przynsunął twarz do twarzy Davida. – A ty przecież jesteś grzecznym chłopcem.

– Jego oddech, jak cały on, pachniał zimą. – Gdzie ona jest? Byłeś z nią wczoraj.

– Uśmiechnął się drapieźnie. – Kensington High Street – wycedził. – Wykiwaliście

nas w metrze. Sprytnie, nie powiem. Ale jak widzisz, nam nikt nie umknie. Jesteśmy bardzo dobrzy. A za to, co robimy, pobieramy sowite wynagrodzenie. – Poluzował uścisk na jego szyi, żeby David mógł odpowiedzieć. – Gdzie ona jest, chłopcze? – Wyrażał się nieco staromodnie.

– Kim pan jest?

– Moje nazwisko nic ci nie powie.

– Czego pan ode mnie chce?

– Żebyś zdradził, gdzie ona jest.

David skinął głową w kierunku domu.

– Powiedziała mi tylko, że tu mieszka. Właśnie do niej szedłem.

Mężczyzna wpatrywał się w jego twarz, szukał w niej śladów kłamstwa.

– Przyjechaliśmy tu taksówką. Ona wysiadła, ja pojechałem do domu.

– Nie wierzę ci. – Powiedział to bardzo spokojnie, rzeczowo, bez emocji.

– Cóż, to już nie mój problem.

Łachmaniarz do nich dołączył. Człapał wzdłuż żywopłotu. Gałązki zahaczały o płaszcz. Zatrzymał się przy swoim towarzyszu.

Z bliska wyglądał o wiele gorzej i koszmarnie śmierdział. Na bladej woskowej skórze wykwiwały plamy. Otaczał go smród ziemi, mokrego drewna i wilgotnych, pleśniejących ubrań. David był zadowolony, że nie widział jego oczu.

– Kim pan jest? – zapytał ponownie. – I czego pan ode mnie chce?

– Tyle pytań – mruknął mężczyzna i zastygł w bezruchu. – Ale właściwie masz rację. – Mówił bardzo przyjaznym głosem. – Powinienem się przedstawić. Nieładnie jest rozmawiać, nie przedstawivszy się uprzednio.

Łachmaniarz syknął coś, ale nie można było tego zrozumieć.

– Nazywam się Scrooge. Pan Scrooge. – Zrobił coś z palcami tej dłoni, która nie ścisnęła Davida za gardło. Czarna skóra rękawiczek przypominała żywe stworzenie.

David ponownie zaniósł się kaszlem.

– A jak ty się nazywasz, chłopcze?

– Mały Tim – sapnął.

W odpowiedzi otrzymał groźne spojrzenie.

– No dobrze, dobrze – mruknął pan Scrooge. – Zatem jesteś odcytany. – Błysnął tym swoim śnieżnobiałym uśmiechem. – Ale to nie zmienia niczego w naszej umowie, mały Timie.

– Nie zawarliśmy żadnej umowy.

– Ależ owszem. – Pan Scrooge uśmiechnął się pod nosem. – Odpowiedz na moje pytanie, a ocalisz swoje młode życie. – Rozbawiony powtórzył pod nosem: – Mały, mały martwy Tim.

David wiedział, że to nie żarty. Chciał się poruszyć, ale dłoń w rękawicze błyskawicznie zacisnęła się na jego szyi.

– Mały, mały, Tim, Tim – nucił pan Scrooge. W jego drugiej dłoni błysnął długi nóż. Srebrna zakrzywiona klinga wędrowała wzdłuż jego twarzy, coraz niżej, do klatki piersiowej. Była coraz bliżej – wystarczył jeden ruch dłoni. Mężczyzna dotknął knykciami jego kurtki, stukał dłonią w rytm jego serca, a potem przesunął ostrze na szyję.

David stał nieruchomo.

– Pytam po raz ostatni – wycedził Scrooge. – Gdzie jest Freema Heaven Mirrlees?

– Nie wiem, do jasnej cholery – syknął David. – Do diabła, do wczoraj w ogóle jej nie znałem. Tej całej Heaven. Poznaliśmy się wczoraj, przypadkiem, na ulicy. Była w kiepskiej formie. Pieprzyła coś o sercu, że ktoś jej wyciął serce. Zaprowadziłem ją do szpitala, a potem prysnęliśmy.

Scrooge miał taką minę, jakby zastanawiał się, czy mu uwierzyć. Nacisk klingi na szyję nieco zelżał.

– Miałem przy sobie towar – kłamał David – W szpitalu powiedzieli, że dziewczyny szukają ludzie z Ministerstwa Zdrowia. – Mówił szybko, bez wahania, i usiłował rozluźnić mięśnie odpowiedzialne za ruch gałek ocznych – sztuczka, której nauczył się dawno temu i która zawsze działała. Przede wszystkim oczy zdradzają kłamstwo.

– Była megaporuszona tą całą sprawą z sercem i w ogóle. – Zerknął na łachmaniarza. – Dałem jej coś, żeby się uspokoiła. – Rozłożył szeroko ręce. – Słuchajcie, nie chcę się wpakować w żadne kłopoty.

– I dlatego uciekałeś?

– Nie mogę sobie pozwolić na kolejną wpadkę – wyjaśnił. – Jestem karany.

– Mały, mały Tim – szepnął Scrooge. – I ja mam w to wszystko uwierzyć?

David cały czas patrzył mu w oczy.

– Niby dlaczego miałbym kłamać? Z nożem na gardle?

Mężczyzna się zamyślił. Ostrze cały czas dotykało szyi Davida.

– Dobra historia – mruknął do siebie.

David wytrzymał jego spojrzenie.

– Naprawdę dobra historia.

Mężczyzna w rękawiczkach spojrział na dom, podniósł głowę, zamknął oczy.

– Czuję zapach śniegu – stwierdził. Uniósł powieki i pochylił się nad Davidem. – Wiesz co, mały Timie? – Nie mrugnął ani razu. – Nie wierzę ci. – Uniósł nóż, aż klinga zatańczyła nad jego głową. – Masz kłamstwo w oczach. Widzę je nawet z tej odległości.

Łachmaniarz chrząknął. Dopiero teraz David zauważył, że skóra z twarzy schodziła mu całymi płatami.

– Gdzie dziewczyna? – zapytał Scrooge kolejny raz.

– Tutaj – odparł David. – Niech pan zadzwoni do drzwi, to się pan przekona.

– Nic nie rozumiesz, mały, mały martwy Timie. – David nawet nie poczuł szybkiego cięcia na gardle. Nóż był tak ostry, że zorientował się, że jest ranny, dopiero gdy poczuł ciepłą krew na szyi. – A to dopiero początek. – Uprzejmość Scrooge’a opadła jak już niepotrzebna maska. – Poderżnę ci gardło, jeśli mi nie powiesz tego, co chcę wiedzieć.

– Co panu przyjdzie z tego, że mnie zabije?

– Nic – odparł Scrooge. – Absolutnie nic. Oprócz przyjemności.

– Czego pan chce od Heaven? – David sam nie pojmował, skąd się bierze bezczelność w jego głosie.

Scrooge z całej siły uderzył go w żołądek. David zgiął się wpół, ale nagle poczuł satysfakcję, że udało mu się wyprowadzić go z równowagi. I choć tamten cały czas ścisnął go za gardło, czuł, że odniósł małe zwycięstwo.

– Teraz powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć – wysapał Scrooge, któremu najwyraźniej skończyła się cierpliwość. – Pytam cię po raz ostatni, mały Timie, i jeśli nie chcesz skończyć w kałuży własnej krwi, udzielisz mi odpowiedzi, która nastroi mnie ugodowo. – Uniósł nóż, tak że David widział go doskonale.

W lśniącym ostrzu widział odbicie swoich oczu i malującego się w nich strachu i nagle nie pojmował, jakim cudem w ogóle pomyślał o zwycięstwie.

Nóż znowu zbliżał się do jego gardła.

– Czytam w twoich oczach, chłopcze, i odpowiem ci na to jedno pytanie.

– Scrooge się uśmiechnął. – Tym samym nożem wyciąłem serce twojej przyjaciółce. Uwierz mi, nie wyobrażasz sobie, co jeszcze potrafię nim zrobić. – Jego twarz była coraz bliżej, tak blisko, że David czuł jego oddech. – Gdzie ona jest?

David starał się myśleć logicznie.

Oczami wyobraźni widział Heaven w kuchni na Charing Cross. Widział jej uśmiech. Nagle zrozumiał, co to wszystko znaczy, i poczuł taką ulgę, że zakręciło mu się w głowie. Ci dwaj nie mają zielonego pojęcia, gdzie ona jest! Poruszają się po omacku!

Jeśli nie puści pary z ust, nie trafią do księgarni! Nie miał przy sobie żadnych dokumentów – nigdy nie zabierał ich ze sobą. Minie trochę czasu, zanim ustalą, jak się nazywa i gdzie mieszka, o ile w ogóle im się to uda. A jeśli w ciągu godziny nie skontaktuje się z Heaven, ona, miejmy nadzieję, zniknie i ukryje się gdzie indziej.

Ostrze napierało na jego szyję. Przypomniała mu się piosenka, którą słyszeli w radiu w taksówce.

Stowaway.

Once I found a stowaway, upon my ship on Christmas day.

I wtedy usłyszał głos, który z pewnością nie należał do Scrooge’a.

– Stać! – Donośny głos przeciął zimne powietrze. Brzmiał władczo, zdecydowanie, jak głosy policjantów ścigających dilerów. – Co tu się dzieje?

Szybkie kroki coraz bliżej.

Scrooge puścił go.

– Znajdziemy was – syknął i mrugnął znacząco. A potem pozwolił, by David osunął się na ziemię.

Chłopak gorączkowo chwycił powietrze. Dotknął szyi. Nie mieściło mu się w głowie, że już po wszystkim. Scrooge tylko go drasnął. Nic się nie stało.

Kiedy minęło pierwsze oszołomienie, Scrooge i łachmaniarz już zniknęli, za to nie wiadomo skąd wyrosło przed nim dwóch ochroniarzy.

– Coś ty za jeden, chłopcze? – zapytał jeden z nich. Miał na głowie niebieską czapkę ze złotym logo i nazwą Gates Security.

– Co tu robisz? – zawtórował drugi.

– Wiesz chyba, że to teren prywatny?

David tylko skinął głową. Domyślał się, że wygląda co najmniej dziwnie.

Po gardle płynęła mu krew.

– Jesteś ranny – stwierdził ochroniarz w czapce i pomógł mu wstać.

Podszedł do nich trzeci mężczyzna. Ciemnoskóry, w garniturze i krawacie.

– Kto to?

– Jeszcze go nie sprawdziliśmy – odparł ochroniarz bez czapki.

– Było z nim jeszcze dwóch – dodał drugi. – Ale uciekli.

Nowo przybyły, trochę podobny do Morgana Freemana, spojrzął na Davida. Przyglądał mu się spokojnie.

– Co tu robisz?

– Ja... – David chciwie łąpał powietrze ustami. – Miałem panu przekazać wiadomość. Od Heaven.

Mężczyzna szeroko otworzył oczy.

– Gdzie ona jest?

– Nie mogę powiedzieć.

Potężny mężczyzna zrobił krok w jego stronę.

– Co to ma znaczyć?

Ochroniarze wymienili niespokojne spojrzenia.

– Mamy poszukać tamtych dwóch? – zapytał jeden z nich.

Mężczyzna w garniturze machnął ręką.

– Nie trzeba – mruknął.

Ponownie skupił się na Davidzie.

– Wróćmy do wiadomości – zaczął spokojnie.

– Heaven mnie prosiła, żebym to panu przekazał. – Szukał w kieszeni koperty.

Mężczyzna przebiegł wzrokiem krótki tekst i podniósł głowę.

– Wiesz, kim jestem?

David uniósł brew.

– Pan Mickey?

Po raz pierwszy ponury mężczyzna rozchmurzył się odrobinę.

– Tak powiedziała? Pan Mickey?

David skinął głową.

– Tak się do mnie zwraca, od dziecka. – Zupełnie inaczej patrzył teraz na Davida. – A ty to... ?

David rozejrzał się dookoła.

Ochroniarz dotknął róna czapki.

– Proszę pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko, rozejrzemy się po całym terenie. Tak na wszelki wypadek. Po południu otrzyma pan raport.

– Dziękuję. – Pan Mickey był bardzo poważny. Spojrzał na Davida i mruknął: – Chodźmy do domu. Myślę, że masz mi sporo do powiedzenia.

– Uprzedzała mnie, że pan to powie, jeśli mnie złapie.

– Miałeś ukradkiem wrzucić liścik?

Potwierdził gestem.

– Cała Heaven. – I wtedy dostrzegł ranę na jego szyi.

– To nic takiego – zapewnił chłopak.

– Czy ona ma kłopoty? – zapytał Mickey.

– Tak.

– Poważne?

David nie wiedział, czy może mu zaufać.

– Tak – odparł w końcu.

– Porozmawiamy w domu – zaproponował pan Mickey.

I weszli do środka. David Pettyfer znalazł się w życiu całkiem obcym i nagle bardzo znajomym.

ROZDZIAŁ 6

MUZYKA SFER

Ochrona jest warta każdego pensa – stwierdził pan Mickey. Szli przez hol. Przez ramię zerknął na Davida. – Zjawili się pięć minut po tym, jak włączył się alarm.

I ani sekundę za wcześnie, pomyślał David. Podziwiał wnętrze domu. Każdy mebel, każdy dywan, każdy obraz był chyba wart majątek. Czuł się jak w muzeum.

Już przedtem, widząc budynek tylko z zewnątrz, pomyślał o starym filmie Alfreda Hitchcocka – *Rebeka*. O tamtej scenie, gdy otwierają się skrzydła bramy i oko kamery przesuwa się po zarośniętym podjeździe, potem dalej, w stronę domu przy akompaniamencie delikatnego głosu Joan Fontaine, której nazwiska nie poznajemy do końca filmu, aż do chwili, gdy naszym oczom ukazuje się Manderley zalane światłem księżyca. Manderley, które jakby budziło się z głębokiego snu. Manderley, kwintesencja tajemniczego angielskiego domiszcza.

David widział ten film jako mały chłopiec. Wtedy właściwie nie rozumiał, o czym opowiada. Wtedy jeszcze nie wiedział tego, co dzisiaj powszechnie wiadomo – że Hitchcock chętnie przedstawiał kobiety pozornie słabe, których siła dopiero pod koniec wychodzi na jaw. Wtedy bardzo się bał o pannę Danvers. W *Rebecce* także była mowa o uwięzieniu w idealnym świecie.

Rozglądał się zdumiony. Wnętrze również przywodziło na myśl Manderley. Stał pośrodku imponującego holu. Ciemne ściany, postacie na ogromnych obrazach, patrzące z góry na przybysza. Lśniąca, jakby wypolerowana, kamienna posadzka i imponujące schody prowadzące na piętro.

David mógł sobie spokojnie wyobrazić, że jest tu wschodnie skrzydło, do którego nie wolno wchodzić, bo tam, za kołysanymi wiatrem kotarami, kryją się mroczne tajemnice. Może nawet na Tamizie, płynącej leniwie przez Old Deer Park, jest hangar, w którym umawiano się na potajemne miłosne schadzki, jak w filmie *Rebeka*

Lokaj zamknął za sobą drzwi i podszedł do niego.

– To tylko kot – mruknął. Garnitur w jodełkę, który miał na sobie, wyglądał na bardzo drogi, ale mimo to pan Mickey sprawiał wrażenie człowieka w przebraniu. Dżinsy i koszulka lepiej by do niego pasowały. – Co prawda nie mamy tu żadnego zwierzaka na stałe, ale czasami odwiedza nas kotka. Podchodzi do bocznego wejścia, od kuchni, siada przed drzwiami, pomiaukuje i liże sobie łapki. Obserwuje swoje odbicie w drzwiach i czeka, aż ktoś wpuści ją do środka.

David przyglądał mu się pozbawionym wyrazu wzrokiem. Co on w ogóle

opowiada? Nagle to wszystko wydało mu się nierzeczywiste. Dom jak żywcem wyjęty z filmów Hitchcocka, śmiertelne niebezpieczeństwo, w którym znajdował się kilka minut temu, krew na jego szyi, rana, która coraz bardziej dawała o sobie znać. A teraz jeszcze ten lokaj, który przedstawiał się jako pan Mickey, stał przed nim i najspokojniej w świecie opowiadał coś o jakimś kocie.

– Kotka – ciągnął pan Mickey tym samym tonem – nazywam ją Panią Łyżeczką, bo zawsze pije tylko jedną łyżeczkę mleka, przyszła dzisiaj i już miałem postawić jej przed drzwiami miseczkę, gdy uciekła przerażona. – Podniósł palec jak detektyw, który zbliża się do kluczowego momentu swego wywodu. – Pani Łyżeczka – pani, bo często znika w krzakach z pewnym kocurem z sąsiedztwa, i to zawsze z tym samym, pozwolę sobie zauważyć – a więc Pani Łyżeczka jest bardzo czujna. – Szli długim korytarzem, na którego ścianach wisiały olejne malowidła. – Wiesz, po kocie widać, kiedy coś jest nie tak. A Pani Łyżeczka była bardzo spięta i czujna. Uciekła, bo w pobliżu był ktoś, kogo nie powinno tu być.

I tyle?

– I dlatego wezwał pan ochronę?

Pan Mickey roześmiał się głośno.

– Nie, uznaliby mnie za wariata. – Doszli do kolejnych schodów, równie majestatycznych, równie szerokich. – Przyjrzałem się obrazowi z monitoringu i zobaczyłem dziwnego typu przy ścianie domu. – Westchnął. – Czasami na teren wchodzi bezdomni. Nigdy nie wiadomo, czego szukają. Jeśli są pokojowo nastawieni, dostają ciepły posiłek, ale jeśli stanowią zagrożenie, wzywam ochronę.

– Tak jak teraz.

– No właśnie.

David w duszy podziękował Pani Łyżeczce.

– Dokąd idziemy? – zainteresował się.

– Na górę, do mojego gabinetu. Tam porozmawiamy.

W ślad za lokajem wszedł na kamienne schody, wsparte na grubych kolumnach. Kamień zdawał się lśnić.

– Od dawna się znacie? – zapytał pan Mickey.

David odpowiedział.

– I nie chce, żebyś mi zdradził, gdzie jest?

– Lepiej, żeby nikt tego nie wiedział.

– Nadal nie wiem, jak się nazywasz.

David pokręcił głową.

– Jeśli to panu powiem, dowie się pan, gdzie jest Heaven.

– Hm.

– Przykro mi.

Mickey zatrzymał się na półpiętrze i zmierzył go wzrokiem.

– A ci dwaj, których widziałem z tobą? Szukają jej, prawda?

David tylko wzruszył ramionami.

– A tak przy okazji, naprawdę nazywam się Michael Jones. Pan Jones. – Doszli do szczytu schodów. – Pan Mickey to przezwisko, które nadała mi Heaven, gdy zjawilem się w tym domu. – Przesunął wzrokiem po korytarzu. – To było dwanaście lat temu. Miała wtedy siedem lat i zaproponowałem, żeby zwracała się do mnie Mickey. Ale ona zawsze mówiła: pan Mickey, nie mam pojęcia dlaczego. Taka po prostu jest Heaven. – Mężczyzna skinął głową. – Jeśli chcesz, też możesz tak do mnie mówić.

David nie zareagował, tylko usiłował jasno myśleć.

Przemyśleć wszystko, przeanalizować sytuację, ocenić zagrożenie, uzyskać informacje, a nie je zdradzać.

Co bynajmniej nie było proste, zwłaszcza po tym, co już przeżył. Cała sytuacja stawała się coraz bardziej absurdalna. Dlaczego lokaj nagle stał się taki wylewny? Tylko dlatego, że dostał liścik od Heaven?

Doszli do kolejnego korytarza. Zdaniem Davida dom stanowił jeden wielki labirynt. Na ścianach wisiały kolejne dzieła sztuki w masywnych ramach, ale tu, na piętrze, były to głównie fotografie. Hale fabryczne pełne maszyn tkackich, urządzenia przypominające gigantyczne kołowrotki i nici między szpulami.

W końcu znaleźli się w małym przytulnym gabinecie, którego okna wychodziły na ogród z tyłu domu.

– Moim zdaniem jednak powinniśmy porozmawiać – powiedział pan Mickey. – Siadaj. – Wskazał fotel. – Zaraz do ciebie wrócę.

David się zawahał. Rozejrzał się po gabinecie lokaja, podszedł do okna. Miał stąd doskonały widok na tylną część posiadłości. W tej chwili panował tu bezruch, nic nawet nie drgnęło między nagimi drzewami i gęstymi krzewami. No tak, ale wcześniej też mu się tak wydawało.

Odczuwał jeszcze szok na samo wspomnienie spotkania ze Scrooge'em i ulgę, że uszedł z życiem. Dopiero teraz do niego dotarło, jak mało brakowało, by... Scrooge był gotów go zabić. Widział to w jego oczach.

Nagle zdał sobie sprawę z czegoś innego – nie miał już wątpliwości, jeśli chodzi o serce. Scrooge sam przyznał, że to on wyciął Heaven serce. Powiedział to głośno i wyraźnie i nie wyglądał przy tym na żartownisia. Co oczywiście nadal nie tłumaczy, jak to w ogóle możliwe, ale jednak...

W filmach główny bohater dowiadyuje się różnych rzeczy i, o dziwo, zawsze szybko przyjmuje do wiadomości wszystko, co los przyniesie. Nieważne, czy chodzi o tajemnicze, niesamowite zjawiska przyrodnicze, absurdalne sekrety czy magię. W filmach wątpliwości znikają jak bańki mydlane – po raz pierwszy w życiu David to rozumiał.

Czyż nie powinien nadal wątpić? Ależ oczywiście! A on co? Uwierzył we wszystko, co mu opowiedziała Heaven. Uwierzył w to, co słyszał od Scrooge'a.

Uwierzył, że po Londynie snuje się tajemniczy złoczyńca z sercem Heaven.

Bo czyż mężczyzna w czarnych rękawiczkach nie wspominał, że pracuje na czyjeś zlecenie?

Do gabinetu wrócił pan Mickey.

– Dobrze, to już załatwione – mruknął, zacierając ręce. – Może się czegoś napijesz? Wody? Herbaty?

David pokręcił głową i zacisnął powieki. Co prawda lokaj wyglądał bardziej przyjaźnie niż poprzednio, ale David nadal nie wiedział, co o nim myśleć. Nawet słowem nie skomentował rany na jego szyi ani nie wezwał policji – co przy tak oczywistym napadzie powinno być pierwszą, naturalną reakcją. Jeszcze dziwniejsza była jego beztroska paplanina. Doświadczenie podpowiadało Davidowi, że nikt nie papie bez powodu. Zazwyczaj była to fasada mająca albo coś ukryć, albo wzbudzić w rozmówcy fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Zwykły pracownik tak się nie zachowuje, tego był pewien.

Ale właściwie co go to obchodzi? Pan Mickey znał Heaven od dziecka i szczerze mówiąc, David umierał z ciekawości, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Nie jesteś stąd – stwierdził Mickey. Przechadzał się wzdłuż okna.

David pokręcił głową.

– Przydadzą jej się czyste ciuchy – powiedział. – Zostanie u mnie przez kilka dni.

Pan Mickey zapalił papierosa.

– Zgadza się?

– Tak.

Chyba go to rozbawiło.

– A ty przychodzisz po jej ciuchy? Tutaj?

David pokręcił głową.

– Powiedziała mi, gdzie mieszka, kiedy nie ma jej tutaj.

Coś rozbłysło w oczach lokaja, zaraz jednak wziął się w garść.

– Ja nie wiem, gdzie dokładnie – rzucił od niechcienia. – To jej schronienie, azyl, jak mówi. – Chyba niezbyt się przejmował, że to przed nim ukrywa. A może tylko udawał?

– Nie interesuje pana, gdzie to jest? – spytał David nieufnie.

– A powiesz mi?

– Nie.

– I dobrze. Ufa ci. Nikomu tego nie mów. Mnie też nie.

David przyglądał mu się i im dłużej to robił, tym dziwniejsza wydawała mu się ich rozmowa.

– Heaven jest już duża – wyjaśnił lokaj. – Jeśli będzie potrzebowała pomocy, wie, gdzie mnie znaleźć. Ale nie pilnuję jej, nie w takim sensie.

– Kim pan jest? – nie wytrzymał David. – Bo przecież nie lokajem?

– Od dawna pracuję dla rodziny Mirrlees. Kiedy zatrudniano tutaj więcej personelu, nie tylko mnie i kucharki, byłem kimś w rodzaju majordomusa. Miałem oko na wszystko, że tak powiem. Teraz przeminął dawny blichtr i zostaliśmy tylko my dwoje.

– Heaven wspominała, że jej rodzice nie żyją.

– Dużo ci powiedziała. Zazwyczaj tego nie robi.

David spojrzął w okno. Ogród za domem był ogromny. Chyba płynnie przechodził w Old Deer Park, ciągnący się aż do brzegu Tamizy.

Pan Mickey starannie zdusił niedopałek w popielnicy z hartowanego szkła wielkości sporego talerza.

– Coś ci pokażę – oznajmił – a potem możesz sobie pójść. – Nie czekając na reakcję Davida, podszedł do drzwi i opuścił pokój.

David ruszył za nim. Szybkim krokiem przemierzali długie korytarze, tak do siebie podobne, że błyskawicznie stracił orientację. Zastanawiał się, jak mogło tu mieszkać małe dziecko.

Pan Mickey skręcił za róg. Schodami w górę, korytarzem pachnącym od kwiatów stojących w wysokich wazonach. Pokoje i saloniki migąły Davidowi przed oczami, tak samo jak przedtem krajobraz za oknami autobusu.

– Jesteśmy! – powiedział w końcu pan Mickey.

Weszli do pokoju pod skośnym dachem. Lokaj uchylił drzwi, wszedł do środka i czekał na Davida.

Pokój był pusty.

No, prawie pusty.

Na podłodze leżał tylko materac, a obok niego kilka książek. David nieśmiało wszedł do środka. Przeglądał opasłe tomy – wszystkie poświęcone astrologii. U sufitu wisiała goła żarówka na długim sznurze, prawie do podłogi, kołysała się jakiś metr nad materacem. Stanowiła jedyne źródło światła.

– To jej pokój – oznajmił pan Mickey i zaraz się poprawił: – To znaczy to był jej pokój.

Pustka onieśmiała. Ściany, pomalowane pastelową pomarańczową farbą, pokrywały napisane odręcznie cytaty. David znał to pismo, widział je na liściku do pana Mickeya. A także fragmenty piosenek. I nuty, obok których nabazgrała: Muzyka Sfer.

Żadnych zasłon, nic. Za to przy oknie na statywie stał teleskop, podobny do tego, który miała ze sobą na dachu.

Ani śladu radia czy telewizora. Ani jednej szafy, tylko kufer, w którym nie zmieściłyby się nawet rzeczy Davida.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. I zdjęcie Heaven z przyjaciółkami na Trafalgar Square.

Jak to wszystko ma się do siebie?

– Dlaczego pan mi to pokazuje? – zapytał.

– Heaven przysłała cię do mnie.

David powoli skinął głową. Pustka pokoju udzielała się i jemu.

– Chyba powinienes trochę o niej wiedzieć – zaczął pan Mickey, wychodząc z pomieszczenia. Skinął na Davida, by poszedł za nim. Gdy znaleźli się na korytarzu, zamknął drzwi. – Matka Heaven, River Talbot, zmarła tuż po jej narodzinach. Rodzina Jonathana Mirrleesa odetchnęła z ulgą, bo małżeństwo z ciemnoskórą dziewczyną nigdy nie było jej w smak. – Pozwolił, by jego słowa zawisły w powietrzu. – Interesowała się astrologią, gwiazdami, przede wszystkim tym fragmentem nieba, którego nie ma nad miastem. Pod tym względem Heaven jest bardzo do niej podobna, choć chyba sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

– W jaki sposób jej rodzice się poznali? – zainteresował się David.

Pan Mickey wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie.

David miał wrażenie, że unika odpowiedzi na to pytanie.

– Wiem tylko to, co sobie opowiadała służba – ciągnął lokaj. – River była piękną kobietą. Cichą, milczącą. Podobno jej śmiech był zaraźliwy. – Podszedł do komody w korytarzu i wziął zdjęcie do ręki. – To ona. Podobna do córki, prawda?

David skinął głową.

– Pochodziła z okolic Fleet Street. Jonathan niewiele mówił o jej przeszłości, co oczywiście stanowiło pożywkę dla najdziwniejszych plotek. Bardzo ją kochał. Ubóstwiał, jeśli wierzyć jego opowieściom. – Umilkł na chwilę i Davida zaintrygowało, jaki właściwie związek łączył pana Mickeya i ojca Heaven. Na pewno nie byli tylko chlebodawcą i służącym; w takim wypadku mówiłby o nim inaczej. – Niestety ich miłość skończyła się o wiele za szybko i ojciec został sam z małą córeczką, dla której nigdy tak naprawdę nie miał czasu. – Posłał Davidowi spojrzenie, z którego ten nie zdołał niczego wyczytać.

– Dlaczego pan mi to wszystko opowiada? – zapytał chłopak.

– Jonathan Mirrlees był bogaty.

– I co mu z tego po katastrofie helikoptera?

Pan Mickey podniósł głowę, jakby dopiero teraz David wytrącił go z równowagi.

– Wiesz, jak zginął?

– Od Heaven.

Lokaj umilkł na chwilę.

– Co ci jeszcze mówiła?

– Nic.

Pan Mickey zdawał się zastanawiać, czy mówi prawdę. Tymczasem doszli schodami do głównego holu. Przyspieszył, jakby nagle chciał jak najszybciej

pozbyć się chłopaka.

– Jonathan o wiele wcześniej zdecydował, że w razie jego śmierci na czele firmy ma stanąć jego wspólnik. Heaven dostaje to, czego pragnie i potrzebuje, ale kariera jej nie interesuje. Pieniądze ją przerażają. A dom zawsze wydawał jej się za wielki.

David domyślał się, do czego zmierza.

– Nie robię tego dla pieniędzy.

– A z jakiego powodu? – Pan Mickey przyglądał mu się podejrzliwie. Doszli do sedna. I po tej całej paplaninie, o której David nie wiedział, co myśleć, poczuł coś w rodzaju ulgi.

– Chcę jej pomóc. – Doszli do drzwi. – Nie mam pojęcia, w co się wpakowała, ale chcę jej pomóc.

– Ci dwaj na dworze... – Urwał w połowie zdania.

David podjął decyzję. Czas sprawdzić lokaja. Przekonać się, co właściwie kryje się za jego nieprzeniknioną miną.

– Heaven twierdziła, że jeden z nich wyciął jej serce.

Pan Mickey pokręcił głową.

– To kolejna z jej historii.

– Jak to?

– Posłuchaj – zaczął i uważnie przyjrzał się Davidowi. – Kiedy była mała, spędzała dużo czasu sama. Więcej, niż powinna. I wtedy wymyślała różne historie, żeby... postrzegać się we właściwym świetle.

– Chce pan powiedzieć, że to o sercu to kłamstwo?

– Cóż, może nie do końca kłamstwo.

David skinął głową.

– Żeby wszystko było jasne, martwię się o nią – podkreślił pan Mickey.

– Chcę, żeby była bezpieczna. – Podeszedł do Davida, dźgnął go palcem w pierś.

– Jeśli ją skrzywdzisz, znajdę cię.

David chciał coś powiedzieć, ale pan Mickey gestem nakazał mu milczenie.

Lokaj uśmiechnął się ciepło.

– Bądź dla niej dobry, i tyle. Nie wiem, gdzie mieszka. Gdzieś w Londynie, tyle udało mi się z niej wyciągnąć. Zjawia się tu co tydzień. Pijemy herbatę i rozmawiamy, choć nigdy o tym, co tak naprawdę robi. Wiem, że lubi zakradać się na dachy i obserwować nocne niebo. Kiedy tu przychodzi, opowiada mi o szkole i o tym, co jej zdaniem mnie interesuje i uspokaja. To dobra dziewczyna. Nie zapominaj o tym.

– Chcę jej pomóc – zapewnił. – Naprawdę.

– Uważaj, z kim się zadajesz. Ci dwaj są niebezpieczni.

– Wiem.

– I bez względu na wszystko, co ci powiedziała, nie wierzę, że zabrano jej

serce. Bez serca nie można żyć. Pamiętaj, ona uwielbia różne historie. Zawsze tak było.

David wyszedł na zewnątrz. Zimne powietrze dobrze mu zrobiło.

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Musisz jej coś przekazać.

– Co?

– Powiedz jej, że kiedy wpadnie w tarapaty, w naprawdę poważne tarapaty, ma iść do Canary Wharf.

– Canary Wharf to wielki teren.

– Będzie wiedziała dokąd dokładnie. – Pochylił się, wyjrzał na dwór. – Ale nie zechce prosić o pomoc. – Pan Mickey przyglądał się Davidowi, szukał w nim odrobiny pewności. – Bywa bardzo uparta. – Westchnął. – Musisz dopilnować, by to zrobiła, zanim będzie za późno.

David wołał nie odpowiadać, kolejny raz. Lokaj zastanawiał się, czy coś dodać, ale wołał milczeć.

Na dworze wiał lodowaty wiatr. Niebo zasnuły ciemne gęste chmury. David pożegnał się i pobiegł w stronę ulicy.

Pędził Twickenham Road, myślał o cudzym życiu, którego fragment zobaczył, o misternych kłamstwach spowijających prawdę. Myślał o Heaven, o tym, co miał zrobić, i przez ten czas nawet raz nie obejrzał się za siebie.

DRUGIE INTERLUDIUM

PAN MICKEY

W wielkim domu zadzwonił telefon, ale nikt nie podniósł słuchawki. Michael Jones stał przy oknie i z zadumą odprowadzał wzrokiem szczupłą postać biegnącą podjazdem do bramy. Chłopak poruszał się miękko, płynnie, podobnie jak Heaven. Czerwone trampki niosły go miękko po bruku.

Pan Mickey westchnął cicho. Być może popełnił błąd, dokonał złego wyboru. Teraz jednak było już za późno.

Chłopaka, który nie zdradził ani swego nazwiska, ani adresu, nie można lekceważyć, wiedział to od początku. Choć pozornie był szczery i ufny, o wielkich oczach patrzących niewinnie spod niesfornej czupryny, jakby nie potrafił skrzywdzić muchy – Mickey wyczuwał w nim oszusta na kilometr. Zwłaszcza że nawet okiem nie mrugnął, choć rana na szyi zapewne dawała mu się we znaki.

Tak, to chyba był błąd. Mickey opuścił potężne ręce. W takich chwilach przeklinał Jonathana Mirrleesa.

Park od dawna był pusty i ponury, gdy w końcu pan Mickey odwrócił się od okna i szedł długimi schodami na parter, do swego mieszkania – trzech pokoi obok saloniku, w którym Freema dawniej rysowała gwiazdy.

Jego kroki niosły się echem przez pusty dom. Mijał niezliczone obrazy i fotografie, które od miesięcy stanowiły jego jedyne towarzystwo. Coś otarło się o jego nogi – kotka, która wyszła z kuchni.

Michael Jones otwierał właśnie drzwi do swego mieszkania, gdy na podjazd wjechał samochód.

ROZDZIAŁ 7

POCZTÓWKI Z INNEGO ŚWIATA

David doskonale znał uczucie towarzyszące bezcelowemu rajdowi przez miasto. W Cardiff było dokładnie tak samo. Biegł od muru do muru, raz za razem, co chwila. Tutaj podobnie. Był w ciągłym ruchu i nie za bardzo wiedział, czy dzięki temu w ogóle przesuwa się do przodu. Ale biegł dalej, bo nie było powrotu.

Autobusem dojechał do Earl's Court, stamtąd wsiadł do linii Hammersmith, dalej Bakerloo, bo w ten sposób mógł najszybciej dotrzeć do Little Venice. Bardzo niechętnie jechał metrem do Warwick Avenue. Pod ziemią, w świetle długich tuneli i smaru maszynowego, oddychał z trudem.

Ale chciał jak najszybciej mieć to wszystko za sobą. Odnosił wrażenie, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Działo się zbyt wiele, a nad niczym nie panował. A teraz jeszcze to metro.

Nie znosił tłumów i odgłosów wypełniających za wąskie korytarze. Ludzkiej masy. Owszem, metro było szybkie, pod tym względem był realistą – i zarazem pesymistą. To, że nikogo nie zauważył, wcale nie znaczyło, że nikt go nie śledzi. Co mu da ciągle oglądanie się za siebie? Przecież nawet w spokojnym ogrodzie nikogo nie dostrzegł! Nie, lepiej, jeśli sam stanie się niewidzialny. Co jakiś czas więc rozpływał się w tłumie, dwukrotnie się przesiadał, biegł zygzakiem w ciasnych korytarzach, dawał się ponieść tłumowi.

W myślach analizował zachowanie pana Mickeya. Ani przez chwilę mu nie ufał. Jasne, każdy pozwala niepełnoletniej dziedzicze milionowej fortuny mieszkać gdzieś w mieście bez nadzoru. I bez mrugnięcia okiem akceptuje, że ukrywa się z nieznanym chłopakiem. Najważniejsze, żeby był dla niej dobry.

Tylko naiwniak w to uwierzy.

David wyskoczył z metra, biegiem pokonał schody ruchome – nie dlatego, że wypatrzył prześladowcę, tylko dlatego, że jak najszybciej chciał wydostać się na powierzchnię, chwilę później zobaczył światło dzienne i znowu był na świeżym powietrzu.

W końcu. Marylebone.

Dobra, teraz na barękę, spakować trochę ciuchów, a potem do Charing Cross i z powrotem do antykwariatu!

Zastanawiał się, ile z tego, co mu się dzisiaj przydarzyło, powinien opowiedzieć Heaven. Rana na szyi bardzo bolała. Zaklął pod nosem i postawił kołnierz kurtki. Lodowaty wiatr hulał po ulicach, choć powietrze pachniało już nie śniegiem, ale dobrze znanym londyńskim deszczem. Przynajmniej to wróciło do

normy, przemknęło mu przez głowę.

Wkrótce znalazł się w Little Venice.

Ten ukryty zakątek Marylebone zawdzięczał nazwę kanałowi, w którym cumowały liczne barki mieszkalne. Znajdował się między domami z muru pruskiego z dawnych czasów, wśród pochylonych drzew. Pełno tu było mostków i kanałów, nad których brzegami stały ławki – wiosną, jesienią i latem miejsce dla zakochanych i rozmarzonych, którzy tu przesiadywali, całowali się, czytali czy po prostu nic nie robili.

Teraz niewiele się tu działo. Nabrzeżem biegł samotny biegacz, w oddali dostrzegł kilku właścicieli z psami.

David poczuł zapach zimnej wody i przypomniał sobie Cardiff, jego ukochany zakątek na wybrzeżu, fale przyływu, krzyk mew nad głową i statki mknące w oddali. Ostatnimi czasy rzadko udawało mu się tam wyrwać.

Śliczna okolica. Spokojna, skłaniająca do marzeń.

Romantyczna jak z pocztówki.

Rozumiał doskonale, że Heaven chciała uciec z domu w Richmond. Wiedział, jakie to uczucie, gdy nie masz czym oddychać, bo inni oczekują, że będziesz żyć nie tak, jak tego pragniesz.

Tu, nad wodą, pachniało wolnością.

Dotarł do małego nabrzeża, gdzie zbiegały się kanały Paddington, Regent's i Grand Union. Jak oaza przycupnęło ono wśród starych domów porośniętych bluszczem, wśród drzew i żywopłotów ciągnących się wzdłuż chodników.

Także i tu cumowało wiele barek, nie tylko mieszkalnych – były na nich sklepy i restauracje, czasami połączone z nabrzeżem prymitywnym trapez w postaci prostych desek. Jeśli opuszczały kanał, płynęły Grand Union aż do Camden Lock.

Heaven opisała swoją barkę ze szczegółami. Jasnoniebieska, z miniaturowym trawniczkiem na dachu, i co bardzo ważne, z brązowymi doniczkami, z których sterczą zwiędłe rośliny. I krzywy komin na dachu.

Super. Niemal wszystkie pasowały do tego opisu.

Powoli wszedł na mostek, z którego miał widok na Little Venice i trzy łączące się kanały. Nabrzeżem sunęli nieliczni przechodnie. Wszyscy wydawali się trochę zagubieni, jak statyści w skeczu Monty Pythona.

W końcu wypatrzył jej barkę. Tak, to na pewno ta. Bezpośrednio przy niej cumowała inna, większa, o okrągłych bulajach, zasłoniętych barwnymi firankami i zasłonkami.

Po raz ostatni rozejrzał się na wszystkie strony. Ani śladu Scrooge'a, łachmaniarza, Mickeya.

A zatem...

Zbiegł z mostka, zbliżając się do nabrzeża, przy którym cumowała łódź

Heaven. Sąsiednia barka też była zamieszкана. Ze środka dobiegała cicha muzyka, coś hinduskiego, gorączkowy, psychodeliczny kawałek. Pomalowano ją w dziecinnie żywe kolory. Na ścianach ktoś uwiecznił mandale, na płaskim dachu siedział kamienny Budda. W kamiennych donicach sterczały owinięte folią egzotyczne krzewy. Otwarte palenisko było puste, wiatr dawno wywiał resztki popiołu.

David przebiegł przez barcę, wszedł na drugi trap i znalazł się na barce Heaven. Czuł się prawie jak na londyńskich dachach. Poruszał się niemal bezszelestnie. Nie miał ochoty zwracać na siebie uwagi mieszkańców barki. Jak na jeden dzień miał dość wszelkich rozmów.

Heaven dała mu klucz. Wygrzebał go z kieszeni i pochylił się nad niskimi drzwiami.

Cisza.

Ostrożnie uchylił drzwi i wszedł do środka. Przez małe okienka wpadało mdłe światło, zdawało się wprawiać w ruch drobinki kurzu i cienie. Dostrzegał tylko zarysy przedmiotów, nic więcej.

Wnętrze barki w niczym nie przypominało ascetycznego pokoju w Richmond. Z niskiego sufitu zwisały kolorowe lampiony i dziwne postacie z tektury, przywodzące na myśl istoty z teatru cieni. Zimne deski podłogi kryły się miejscami pod chodnikami w indyjskie wzory. W mikroskopijnym kambuzie stał stół i krzesła, przyśrubowane do podłogi. I wszędzie wisały półki z książkami, zajmowały wszystkie ściany. Nie mógł się oprzeć, musiał rzucić okiem. Przede wszystkim były to książki poświęcone gwiazdom, astrologii i astronomii. Zapisy obserwacji nieba i mnóstwo publikacji na temat zadziwiającego zjawiska, jakim było zniknięcie nieba nad Londynem.

Przez chwilę odnosił wrażenie, że jest złodziejem, intruzem grzebiącym w cudzym życiu. Bo tutaj Heaven naprawdę żyła, czuł to wyraźnie. I właśnie dlatego tak dziwnie było przebywać w tym miejscu bez niej.

A jednak sięgnął po kolejną książkę. *Noc skradziona nad Londynem*, przeczytał tytuł. Otworzył. Na pierwszej stronie widniało imię: River, napisane niebieskim atramentem, pięknymi, zaokrąglonymi literami.

Przekartkował ją. Dobrze znał tę historię. Dotyczyła komety, która tamtej nocy, gdy nad centrum zniknęło niebo, spadła na Ziemię. Żadne obserwatorium na świecie nie dostrzegło, że się zbliża. Dopiero gdy nad Londynem rozbłysła luna, ludzie w panice uciekali z domów. A potem ogień zgasł, a nocne niebo pociemniało. I tyle. Po prostu zniknęło. Nie było gwiazd, światła, nic. Nocą nad City ziała niezgłębiona pustka. Także dzisiaj wyglądało to trochę tak, jakby ktoś siłą wyrwał kawałek firmamentu. Każde spojrzenie w nicość budziło niepokój, bo ludzie nie znoszą pustki. I dlatego nikt już nie patrzył w górę.

David zamknął książkę i odstawił na miejsce. A potem myszkował dalej.

Tyle książek na ten sam temat. Zjrzał do kolejnej. Wszędzie trafiał na imię jej matki. Skrupulatnie podpisywała wszystkie książki, na pierwszej stronie, pod samym tytułem. Obok widniała data zakupu.

Sprawdził daty wydania. Wszystkie książki River miały co najmniej osiemnaście lat, a później zwyczaj podpisywania książek przejęła Heaven. W nowszych publikacjach widniało jej pismo. Wszystkie dotyczyły brakującego skrawka nieba.

Kiedy jeszcze mieszkał w Cardiff, znał tę pustkę tylko z filmów i dokumentów omawianych w szkole. Widziało je każde angielskie dziecko. Nocna pustka zawisła przede wszystkim nad londyńskim City, skąd rozciągała się na południe do Southwark i dalej, w kierunku przedmieść South Bank, na północ, do Spitalfields i dalej, do Soho. W pierwszych latach docierała aż do Kensington.

David zamknął książkę i odstawił na półkę. W kajucie, niewiarygodnie wręcz ciasnej, na ścianach wisiały fotografie i pocztówki, przymocowane pineskami do drewnianych ścian. Kolejne sceny z cudzego życia: rodzice Heaven, objęci i szczęśliwi, czerwony plastikowy samochód z dumną małą pasażerką, nagrobek z bukietem kwiatów, pocztówki z plakatami z filmów i seriali: *Eaton Place*, *Blackpool*, *The Onedin Line*. I znowu książki: *13 Clocks* Jamesa Thurbera, *Piotruś Pan* Jamesa Barriego, *Box of Delights* Johna Masefielda, *Północ w tajemniczym ogrodzie* Philippa Pearce, zaczytany do niemożliwości *Buszujący w zbożu* J.D. Salingera i w jeszcze gorszym stanie – *A Trip to the Stars* Nicholasa Christophera.

Przez chwilę stał nieruchomo i chłonał to cudze życie, nagle tak bardzo namacalne. Dotykał grzbietów książek, jakby liczył, że zdradzą mu swoje tajemnice, ale książki milczały, jak mają w zwyczaju dobre książki, gdy dotyka ich ktoś inny niż właściciel.

David odwrócił się, obszedł ciasne wnętrze i usiłował wyobrazić sobie zwykły dzień w życiu Heaven Mirrlees. A więc tutaj się budziła, na tej koi ścierała z oczu resztki snu. Przeciągała się i znużona zerknęła w lustro. Biegła na zajęcia, uczyła się, wracała na barkę i... co dalej?

Co wtedy?

Nic o niej nie wiedział. Kim były jej przyjaciółki z fotografii? Miała chłopaka? Co właściwie studiuje? Gdzie przebywa częściej – tu czy w Richmond?

Wszędzie rośliny. Rosły w donicach, wiadrach, zardzewiałych konewkach, a kilka nawet w szufladach. Co wyższe sięgały sufitu, trącały barwne lampiony.

David podszedł do szafy. Znalazł torbę tam, gdzie mu powiedziała, i zaczął pakować ciuchy, o które prosiła. Znowu poczuł, że w tej chwili jest bardzo blisko Heaven. Znał ją od niecałych dwunastu godzin, ale nie umiałby tego inaczej określić. Była mu bliska.

Nagle drzwi stanęły otworem. Rzuciły się na niego dwie ciemne postacie.

Wyższy napastnik pchnął go na ziemię, zanim David w ogóle zorientował się, co się dzieje. Był silny i krzyczał coś, czego David nie rozumiał, bo od upadku szumiało mu w uszach.

Druga postać zachowała bezpieczną odległość. Trzymała coś w ręku – kij? Miotłę? Coś takiego, nie widział dokładnie, dostrzegał jedynie zarys sylwetki.

– Coś ty za jeden?! – wrzasnął wyższy. – I co tu robisz?

David cały czas leżał na podłodze. Dobrze chociaż, że głos, który usłyszał, był młody i ochryply i w niczym nie przypominał głosu Scrooge’a.

– Przyszyła mnie Heaven – wykrztusił z trudem, bo nieznajomy ścisnął go za szyję. Rana pulsowała bólem.

– Najgłupsze wytłumaczenie, jakie w życiu słyszałam – powiedziała postać przy drzwiach, sądząc po głosie, młoda dziewczyna, najwyżej dwa, trzy lata starsza od niego.

David chciwie zaczerpnął tchu.

– To nie jest wytłumaczenie.

– Buszujesz w jej szafie i kradniesz ciuchy – wysapała gniewnie – jakoś sobie nie wyobrażam, żeby Heaven prosiła kogoś, żeby macał jej bieliznę.

– No właśnie – zawtórował chłopak.

David widział rękaw kolorowej koszuli i poczuł zapach kadzidełek.

– Dzwonię po policję – oświadczyła.

David wychrypiał coś niezrozumiale.

– Co on mówi? – zapytał ten wyższy. Jego ton sugerował, że nie bardzo go to obchodzi.

– Kim jesteście, do cholery? – David usiłował się uwolnić, ale chłopak trzymał mocno. – Słuchajcie, mam przy sobie klucz. Jak waszym zdaniem dostałem się do środka?

– Zakradłeś się jak złodziej – rzuciła dziewczyna.

– Wyglądasz na złodzieja – dodał chłopak.

– I tłumaczysz się jak złodziej.

– Ale nie jestem złodziejem, naprawdę – wysapał. Cholera, czy już nigdy nic mu się nie uda?

– Zamknij się.

– I co teraz? – mruknęła dziewczyna.

Chłopak zamyślił się na chwilę.

– Dzwonimy po policję. Zdecydowanie.

– Nie – wysapał David.

– Aresztują cię.

David szybko oddychał. Myślał intensywnie. Żadnej policji, to jasne. Nie tylko ze względu na niego, ale i na Heaven, bo przecież sprawdzą, na czyją barkę się rzekomo włamał. Jej nazwisko pojawi się w ich aktach, a z tego, co już wiedział

o Scrooge'u, to tylko kwestia czasu, kiedy ten dowie się o barce. I przy okazji pozna adres Davida.

– Ja tylko jej pomagam – nie dawał za wygraną. – Jestem jej przyjacielem.

– Ona nie ma przyjaciela – szybko odparł chłopak. Ton jego głosu zdradzał, że nie wierzy Davidowi.

– Znamy ją – dodała dziewczyna.

W pewnym sensie ulżyło mu, gdy zrozumiał, co mieli na myśli.

– Nie, nie jestem jej chłopakiem – zapewnił. – Tylko przyjacielem.

Nieznajomi wymienili niespokojne spojrzenia.

– Nigdy cię tu nie widzieliśmy – mruknął chłopak.

– Po raz pierwszy jestem na barce.

– Czego chcesz? – Uścisk zelżał odrobinę.

– Mówiłem przecież. Przyszedłem po jej rzeczy.

– Po co?

– Chciała mieć czyste ciuchy. Ona... – Właściwie niby dlaczego mu cokolwiek mówi? Nie zna przecież tych ludzi. Na dodatek kolega Kadzidelko cały czas wciskał mu twarz w podłogę.

– Dobra, posłuchajcie. Wczoraj poznałem Heaven na dachu, gdy obserwowała gwiazdy. Chodzi do Chelsea Independent College i lubi dżem malinowy.

To było wszystko, co o niej wiedział, z czego zdał sobie sprawę dopiero w tym momencie. Ale wystarczyło.

Uścisk znowu zelżał. David wyślizgnął się spod napastnika, odwrócił i zobaczył, kto go pokonał. Nieznajomy miał okrągłą twarz z kozią bródką i bokobrodami, jak z powieści Dickensa. Natomiast bynajmniej nie z Dickensa były jego kolorowe ciuchy. Dżinsy, farbowana koszula, rzemyki na szyi, kolczyki z piórek. Dredy, sfilcowane w niekształtną masę, opadały mu aż na ramiona.

– Julian – przedstawił się nieznajomy. – A to Eve.

Dziewczyna wysunęła się z cienia. Była szczupła, cała w czerni, przypominała młodą Sinead O'Connor.

– Mieszkamy obok na barce.

– Jesteśmy sąsiadami Heaven.

– Zazwyczaj nikt nie zakrada się na pokład – dodała Eve. – Bo wiesz, wszyscy nawzajem mamy na siebie oko.

– Wszyscy?

– My z barek, mieszkańcy Little Venice.

– Nie lubimy, gdy obcy kręcą się po okolicy.

– A ty chyba nie jesteś...

No nie, litości!

– Cardiff – rzucił zrezygowany. – Pochodzę z Cardiff.

– Och, Cardiff.

– Byliśmy tam kiedyś.

– Latem.

David przewrócił oczami.

– Super. Mogę wstać.

Julian podał mu rękę.

– Chodź. – Pomógł mu dźwignąć się z podłogi.

– Heaven ma problemy? – zapytała Eve.

David tylko skinął głową.

– Nie możesz powiedzieć, o co chodzi? – domyśliła się Eve i wymieniła znaczące spojrzenie z chłopakiem. – Cała Heaven.

– Tak? To w jej stylu? – podchwycił David.

– Owszem. – Julian się roześmiał. – To nawet bardzo w jej stylu.

David odgarnął włosy z twarzy.

– Jak dobrze ją znacie?

– Jesteśmy sąsiadami – odparł Julian, jakby to wszystko tłumaczyło.

Eve udzieliła konkretniejszej odpowiedzi:

– Znamy ją, odkąd zamieszkała na barce. Czyli... – zamyśliła się – mniej więcej od półtora roku. Zazwyczaj nikt jej tu nie odwiedza. Chce być sama, dlatego mieszka na barce. Wspominała, że ma jeszcze inny dom i że tamci nic nie wiedzą o barce.

– Ale zwykle jest tutaj.

– Tak.

– Taka jest – dodał Julian. – Tajemnicza. – Uśmiechnął się szeroko. – Czasami snuje opowieści, o których nie wiadomo, czy są prawdziwe, czy nie. A potem znowu zamyka się w sobie. – Zmierzył Davida wzrokiem. – Eve ją zagadnęła, poznały się na imprezie. Heaven dowiedziała się, co robi Eve, i zaintrygowało ją to. – Wskazał amulet, który miał na szyi. – Eve robi amulety z gwiazdą w środku – wyjaśnił z dumą.

– Bardzo ładne – przyznał David.

– Dzięki. – Eve uśmiechnęła się, ale w jej spojrzeniu nadal była nieufność.

– Ja gotuję, a Eve komponuje i robi amulety – tłumaczył Julian.

David skinął głową.

– Słuchajcie, to wszystko jest bardzo ciekawe, ale na mnie już czas. Heaven ma kłopoty.

– A ty pomagasz, grzebiąc w jej ciuchach? – Julian znowu łypnął podejrzliwie.

– Nie grzebię – wyjaśnił. – Zabieram je dla niej.

Cholera, znowu się zaczyna?

A jakże.

– Powiedzmy tak – odparł Julian. – Zastaliśmy cię u Heaven z rękami po łokcie w jej ciuchach. A nie jesteś zbyt rozmowny.

– Wiem.

Eve od razu przeszła do rzeczy.

– Po prostu nie chcesz, żebyśmy dzwoniли po policję.

– Fakt – przyznał. Niby czemu miałby to ukrywać?

– No więc? – Eve przyglądała mu się uważnie.

– No więc co?

– Jak się nazywasz?

Dopiero teraz dotarło do niego, że w ogóle się nie przedstawił.

– David – odparł.

– David – powtórzył Julian. – Masz jakieś nazwisko?

– Tak.

– Hm. – Julian bawił się włosami.

– Kiedy wam powiem, jak mam na nazwisko, będziecie mogli ustalić, gdzie mieszkam.

– A co w tym takiego strasznego?

– Heaven się ukrywa – wyjaśnił i sam poczuł, jak dziwnie to wszystko brzmi. A potem przedstawił im ocenzurowaną wersję wydarzeń ze Scrooge'em i jego pomagierem w rolach głównych. Darował sobie pewne szczegóły, jak brakujące serce i dokładny opis obu mężczyzn.

Kiedy skończył, Julian i Eve milczeli.

Wymienili spojrzenia tak znaczące, że równie dobrze mogli powiedzieć to na głos.

– Ja tam jestem zdecydowanie za wezwaniem policji – oświadczyła Eve.

Julian stanął między Davidem i drzwiami, odcinając mu ewentualną drogę ucieczki.

– Słuchajcie, a może po prostu zadzwonicie do Heaven? I sami ją zapytacie.

– Podobno nie chcesz, żebyśmy wiedzieli, gdzie jest.

– Ja wybiorę numer.

– Nie ruszaj się – syknął Julian.

Eve podeszła do walizki w najdalszym kącie, uklękła, uniosła wieko i wyjęła telefon komórkowy. Taki sprzed dwudziestu lat. Ogromny, nieporęczny, cały pomarańczowy. Na pewno nie taki, który zapamięta wybierany numer.

Podeszła do Davida i wcisnęła mu aparat w dłoń. Nie odrywając wzroku od Eve i Juliana, wybrał numer.

W antykwariacie zadzwonił telefon.

– Tu David. Czy mógłbym rozmawiać z Heaven?

Panna Trodwood, która podniosła słuchawkę, zawołała ją głośno.

Eve podeszła do Davida, wyrwała mu telefon i cofnęła się do kambuza.

Najwyraźniej usłyszała głos Heaven, bo mruknęła coś niezrozumiale, skinęła głową, mruknęła, znowu skinęła. W końcu powiedziała:

– Tak, jest tutaj. Ma na imię David. Tak twierdzi. – I znowu mruknięcie i skinienie. Wstała, podeszła do Davida. – Chce z tobą rozmawiać. – Podała mu słuchawkę.

– Jak miło – prychnął i łypnął gniewnie na Eve.

Podniósł słuchawkę do ucha.

– Masz miłych sąsiadów, nie ma co – zaczął. – Pilnują twojej barki, jakby nie mieli nic innego do roboty.

Julian i Eve uśmiechnęli się bardzo z siebie dumni.

– Musimy się spotkać – odparła krótko Heaven. – Masz moje rzeczy?

Skinął głową, ale zaraz sobie przypomniał, że go nie widzi, więc zaczął mówić:

– Tak jakby. – Później jej wszystko wyjaśni. – Co jest?

– Wszystko – odparła. – Znasz knajpę Fitzroy na Charlotte Street?

– Znajdę ją.

– Dotrzesz tam za pół godziny?

– Coś się stało?

Wydawała się bardzo poruszona.

– Bądź tam, proszę!

David stłumił westchnienie. Nie był pewien, czy naprawdę chce wiedzieć, co się stało.

– Jasne.

– Dzięki – mruknęła i rozłączyła się.

David cały czas trzymał aparat w dłoni. Patrzył na niego przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na Juliana i Eve, którzy nie spuszczała go z oka.

– Wiecie może, gdzie jest knajpa Fitzroy? – zapytał tylko.

Eve wzięła aparat.

– Fitzroy Tavern – mruknęła. – Niedaleko, na Charlotte Street. – Podeszła do walizki, schowała telefon, opuściła wieko.

– Jak tam dotrę?

Julian tłumaczył ochoczo, jakby chciał się w ten sposób zrehabilitować.

David spakował resztę ciuchów, zapiął torbę.

– Czas na mnie.

Eve złapała go za rękę.

– Uważaj na nią, dobrze? Heaven jest wyjątkowa.

– Wiem – odparł. Nie unikał jej wzroku. – Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? – Miał przeczucie, że dziewczyna chce jeszcze coś dodać, zanim opuści barkę.

– Jej mama miała obsesję na punkcie brakującego kawałka nieba. – Julian

spojrzał na książki.

– Domyśliłem się tego.

I znowu to Eve przeszła do rzeczy.

– Wiesz, kiedy Heaven się urodziła?

Nie wiedział.

– Dwudziestego piątego listopada. – Dodała rok.

David sam nie wiedział, jak to skomentować. Wodził wzrokiem od Eve do Juliana i z powrotem.

– Czy dlatego ojciec nazywał ją Heaven?

Eve wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiemy.

– Matka zmarła tuż po jej narodzinach, tylko tyle nam powiedziała.

David nie pytał dalej, bo nikt nie znał odpowiedzi na pytania, które cisnęły mu się na usta. Dwudziesty piąty listopada, data, którą znało każde dziecko w Londynie. Co to wszystko miało znaczyć? Kim naprawdę jest Heaven?

Nikt tego do końca nie wiedział, każdy miał w dłoni zaledwie kilka kawałków układanki, ale nie ogarniał całego obrazu.

– Czas na mnie – mruknął, bo nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać.

– Gdyby potrzebowała pomocy, może na nas liczyć – podkreśliła Eve.

– Wiem, że tego nie robi, ale jesteśmy tutaj. Przekaż jej to.

– Dobrze.

– I powiedz, że mamy oko na jej barkę.

Julian i Eve odprowadzali go wzrokiem, gdy schodził z pokładu. David wyszedł na brzeg, zapadał zmierzch. Jeśli bywają dni, gdy człowiek wnika w cudze życie, tak jak senne obrazy wciskają się pod powieki w chwili przebudzenia, dzisiaj był jeden z takich dni. Z tą myślą David Pettyfer puścił się biegiem, mijał kanały i ulice, by gdzieś tam, w spowitym mrokiem mieście, zobaczyć się z Heaven.

ROZDZIAŁ 8

FITZROY TAVERN

Kiedy wrócił z Little Venice, pobiegł na stację St. Pancras przy Euston Road, gdzie w schowku ukrył torbę z ciuchami Heaven. Schował kluczyk do kieszeni spodni, przeszedł przez wielką halę o dachu ze szkła i stali, który elegancką kopułą przykrywał cały dworzec. Ludzie szli od pociągów do metra, kręcili się we wszystkie strony, panował niewiarygodny tłok, typowy dla popołudniowych godzin szczytu, gdy mieszkańcy przedmieść wracali do domów. Szybko opuścił dworzec.

Biegł Euston Street i nie zwracał uwagi na lodowaty wiatr smagający go w twarz. Bez bagażu poruszał się szybciej, nie lubił obciążenia, bo wtedy czuł się skrępowany.

Ci, których mijał tego popołudnia, nie zwracali na niego uwagi. Niebo nad Londynem pociemniało i na firmamencie panowała pustka, jak zawsze o tej porze. Dalej, tam gdzie zaczynało się Kensington, pustka ustępowała miejsca normalnemu niebu, z chmurami i gwiazdami.

Przypomniało mu się, co powiedział Julian – data urodzin Heaven. Nie wiedział, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, a jeśli tak, to jakie.

Dlaczego tak bardzo zależało jej na rozmowie? A może stało się coś, co im pomoże? Odkryła coś, co tłumaczy te wszystkie dziwne wydarzenia?

Czułość już weszła mu w krew. Ale wyglądało na to, że nikt go nie śledził.

Z King's Cross i stacji St. Pancras do Charlotte Street był mniej więcej kilometr – w linii prostej, czyli górą, i w taki sposób David postanowił pokonać ten dystans. Na samą myśl, że wędruje dachami, wolny od otaczających go murów, odetchnął z ulgą.

Wszedł do budynku przy Judd Street. Ogromnego gmaszyska, w którym mieściły się i biura, i mieszkania prywatne. Jest wiele sposobów, by dostać się na dach. Najprościej przez budynek z otwartymi drzwiami wejściowymi. Najczęściej były to biurowce bez ochrony albo budynki, w których mieściły się mniejsze firmy. W środku zawsze znajdowały się niezamknięte drzwi na klatkę schodową. Jeśli to nie zadziałało, dzwonił do mieszkań, aż ktoś go wpuścił. A ktoś zawsze to robił. Na wypadek gdyby nic nie poskutkowało, David miał przy sobie zgrabny zestaw wytrychów, kołyszących się przy breloku z kluczami. Początkowo, kiedy był nowicjuszem na dachach Londynu, dziwiło go, że mieszkańców nie obchodzi widok nieznanego na klatce schodowej. Bardzo rzadko pytali go, kim jest i czego tu szuka. Większość w biegu kiwała mu głową, i tyle. Potem wpadał na

schody i musiał już tylko znaleźć drzwi na strych albo otwarty lufcik. Cokolwiek, co prowadziło go na dach.

Budynek przy Judd Street nie stanowił żadnej przeszkody. Zadzwoił zaledwie dwa razy i ktoś mu otworzył. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Na klatce schodowej wypatrzył okno i błyskawicznie znalazł się na dachu.

Rozkoszował się widokiem, panoramą od Euston Street do Fitzroy Square. Szedł szybko, ale ostrożnie. Było mokro i ślisko, bo miejscami dachy pokrywała cienka warstewka lodu.

Zazwyczaj najniebezpieczniejszy moment to przejście z jednego dachu na drugi. Czasami trzeba skakać, zdarzają się jednak ukryte przejścia, drabiny zostawione przez kominiarzy, dzięki którym stosunkowo bezpiecznie i bez wysiłku można pokonać nawet spore przestrzenie.

Co jakiś czas zerkał w dół i wtedy wydawało mu się, że patrzy na pocztówkę z miejsca, którego nigdy dotąd nie widział. Miasto, w którym wszystko jest inne tylko dlatego, że i jego życie radykalnie się zmienia.

Potem ruszył dalej, biegł wzdłuż gzymsów, przeskakiwał rynny, nabierał rozpędu na załomach muru i wykuszach, aż zobaczył neonowy szyld starego pubu, w którym czekała Heaven.

Fitzroy Tavern.

W oknach migotało ciepłe światło, otulało staroświeckie drewniane meble, jakby ogrzewała je dusza zrodzona w opowieściach gości, tych dzisiejszych i tych sprzed lat.

David wrócił na ziemię – zwykłymi schodami, po konarze drzewa, schodami przeciwpożarowymi. Lekko zeskoczył na ulicę. Czuł, że jest gotowy na wszystko, co jeszcze się wydarzy.

Szybkim krokiem pokonał skrzyżowanie. Znał ten plac, był tu nieraz.

Fitzroy Tavern przy Charlotte Street okazała się wiekowym pubem, który z czasem przerobiono na restaurację. Dawniej było to miejsce spotkań artystów, pisarzy i malarzy. Dzisiaj z fotografii zadymionego baru spoglądali: Dylan Thomas, Augustus John, George Orwell, Michael Bentine. Spotykali się tutaj, żeby wymieniać się pomysłami. Lecz romantyzm dawnych czasów przypominały obecnie jedynie stare meble i fotografie. Teraz większość gości stanowili biznesmeni, którzy zabijali tu czas po zamknięciu biur i dopijali ostatnie piwo, zanim nocnym pociągiem wrócą do domu.

Ledwie przekroczył próg baru, otoczyło go ciepło, dym i szmer rozmów, jak miękki dywan z szorstkiego, brązowego materiału. Muzyka unosiła się nad nim, przenikała go.

Charlotte Gainsborough i Neil Hannon, Razorlight, The Dresden Dolls.

Szukał Heaven w tłumie i zastanawiał się niespokojnie, jak wytrzyma w tej temperaturze. Zobaczył ją, kiedy rozpiął kurtkę. Siedziała w rogu, przy oknie.

Pomachała mu. Najwyraźniej bacznie obserwowała wejście.

David przepychał się przez tłum gości, przeproszał odruchowo, gdy za bardzo kogoś szturchnął. Nie wiadomo skąd powróciły wspomnienia – opuszczone żaluzje, duszne pomieszczenia, ściany, które zdawały się go miażdżyć. Odepchnął je od siebie. Nienawidził tego szczerze, gorąco.

Heaven nie odrywała od niego wzroku. W końcu do niej dotarł.

– Jestem. – Usiadł naprzeciwko niej. Otworzyła okno, siedziała tuż przy nim, tak że tylko ona czuła lodowate powietrze, ale gościom przy dalszych stolikach chłód nie dawał się we znaki.

– Ciągłe robi mi się słabo w ciepłych pomieszczeniach – mruknęła. – Nie mam pojęcia dlaczego. – W czerwonym blasku świec jej ciemna skóra zdawała się lśnić. – Dzięki, że przyszedłeś. – Przed nią stała filiżanka herbaty. Z kostki cukru zostały tylko kryształki.

– Twoje rzeczy są w schowku na stacji St. Pancras, później je weźmiemy.

Obojętnie przyjęła to do wiadomości.

David opowiedział jej pokrótce, co wydarzyło się w Richmond. Słuchała go skupiona i zdenerwowana, niespokojnie zerknęła na ranę na jego szyi, ale machnął ręką, dając do zrozumienia, że to nic takiego.

– Co jest? Dlaczego chciałaś się spotkać akurat tutaj?

– Zadzwoiłam do szkoły z budki telefonicznej przy Charing Cross.

– I?

– Sekretarka powiedziała, że dosłownie kwadrans przede mną dzwonił jakiś mężczyzna i pytał o mnie. – Jej oczy przypominały czarną noc. – Niejaki pan Quilp.

– Quilp?

– Jak z Dickensa.

– Ciekawe, dlaczego nas to nie dziwi – mruknął.

Kiwnęła głową.

– Właśnie, ciekawe? – Z jej głosu przebijało poczucie beznadziejności.

David właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, że Heaven chce jeszcze coś dodać, ale nie naciskał.

Do stolika podeszła kelnerka. Zamówił herbatę. Czarnego earl greya. Heaven poczekała, aż kelnerka odejdzie, i zapytała:

– Widziałeś mój pokój? W Richmond?

– Tak.

– No i?

– Pusty.

– Pełniejszy niż dawniej.

– Barka jest o wiele przytulniejsza – zauważył. Uśmiechnął się pod nosem.

– Oczywiście jeśli akurat nie bierze cię w obroty dwójka neohipisów, którzy nie

mają lepszych pomysłów, niż od razu wzywać policję.

– Julian i Eve są w porządku – zapewniła Heaven. – Ufam im.

– Bardziej niż innym przyjaciółom? – Przypomniał sobie zdjęcia w internecie.

Znieruchomiała. Przyglądała mu się bacznie.

– Powiedziałem coś nie tak?

Pokręciła głową.

– Nie – zapewniła i przeczesła włosy palcami. – Nie, skądże. Tylko że... tylko Julian i Eve wiedzą, że mieszkam na barce. Moi inni znajomi, ze szkoły, z liceum, stanowią część życia w Richmond. Nawet moja praca...

Praca? Heaven pracowała?

Musiała się roześmiać.

– Czemu przyglądasz mi się z takim zdumieniem? Pan Mickey zawsze bardzo się denerwuje, ale mnie się to podoba. Jestem kelnerką w małej knajpce niedaleko Fulham Road, ale teraz mamy zamknięte na dwa tygodnie. Remont.

David na chwilę zamknął oczy.

– Dlaczego ja, a nie ktoś z nich? – zapytał w końcu.

Od razu zrozumiała, co miał na myśli.

– Byłeś na miejscu. – Opuściła wzrok na stół, nerwowo zdrapywała wosk ze świeczki stojącej obok jej filiżanki. – Pomogłeś mi uciec ze szpitala, zanim ten cały Scrooge, Quilp czy Oliver Twist zdążył wejść do izby przyjęć. Uwierzyłeś mi. – Przełknęła ślinę. – Ufam ci.

– Ale niczego o tobie nie wiem. Posłuchaj, tkwimy po uszy w gównie, a ja niczego o tobie nie wiem. Zobacz, szczeka mi opadła, kiedy powiedziałaś, że pracujesz!

– Jestem Heaven – odparła.

– Wiem.

– I?

– Kim jesteś naprawdę?

Pokręciła głową.

– To skomplikowane.

David musiał się uśmiechnąć.

– A co nie jest?

– Rzeczywiście, co nie jest?

Odwzajemnił jej spojrzenie i nagle szmer rozmów i muzyka stały się kotarą dźwięku, która ich przez chwilę otulała, tylko ich dwoje.

A potem kelnerka przyniosła jego herbatę i atmosfera przysła.

David odruchowo zaczął majstrować przy sitku i filiżance.

– Dzwonili do twojej szkoły... tylko o tym chciałaś mi powiedzieć? – zapytał z wahaniem.

– Po tej rozmowie siedziałam w kuchni i intensywnie myślałam – odparła.
– Panna Trodwood dała mi spokój. To naprawdę urocza starsza pani. – Westchnęła głęboko. – Słuchaj, chyba jest coś, co możemy zrobić?

– Też mam taką nadzieję.

Zerknęła na kontuar.

– Postanowiłam ci o czymś opowiedzieć – zaczęła. – Muszę to zrobić, bo inaczej uznasz, że zupełnie zwariowałam, kiedy zaproponuję to, co wymyśliłam.

– Zamieniam się w słuch. – Upił łyk gorącej herbaty.

– No dobra. Widziałeś dom w Richmond.

– Przecież właśnie po to mnie tam wysłałeś. – Domyślił się tego już wcześniej, teraz miał pewność.

Skinęła głową.

– Teraz wiesz, gdzie się wychowałam. Nietrudno zgadnąć, dlaczego chciałam stamtąd uciec.

– Twój ojciec?

Szybko potwierdziła.

– Zginął cztery lata temu. Poleciał do Szkocji, żeby w Edynburgu spotkać się z nowym potencjalnym współnikiem. – Machnęła ręką. – Biznesowe nudy, nieważne. – Zapatrzyła się w dal. – W drodze powrotnej maszyna spadła. – Przełknęła ślinę. – I tyle. Helikopter runął na ziemię w środku Lake District, niedaleko Scafell Pike. Wypadek. Brzmi mało spektakularnie, co? – Nie czekała na odpowiedź. – Dowiedziałam się w szkole. Wywołali mnie z lekcji, o wszystkim poinformował mnie dyrektor w towarzystwie psychologa. W pokoju z rośliną w kącie i drewnianym stolikiem z jasnego drewna, przykrytym paskudnym obrusem. Pod ścianą stał ekspres do kawy. – Nerwowo bawiła się łyżeczką. – A krzesła były z plastiku. Byłam jak sparaliżowana. Taksówką wróciłam do Richmond. – Podniosła wzrok. – Wszystkim zajęli się pan Mickey i Juno Sims. – Urwała, upiła łyk herbaty. Milczała i dopiero po dłuższej chwili dodała cichutko, jakby zdradzała wielki sekret: – Pochowali go na Highgate, w grobie mamy.

David nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Cały czas patrzył jej w oczy – tylko tyle mógł zrobić.

– Nagle zostałam sierotą. Dziwne, co? To słowo brzmi tak staroświecko, jakby dzisiaj nie było już sierot. Jak z powieści Dickensa. A jednak. – Uśmiechnęła się, ale zaraz wykrzywiła usta. – Biedna sierotka. – Spoważniała. – Cóż, może nie biedna. Raczej bogata.

– Pan Mickey obawia się, że czyham na twoje pieniądze.

– Cały pan Mickey. Zawsze jest taki nieufny.

Odwróciła głowę, oddychała głęboko zimnym powietrzem wpadającym przez otwarte okno.

– Twój ojciec i pan Mickey... przyjaźnili się?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Jak to? Pan Mickey od lat jest naszym lokajem. Ojciec, że tak powiem, zostawił mi go w spadku.

David pamiętał, jak poufale pan Mickey wypowiadał się o Jonathanie Mirrleesie. Ale nie drażył tematu.

– Skąd barka? – zapytał.

– Poznałam Eve na imprezie, wiesz, jak się poznaje ludzi u znajomych. Spodobały mi się jej prace i zaprosiła mnie na ich barkę. Zresztą moja też jest ich, wynajmuję ją.

– A potem?

– To był prawdziwy nowy początek. Prawie dwa lata temu. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewam. – Roześmiała się. – Co jakiś czas wracałam do Richmond, gadałam z panem Mickeyem o tym i tamtym i znowu znikalam.

– A szkoła?

– Mają adres w Richmond, zresztą komunikują się przez internet. – Jakby wiedziała, o co chce zapytać, uprzedziła: – Nie, na barce nie mam komputera. Od czego są kafejki internetowe?

– Dwa oddzielne życia. Bardzo tajemnicze.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam być biedną sierotką z wielkiego domu. Z pieniędzmi, ale bez rodziców.

– Potrafię to zrozumieć.

– Chciałam być sobą, nikim innym.

– I wygląda, że ci się to udało.

– Bardzo się starałam. – Nerwowo obracała filiżankę w dłoniach.

Uśmiechnęła się i jej uśmiech przywodził na myśl blask księżycy, który za chwilę zniknie za chmurami.

– Ale właściwie nie o tym chciałam ci opowiedzieć. Po śmierci ojca po raz pierwszy poszłam na cmentarz Highgate.

– Nigdy przedtem nie byłaś na grobie matki?

– Nie. – Jej głos był twardy jak kamień.

– Ale dlaczego? – Zadał to pytanie odruchowo, spontanicznie.

– Dlatego – odparła gniewnie, zaraz jednak wzięła się w garść i wyjaśniła:

– Kiedy moja matka była ze mną w ciąży, napisała list.

Z głośników ukrytych pod sufitem popłynął głos Thei Gilmore.

– Ilekroć o mnie pomyślisz, popatrz w niebo, napisała.

– Jak dla mnie megakiczowate – stwierdził i od razu pożałował, że nie ugryzł się w język, ale było już za późno. Powiedział to. – Przepraszam – mruknął speszony. – Nie chciałem cię urazić.

Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się lekko i nagle przypomniał mu się ogon

komety, który wczoraj widział.

– Nie masz za co przepraszać. To fakt. – Bębniła palcami w takt melodii.
– W każdym razie nigdy nie chciałam iść na cmentarz. Nie lubię cmentarzy. Nie lubię miejsc przesyconych śmiercią. Mam zdjęcie jej nagrobka i to mi wystarcza.

David przypomniał sobie to zdjęcie. Widział je na barce.

– Mojego ojca pochowano w grobie rodzinnym i to wtedy pierwszy raz byłam na cmentarzu Highgate – podjęła przerwany wątek. Jednym haustem dopiła herbatę i gwałtownie odstawiła filiżankę na stół. – Padało. Na każdym pogrzebie z prawdziwego zdarzenia powinno padać. Nie można żegnać kogoś na zawsze w promieniach słońca. Przyszło wielu ludzi. Sporo biznesmenów, takich jak pan Sims, mój opiekun. Ludzi, których nigdy w życiu nie widziałam. Wszyscy mieli ciemne parasole, niektórzy też ciemne okulary. – Jej śniada twarz pociemniała, jakby coś ją rozzłościło. – Oplakiwali go, a wcale go nie znali.

David nie pojmował, do czego zmierza.

– Zostawił mi list. Napisał go wiele lat wcześniej. Właściwie to było tylko jedno zdanie. – Otarła oczy. – „Zawsze możesz nas odwiedzić!” – Podniosła głowę. – Tylko tyle napisał. Nic więcej.

– „Zawsze możesz nas odwiedzić”?

– Od rana myślałam o tym, co mnie spotkało. Co się dzieje. – Bawiła się podstawkami pod szklanki, leżącymi na stoliku, nerwowo rozrywała je na kawałeczki. – Aż nagle przypomniał mi się ten list i zdanie, o którym nie myślałam od lat, bo wydawało mi się całkiem bez sensu. – Przetarła oczy. – Moi rodzice nie żyją i nie widzę powodu, dla którego miałabym ich odwiedzać. Nie mogą ze mną porozmawiać, bo ich już nie ma, po prostu. Ale jeśli w tym zdaniu jest jakaś informacja, wyraźnie odsyła nas do Highgate. – Urwała. – Czy już zupełnie oszalałam? – Błagalnie spojrzała na Davida i chwyciła go za rękę. Palce miała zimne jak kostki lodu, parzyły chłodem, ale o dziwo, jej dotyk sprawił mu przyjemność.

Pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Nie sędzę.

– Więc pójdiesz ze mną? Błagam!

Spojrzał na jej dłonie, splecione na stole. Skinął głową.

– Oczywiście.

– Przykro mi, że cię w to wszystko wciągam – szepnęła. Przesunęła wzrokiem po ranie na jego szyi. – To pewnie szaleństwo, całkiem bez sensu, zwłaszcza że sobie obiecałam nigdy w życiu tam nie wracać, wiesz, po tym pogrzebie pełnym facetów w okularach przeciwsłonecznych i kobiet w kapeluszach, jeszcze nigdy nie widziałam tyłu... – Mówiła niskim, ochryplym głosem.

David ujął jej dłoń, przyciągnął do siebie.

– Heaven – powiedział spokojnie. – Pójdziemy, dokąd zechcesz.

Urwała, przyglądała mu się przez chwilę, a potem na jej twarzy pojawił się uśmiech, który był całą nią, pojawiał się stopniowo, aż stał się promienny.

Przez pewien czas siedzieli w milczeniu. Zimny przeciąg od okna owiewał mu twarz.

– Ja o tobie też nic nie wiem – rzuciła nagle.

– Fakt – mruknął.

– Pochodzisz z Cardiff.

Kiwnięcie głową.

– I nie lubisz metra.

Znowu kiwnięcie.

– Poza tym niechętnie rozmawiasz o przeszłości.

Przyglądał się jej w milczeniu.

– Chciałabym wiedzieć, kim jesteś. I dlaczego tu jesteś.

David upił łyk herbaty. Milczał jak zawsze, gdy padały pytania o jego przeszłość. Ostatnio interesowała się nią Kelly, nie dawała za wygraną, najpierw twierdząc, że pyta z przyczyn zawodowych, później zarzucając mu, że umyślnie wyklucza ją ze swojego życia, ale jemu było to obojętne.

– Termin medyczny to agorafobia – powiedział nagle. Coś drapało go w gardle. Odchrząknął. – Co po prostu oznacza strach przed światem zewnętrznym. Brzmi banalnie, ale to istne piekło.

Znowu umilkł i przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Heaven o nic nie pytała, przyglądała mu się tylko uważnie. Nakryła jego dłoń swoją. W końcu zaczął mówić:

– Moja mama od siedmiu lat nie wyszła z domu. Istne szaleństwo. Początkowo w ogóle nie zwracałem na to uwagi, po prostu rzadko wychodziła na dwór. Może byłem za mały, żeby to zauważyć. A może wtedy jeszcze nie było tak źle. Ostatnio stało się nie do zniesienia. Obawiała się, że tam, na zewnątrz, spotka nas coś złego. Pozwalała nam chodzić tylko do szkoły, mojej siostrze i mnie. A czasami nawet i to nie.

– A ojciec?

David wzruszył ramionami.

– Powinniśmy być wyrozumiali. Kiedyś będzie lepiej. Mamy siedzieć cicho i udawać, że wszystko jest w porządku, a z czasem mamie się poprawi. – Popatrzył na Heaven i zdziwił się, że nagle tak łatwo mu o tym mówić. – I to chyba było najgorsze. Pozory normalności. Bo ojciec tak naprawdę wcale nie wierzył, że jej się poprawi. – Pamiętał, jak często i zajadle kłócił się o to z ojcem. – Wiedział doskonale, że szanse na wyzdrowienie są minimalne. A jednak zamykał nas w domu razem z nią. Moja siostra znosi to do dzisiaj. Udaje, że wszystko jest w najlepszym porządku, w tym zapytającym domu w Cardiff, w którym każdego

dnia ściany bardziej na ciebie napierają.

– To dlatego nie lubisz metra.

– Tak.

– A poza tym?

– Od dawna myślałem o wyjeździe do Londynu. Tak normalnie, wiesz, na studia.

– Jaki kierunek? – zapytała z ciekawością.

– Nie wiem. Literatura, sztuka, coś takiego.

– Ale ci na to nie pozwolili.

– Nie. – Pokręcił głową. Pamiętał, jak ich przekonywał, jak po raz ostatni usiłował z nimi porozmawiać. Siedzieli w wąskim, ciemnym saloniku, przy opuszczonych żaluzjach, jak zawsze, od rana do nocy, od nocy do rana. To było lato, lato stulecia, jak później mawiano. Jego kumple nad morzem pili piwo, palili skręty, wysyłali mu esemesy, pytali, gdzie jest, ale nie poszedł do nich, jak często tamtego lata.

Rodzice mu tego nie zabronili, skądże. Ale czy miał wybór? Ataki paniki matki, gdy ukradkiem zniknął za drzwiami, jej szloch niosący się po całym domu, coraz głośniejsze, godzinami, oskarżycielskie spojrzenia ojca, który go o to obwiniął, i późniejsze wielogodzinne dyskusje działały skuteczniej niż wszelkie zakazy. Wcześniej, na początku, ojciec podnosił na niego rękę, doprowadzony do ostateczności zawrotem głowy, bo tylko w ten sposób mógł dać upust złości.

David odruchowo przysunął się do otwartego okna i wdychał zimne powietrze docierające z zewnątrz. Do dzisiaj pamiętał doskonale, jak nieznośnie duszno było w tamtym pokoju, w którym od lat nie otwierano okna. Za to telewizor był włączony dniami i nocami, jakby mógł zastąpić świat zewnętrzny. I dlatego nie znosił telewizji. Jego siostra nie odrywała wzroku od ekranu. Tak spędzała całe popołudnia.

„Muszę z wami porozmawiać” – oznajmił tamtego dnia, ale kiedy zobaczył szaleństwo w oczach matki i błaganie we wzroku ojca, ani jedno słowo nie przeszło mu przez gardło. Po prostu nie był w stanie tego powiedzieć. Zamilkł. A w nocy spakował swoje rzeczy.

– Uciekłem z domu – wyjaśnił i zwierzył się Heaven z kilku wspomnień. W końcu opowiedział o Kelly, pracownicy opieki społecznej. I o paru innych sprawach.

– Ja nie mam nikogo, bo nie chcę nikogo mieć – rzuciła.

– Dlaczego?

– Jesteś ciekawy.

– Wiem.

Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała.

– Moi rodzice kochali się tak jak pary na filmach. – Westchnęła. – Na ich

wspólnych zdjęciach ojciec zawsze się śmieje. Ja go takiego nie pamiętam. Rzadko bywał w domu, kiedy byłam mała, ale jeśli już, poświęcał mi cały swój czas. Tylko że nigdy się nie śmiał, a mnie bardzo tego brakowało. – Odgarnęła kosmyk z twarzy. – Miłość zawsze kończy się utratą, prawda? Jedno traci drugie, zawsze, nieuchronnie. I dlatego nie chcę się zakochać. Przelotny związek, nawet seks – w porządku. – Uciekła wzrokiem i popatrzyła w okno. – Ale żeby kogoś naprawdę pokochać... – Ta myśl nie przypadła jej do gustu. – Nie.

David pomyślał o starych fotografiach, które każdy ma przy sobie. Sfatygowane, pogniecione, poplamione. Rzadko na nie patrzemy, ale i tak wiemy, że są jak pocztówki, których nigdy nie wyrzucimy.

– Chodźmy już – powiedział w końcu David. Nie wypuszczał jej dłoni, nawet gdy bez przekonania usiłowała je uwolnić. – Samotność nie zawsze jest dobra.

Z głośników popłynęła nowa piosenka *Raven Star* – zespołu Lunascape.

Wstał.

– Co jest? – zapytała.

– Piosenka – mruknął.

– Co z nią?

– Przypomina mi coś. Ale sam nie wiem co.

Uśmiechnęła się.

Wyszli z Fitzroy Tavern. I udali się na cmentarz.

ROZDZIAŁ 9

CMENTARZ HIGHGATE

Pojechali autobusem do stacji Archway, niedaleko Swain's Lane. To był bardzo stary autobus. Heaven siedziała przy oknie, które dawało się nieco uchylić, i oddychała zimnym powietrzem. Miasto migąło rozmazaną smugą kolorów, świateł i ruchu.

– Interesuje nas zachodnia część cmentarza – zaczęła, gdy wysiedli.

Brama główna była ciągle otwarta. Wiktoriański budynek, zerkający na ulicę oczami pustych okien jak strażnik, przywodził na myśl ruiny pałacu, w którym być może do dzisiaj gnieźdzą się zaklęte istoty. Ujrzeni zwietrzałe nagrobki; postacie wykute w kamieniu, które wiatr i deszcz zmieniły nie do poznania.

– Cmentarz Highgate jest jednym z Wielkiej Siódemki – zaczęła Heaven, gdy wchodzili w głąb nekropolii. – Większość cmentarzy w mieście jest przypisana jednemu z kościołów. W pewnym momencie zabrakło na nich miejsca i wtedy ktoś uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie założenie siedmiu wielkich nekropolii poza granicami miasta.

– Skąd wiesz tak dużo na ten temat?

– Chodzi o to, skąd tyle wiem o cmentarzach, choć unikam ich jak zarazy?

Skinął głową.

– Ci, którzy panicznie boją się pajaków, też się nimi interesują.

– Być może – mruknął.

– Na tym cmentarzu znajduje się ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy grobów. Jest nawet tunel łączący starszą, zachodnią część, powstałą w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku, i nowszą, wschodnią, zbudowaną piętnaście lat później. Tunel przebiega pod Swain's Lane, bo kaplica anglikańska znajduje się w zachodniej części nekropolii, a nie chciano transportować trumien przez ulicę.

Jej kroki niosły się echem po bruku. Nadal miała na sobie ciuchy Davida – tylko buty były jej i ich obcasy stukały głośno o kocie łby. Założyła sobie włosy za uszy, ale pojedyncze pasma co chwila opadały na śniadą twarz.

Droga, którą szli, wiła się między drzewami wyciągającymi w górę nagie gałęzie. Jakby nagrobki wyrosły w środku lasu.

Wysoko na niebie, w wąskich szczelinach szarej powłoki chmur, błyszczały gwiazdy, bo Highgate było dość daleko od centrum Londynu i nad tą dzielnicą widniało prawdziwe niebo. Dróżkę, coraz węższą, niknącą wśród nocy, otaczały gęste zarośla. Jakby natura chciała odebrać to, co jej kiedyś zabrano.

– Wiesz, gdzie jest grób twoich rodziców?
– Znajdę go, spokojnie.
– A co zrobimy, gdy już tam dojdziemy?
– Nie mam pojęcia. – Posłała mu błagalne spojrzenie. Dość tych pytań, zdawała się mówić, bo nie wiem, co odpowiedzieć, i nie chcę na razie o tym myśleć.

Zrozumiał.

Niszczące nagrobki, porośnięte bluszczem i mchem, wyrastały z mokrej, ciemnej ziemi jak martwe zęby. Widział mauzolea, chyba z założenia w stylu egipskim, ozdobione płaskorzeźbami i kolumnami. Krzywe drzwi zwisające smętnie na zardzewiałych zawiasach prowadziły w głąb katakumb kryjących się pod spletanymi gałęziami, wśród cieni posągów. Z pomników spoglądały często nienaturalnie wielkie popiersia dawno zmarłych, ponure twarze z szarego kamienia o surowym spojrzeniu, arystokraci o gęstych bokobrodach uwięzieni w brudnym bazalcie.

Wiar uderzał gałęziami o groby. Nieliczne latarnie nie rozpraszały wszechobecnych cieni.

– Poza nami nie ma tu chyba nikogo – zauważył.
– Wieczorem cmentarz jest zamykany. – Heaven trzymała się blisko niego.
– Poza tym nie wolno tu się włóczyć bez celu.
– Domyślam się.

Uśmiechnęła się lekko. Poszli dalej. Zakręt za zakrętem, alejka za alejką. Im bardziej zagłębiali się w cmentarz, tym bardziej cichła. Jej oczy przypominały mroczne jeziora, w których ciemność kołysała się miękkimi falami.

Bezgłowe anioły na wysokich cokołach czuwały nad spokojem zakłócanym jedynie warkotem samochodów na Swain's Lane. Widzieli potężne kamienne lwy i jagnięta, na wieki konające w marmurze. Ogromne orły rozpościerające kamienne skrzydła, blade marmurowe dziewice stojące na nagrobkach.

Minęli Circle of Lebanon, słynny krąg grobowców usytuowany wokół wielkiego cedru. Tu znajdowały się same grobowce; furty kołysały się złowrogo na nocnym wietrze. Następnie doszli do alei Egipskiej, która przypominała osobne miasto. Ukryte zaułki i skwery, schody i uliczki. Kolumny i sfinksy przy rodzinnych miejscach pochówku. Pałace krainy, nad którą słońce nigdy nie wschodzi.

David już sobie wyobrażał grobowiec, którego szukała Heaven. Potężny, myślał, stary, drogi, podobnie jak dom w Richmond. Krypta z kolumnami, posągami, zdobieniami, porośnięta mchem, zapomniana.

Jednak majestatyczne grobowce zostały za nimi. Heaven szła coraz szybciej. Po chwili skręciła w wąską dróżkę prowadzącą do zagajnika. Pod nogami mieli mokrą ściółkę, miejscami zamarznąłą i skrzypiącą, gdy na nią weszli. Tutaj czuł

się, jakby wkroczył do krainy snów, wszystko było takie nierzeczywiste, szare, dziwne.

W końcu dotarli do grobu jej rodziców. Był bardzo skromny, zwykła kamienna tablica wyrastająca z ziemi, a na niej napis: Jonathan Mirrlees i River Mirrlees.

Heaven stała nieruchomo.

Żadnych kwiatów, tylko krzewy. Bluszcz oplatał stary wygasły znicz. Nagrobek był zniszczony. Nic, tylko imiona i nazwiska, żadnych dat, ani narodzin, ani śmierci.

– Cześć – szepnęła Heaven. Niespokojnie zerknęła na Davida.

Podszedł, wziął ją za rękę, uściśnął.

– Jestem – powiedziała i uśmiechnęła się tak słabo, jakby miała się zaraz rozplakać.

Wiatr wiał im w twarz. Davidowi zdawało się, że chwilami dostrzega pojedyncze płatki śniegu.

Zastanawiał się, czy przyjscie tutaj było dobrym pomysłem. Nic w wyglądzie nagrobka nie sugerowało, że znajdą tu potrzebne odpowiedzi. To tylko ciemny, martwy zakątek na wielkim cmentarzu w środku lasu.

Heaven uklękła, wzięła w dłoń garść ziemi, zacisnęła rękę, aż ziemia przesypała się między jej palcami. Wstała, cofnęła się o krok.

– Nie wiem, czemu tu jestem – powiedziała drżącym głosem, wpatrzona w ciemną ziemię w dłoni, jakby liczyła, że ta jej odpowie. – Nigdy was nie odwiedzałam. – Z trudem przełknęła ślinę. – Ale często o was myślę. Właściwie zawsze. – Z jej oczu płynęły łzy. – Bardzo za wami tęsknię. – Stłumiła szloch. A po chwili gniewnie tupnęła nogą. – Cholera, co ja tu właściwie robię? – Spojrzała na Davida, przesunęła wzrok na grób rodziców, załamana, zagubiona. Wściekła cisnęła ziemię na grób.

David położył jej rękę na ramieniu, delikatnie odwrócił ją do siebie i objął, przytulił, wreszcie się uspokoiła i w milczeniu go objęła.

Stali tak przez dłuższą chwilę.

Kamienne rzeźby wpatrywały się w noc martwymi oczami.

A potem przez wiatr przebił się głos.

– Przyszłaś.

Przerażona Heaven wysunęła się z jego objęć. David także drgnął. Rozglądali się dookoła.

– Też to słyszałeś? – upewniła się.

David wpatrywał się w mrok. Skinął głową.

– Ktoś tu jest. – Co za idiotyczne spostrzeżenie.

– Ja. Ja tu jestem – odparł głos, który brzmiał jak poranny szron i którego źródło najwyraźniej nie miało zamiaru się ukrywać.

Odwrócili się jednocześnie.

Kobieta stała tuż za nimi. Miała na sobie długą do ziemi suknię, spod której wystawały bosc stopy. Długie włosy spływały na plecy.

Heaven otwierała i zamykała usta.

– Kim pani jest? – zapytał David.

Zjawa przyglądała im się z zainteresowaniem. Przypomniiał sobie, jak bardzo bał się duchów, gdy był dzieckiem. Nigdy w życiu nie spodziewał się, że jakiegoś zobaczy, ale to, co widział, bardzo ducha przypominało. W filmie powiedziałby teraz coś głębokiego, coś w stylu: „Co prawda nie wierzę w duchy, ale ta kobieta wygląda jak duch, porusza się jak duch i mówi jak duch, więc możemy spokojnie założyć, że duchy istnieją, choć w nie nie wierzę”.

Heaven natomiast wierzyła, że widzą zjawę... Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Po co się głowić?

– Kim pani jest? – powtórzyła jego pytanie.

Zjawa uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Och, to długa historia – odparła kobieta, bo zjawa była zdecydowanie płci żeńskiej, choć drobna i nieco przezroczyta. – Nie jestem twoją matką – Podeszła bliżej. – Ale to ty, prawda? – Była biała jak światło księżycy. – Ty jesteś Heaven, Heaven Mirrlees, choć tak naprawdę masz na imię Freema. A przyszedł tu, bo ojciec ci powiedział, że zawsze, gdy tylko zechcesz, możesz odwiedzić rodziców.

Heaven, zdumiona, skinęła głową. David poczuł, jak silniej zaciska dłoń na jego rękę.

– Twój ojciec nie spodziewał się, że umrze tak młodo. Niestety, nie ma go tutaj, więc sam ci tego nie powie, ale to już inna historia.

– Kim pani jest? – powtórzył David bardziej zdecydowanym tonem niż poprzednio.

– Nazywam się Sarah Jane Cavendish – odparła kobieta.

– Co pani tu robi?

– Nie żyję.

– Jest pani duchem, prawda? – Davidowi zrobiło się głupio, gdy o to pytał.

– To mój grób – odparła.

– Nieprawda, to grób moich rodziców. – Heaven zareagowała instynktownie. Z jej głosu przebijał gniew. Duch czy nie, ta kobieta nie ma czego szukać w grobie jej rodziców i kropka.

Kobieta leciutko skłoniła głowę.

– Wiem, tak miało być. Ale prawa nakazują, by w danym grobie mieszkał ten, kto jest w nim pochowany. – Była ładna, miała około czterdziestki, niespotykane długie włosy i twarz, na której dawniej, za życia, zapewne często gościł uśmiech. – Najbardziej na świecie chciałabym mieć grób z własnym nazwiskiem. Ale nikt nie wiedział, kim jestem. Na moim pogrzebie zjawili się sami

nieznajomi. Opłakiwali kogo innego, a ja byłam sama i przerażona. – Spojrzała w gwiazdy i David zobaczył, że w jej oczach nic się nie odbija. – Umarli nie odbijają nic ze świata żywych – powiedziała. – To jedno z wielu praw, które poznaje się dopiero po śmierci.

– Dlaczego panią widzimy?

Roześmiała się.

– Bo tego chcę.

– Więc pani naprawdę jest duchem? – upewniła się Heaven.

Sarah Jane roześmiała się i jej śmiech przywodził na myśl śnieg na jodłach.

– To już lekka przesada. Jestem niczym. Echem szepczącym na wietrze, gdy ktoś nadstawi ucha. – Zaraz jednak spoważniała. – Tak, można powiedzieć, że jestem duchem.

– Ale co właściwie robi pani w grobie moich rodziców?

– Jak już mówiłam, tu jest moje miejsce. Tu pochowano moje ziemskie szczątki – tłumaczyła cierpliwie.

– Nie rozumiem. – Heaven wyraźnie traciła cierpliwość.

– Nie możesz. – Sarah Jane westchnęła. – Ojciec miał ci to kiedyś wyjaśnić, ale sam zginął przedwcześnie. Widziałam cię na jego pogrzebie. Podśluchiwałam żałobników, stąd wiem, co się stało. – Wskazała miejsce koło Davida, nieco dalej od grobu. – Tam stałaś. Byłam obok ciebie.

David usiłował wyobrazić sobie tę scenę. Heaven z przodu, u boku pana Mickeya albo pana Simsa, choć wolałaby pewnie zostać z tyłu, za krzewami. Grób ział ciemną jamą, wilgotna ziemia z głuchym odgłosem spadała na trumnę.

– Nie poczułaś chłodnego powiewu? – Oczy Sarah Jane zasnuwała mgła. – Niczego takiego? – Porozumiewawczo mrugnęła do Heaven. – Zazwyczaj właśnie to czują żywi, kiedy nas nie widzą. Więc jeśli to poczułaś, to byłam ja. – Roześmiała się lekko. – Ale gdzie ja mam głowę? Powinnam ci opowiedzieć wszystko od początku, prawda? Bo każda historia jest dobra wtedy, gdy dobry jest jej początek.

David uniósł brew.

– A jaki początek ma ta historia? – zapytał.

– Zaczyna się ode mnie. Nazywam się Sarah Jane Cavendish – zjawa przedstawiła się po raz drugi. – Pochodzę z Chiswick. – Po chwili wahania spojrzała na Heaven. – Ostatnio opowiadałam to twojemu ojcu. – Zerwała suchy liść z wątłej gałązki nad ścieżką. – Oczekujecie pewnie sensacyjnej historii, ale jej nie usłyszycie. – Odprowadzała wzrokiem suchy liść, który porwał wiatr. – Nie stało się nic sensacyjnego, wystarczyła jedna zła chwila, która zmieniła całe moje życie. – Uśmiechnęła się smutno. – Gdyby nie moja głupota, mogłabym jeszcze żyć. – Wiatr bawił się jej suknią. – Ale teraz to już i tak nieważne. Nie żyję ponad siedemnaście lat.

– Kiedy pani umarła? – zapytał David.

– Dwudziestego czwartego listopada. – Podała rok.

David podniósł głowę.

– Właściwie minęło już osiemnaście. – Sarah Jane pokręciła głową. – Ależ ten czas leci.

– Następnego dnia ja się urodziłam – stwierdziła Heaven zdumiona.

Sarah Jane skinęła smutno.

– Pracowałam w Tesco jako kasjerka, w filii w Chiswick. Całymi dniami siedziałam w supermarkecie i skanowałam ceny produktów. – Wzruszyła ramionami. – Właściwie mogło być gorzej. – W tym westchnieniu kryła się tęsknota za całym życiem. – I nagle się zakochałam. Nazywał się Ewan Noble. Pochodził z Hampstead Heath i wyglądał tak, jak się nazywał. – Roześmiała się i lód na jej języku rozprysł się na kawałki. – Zagadnął mnie, umówiłam się z nim i było tak jak zawsze, gdy człowiek posłucha głosu serca, a jest tak głupi, jak ja byłam. Pamiętam doskonale, co czułam, gdy całowaliśmy się po raz pierwszy. W bramie, w Smithfield, wciągnął mnie tam, bo zaczęło padać, zaczęliśmy się całować i nagle cały świat pojaśniał. – Jej puste oczy rozbliły smutno. – Nigdy nie byłam zbyt mądra, już jako dziecko. Ale miła – owszem. Milutka, grzeczniutka Sarah Jane, która zawsze starała się zrobić wszystko jak należy. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłby się we mnie zakochać ktoś taki jak Ewan Noble. – Znowu pokręciła głową. – Ależ byłam głupia. Głupia, głupia, głupia. – Obchodziła czy raczej opływała grób, miękko, lekko. – Wierzyłam we wszystko, co mówił, we wszystko, co mi obiecywał, już marzyłam o ślubie i dzieciach. I wtedy zobaczyłam go z inną. – W jej śmiechu pojawiły się gorzkie nuty. – Mówiłam, że to nie będzie szczególnie pasjonująca historia. – Oparła się dłońmi o nagrobek. – Siedzieli przy oknie w restauracji Equinox. Zauważyłam ich, przechodząc obok. – Urwała na chwilę. – Nie wiem nawet, czy w ogóle mnie zobaczył. – Zaraz jednak się poprawiła: – Chociaż nie, to nieprawda; wiem na pewno, że mnie nie widział. W ogóle mnie nie dostrzegł. Uciekłam. – Uderzyła pięścią o kamień. Jej dłoń ze świstem przecięła powietrze. – Ależ byłam głupia. Mogłam urządzić mu awanturę. Ej, pamiętasz mnie? To ja, dziewczyna z Chiswick – przecież mogłam to powiedzieć. A jednak tego nie zrobiłam, tylko biegłam przez całe miasto. Biegłam, płakałam, klęłam – do wyboru, do koloru. W końcu weszłam do pubu w centrum i zaczęłam pić. Mocne trunki, takie, które przytępiają umysł, zabijają wspomnienia, najlepiej wszystkie. Bo chciałam zapomnieć. O Ewanie. O sobie. O Chiswick. O Tesco. A przede wszystkim o życiu, które sobie wymarzyłam. – Zacisnęła dłoń na nagrobku. – A potem zeszłam nad rzekę. Długo stałam na nabrzeżu, wpatrzona w fale. Tamtej nocy były atramentowo czarne, nie odbijała są w nich nawet jedna gwiazda.

David spojrzał w górę, w stronę ciemnej luki nad centrum Londynu. Dawniej

puszka sięgała aż do Kensington, ale to znał tylko z filmów i fotografii, podobnie jak jego rówieśnicy.

– Jesteście na to za młodzi – zauważyła Sarah Jane. – Ale ja pamiętam doskonale, jak za mojego dzieciństwa wyglądało niebo nad Londynem. Gwiazdy, niebo, chmury. A potem zniknęły. Dwa lata przed moją śmiercią. Za życia nigdy do tego nie przywykłam. – Spojrzała na Heaven, jakby chciała jej coś powiedzieć, zaraz jednak podjęła przerwana opowieść: – Nieważne – mruknęła. – No więc stałam na nabrzeżu i nagle po prostu rzuciłam się do wody. – I znowu ponuro się zaśmiała. – Byłam pijana. Pozwoliłam, by to się stało, tak po prostu. Było mi wszystko jedno. Wpadłam do Tamizy i od razu poczułam, jak moje ubranie nasiąka wodą. Porwał mnie prąd, zniósł na środek rzeki. Był listopad, kilka dni wcześniej dużo padało, poziom wody był bardzo wysoki. Znosiło mnie coraz dalej, tonęłam, wypływałam na powierzchnię, gorączkowo chwyciłam powietrze, zaczęłam płynąć, mijałam mosty, ale nikt mnie nie widział. – Wspomnienie było jak zwiędły kwiat, którego nie mogła odsunąć od nosa. – Miasto było piękne, takie pełne świateł. Mijałam je i w tym momencie pożałowałam swojej decyzji. To było dziwne wrażenie, zrezygnowałam z pięknego życia dla idioty, który w tej chwili siedział z inną. Widziałam wokół siebie miasto i piękno kryjące się we wszystkim i wtedy w końcu zapragnęłam żyć, ale znowu poszłam pod wodę i otoczyła mnie ciemność.

Przez dłuższą chwilę David i Heaven milczeli. Ciszę przerywał jedynie wiatr hulający wśród drzew i cieni, które chciały zachować swoje tajemnice dla siebie.

– To straszne – wykrztusiła w końcu Heaven.

– Przywieźli mnie do szpitala Chelsea Hope, ale kiedy tam dotarłam, od dawna już nie żyłam. Nie miałam przy sobie torebki ani dokumentów, porwała je Tamiza. Karteczkę z napisem Jane Doe przywiązali mi do dużego palca u nogi. Taki los spotyka wszystkie anonimowe nieboszczki.

– Jakie to uczucie? – zapytała poważnie Heaven.

– Umieranie?

– Tak.

– Nieprzyjemne – odparła Sarah Jane. – Czujesz ból i żal. – Minęła nagrobek, weszła na płytę nagrobną, dotknęła zwiędłych kwiatów. – Najgorsza jest świadomość, że nikt za tobą nie zatęskni – szepnęła. – Nikt nie będzie za tobą płakał. Żywi dalej sobie żyją. Dopiero wtedy dostrzegasz, jak doskwiera ci to, że o tobie nie pamiętają. – Podniosła rękę do oczu, jakby chciała wytrzeć łzy. – Tego boimy się najbardziej. Kiedy już nikt o nas nie pamięta, umieramy naprawdę. To jest już rzeczywiście koniec.

– Ale o pani ktoś pamięta – zauważył David. – Skoro pani tu jest i z nami rozmawia, ktoś o pani myśli.

Sarah Jane uśmiechnęła się smutno.

– Może ktoś, gdzieś. – Wzięła się w garść i podjęła przerwana opowieść.
– W każdym razie przywieźli mnie do szpitala Chelsea Hope.

David czuł, że zbliżają się do sedna jej smutnej opowieści. W powietrzu pojawiły się płatki śniegu. Wcale go to nie zdziwiło.

– Tamte wydarzenia są niejasne i rozmazane jak samo utonięcie. W pełni doszłam do siebie dopiero w ziemi. Kiedy otworzyłam oczy, byłam tu. – Rozejrzała się wokół, jakby ponownie przeżywała tamte chwile. – Stałam przy grobie, wokół zebrali się żałobnicy, których nie znałam. To moje pierwsze wspomnienie z Highgate, moje pierwsze wspomnienie jako ducha. Moje nowe życie zaczęło się, gdy trumna spoczęła w ziemi.

– Ale dlaczego w grobie mojej matki?

– Nadal nie rozumiesz, Heaven? Nie domyślasz się? W tym grobie pochowano moje szczątki. – Jej oczy przypominały bezdenną toń. – Moje, nie twojej matki.

– Co w takim razie stało się z moją matką?

– Cierpliwości – szepnęła Sarah Jane. – Musisz być cierpliwa, jeśli chcesz to wszystko zrozumieć.

Heaven skinęła głową.

A Sarah Jane opowiadała dalej:

– Poznałam też inne duchy; tu na cmentarzu jest ich pełno. Były dla mnie bardzo miłe, ale żaden nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego pochowano mnie jako River Mirrlees. To była tajemnica, zagadka. I kiedy już traciłam nadzieję, że kiedykolwiek poznam jej rozwiązanie, przy grobie zjawił się twój ojciec. Pamiętam jak dziś, gdy dotykał mokrej ziemi i płakał. Wiedziałam, że to Jonathan Mirrlees, czułam to. Pokazałam mu się. – Mrugnęła znacząco martwym okiem. – Chyba wiecie, o co chodzi. Duch sam decyduje, kiedy i czy w ogóle komuś się ukazać.

– Ojciec z panią rozmawiał?

– Raczej ja z nim – poprawiła Sarah Jane.

– O czym?

– Chciałam wiedzieć, dlaczego pochowano mnie w grobie jego żony.

– Co powiedział?

– Był bardzo spokojny. – Podniosła długi, lśniący palec. – Zazwyczaj mało kto zachowuje zimną krew, widząc ducha, on jednak był uosobieniem spokoju. – Przyglądała się im uważnie. – Jak wy. Bardzo szybko zaakceptowaliście to, że istnieję. Nie wątpicie, wierzycie w to, co widzicie. A jeśli ktoś tak się zachowuje, oznacza to zazwyczaj, że przeżył już coś, co innym w głowie się nie mieści.

David nadal nie do końca rozumiał, co się wtedy wydarzyło, choć coś zaczynało mu świtać.

– Kiedy umarłam, do szpitala Chelsea Hope przywieziono kobietę nazywającą się River Mirrlees. Rodziła. – Zerknęła na Heaven. – Czasami zbiegi

okoliczności są wręcz niesamowite. W nocy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego listopada przyszła na świat dziewczynka. Jej matka zmarła podczas porodu.

Tę część historii David już znał.

– A jednak coś było nie tak – ciągnęła Sarah Jane. – Do tego stopnia nie tak, że Jonathan Mirrlees musiał przekupić lekarzy i położne.

David wstrzymał powietrze.

– Co się stało?

– Jonathan Mirrlees płacił za ich milczenie, bo po urodzeniu dziecka River zniknęła.

– Jak to zniknęła? – Heaven nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

– River Mirrlees odeszła – powtórzyła Sarah Jane. – Umarła, a potem zniknęła. Tak w każdym razie twierdził Jonathan Mirrlees. A potem? – Westchnęła. – Tu chodziło o zamożną, znaną rodzinę. Nie życzyli sobie zamieszania i skandalu. Potrzebowali kogoś, kogo mogliby uroczyście pochować, komu można wystawić akt zgonu. I widzieli mnie. Zwłoki kobiety z karteczką z napisem Jane Doe na palcu u nogi. – Jej dłonie drżały tak, jak drzeć mogą tylko dłonie ducha. – Tak było najprościej. Nikt nie miał pojęcia, kim jestem. Nikt mnie nie szukał. Wystarczyło tylko co nieco zmienić w papierach. – Sarah Jane posłała Heaven znaczące spojrzenie. – Twój ojciec był bogaty. Mógł sobie na wiele pozwolić.

– Ale dlaczego? – wykrztusiła Heaven. – Dlaczego to zrobił?

– Bo nikt nie rozumiałby prawdy.

– Jakiej prawdy? Co to znaczy, że River zniknęła? – wtrącił się David.

Sarah Jane płynęła nad nagrobkiem. Posmutniała.

– Tego nie wiem. – Jej głos zmienił się w ulotny szept. – Twój ojciec nie chciał o tym rozmawiać, a ja szanuję życzenia żywych. Chciał tylko, żebyś wiedziała, że twoja matka nie spoczywa w tym grobie. Obiecałam mu, że ci to przekażę.

Heaven pokręciła głową.

– Nie, to niemożliwe. – W jej głosie nie było już zagubienia, tylko gniew.

– Nie dam się na to nabrać. – Głos jej drżał, jakby lada chwila miał się załamać.

– Dlaczego ojciec mi się nie ukazuje? – Podeszła do nagrobka, wskazała napis.

– Przecież tutaj go pochowano?

Sarah Jane zaprzeczyła.

– Pochowano pustą trumnę. Nie ma go tu. Jestem całkiem sama. Sąsiednie groby opustoszały, bo nikt już nie pamięta tych, którzy w nich leżą. A kiedy nikt nie pamięta, duch znika. Takiej śmierci duchy się boją. To już jest naprawdę koniec.

– Nie wierzę! – krzyknęła Heaven, ale w uszach Davida zabrzmiało to jak

płacz. – To szaleństwo, ja...

– Nie wiem, co się stało z twoim ojcem, ale trumna, która tu spoczęła, była pusta.

– Nie – szepnęła Heaven.

David groźnie łypnął na ducha i podszedł do Heaven. Chciał ją objąć, ale odepchnęła go gniewnie.

– Zostaw mnie! – Przytrzymała się nagrobka. – To jakieś bzdury, do cholery.

David stał przy niej, wyciągnął rękę, przyciągnął ją do siebie. Przypomnił sobie, co mu opowiadała w Fitzroy Tavern. Pomyślał o katastrofie helikoptera i o tym, że być może wśród szczątków nie znaleziono niczego, co można było pochować.

Jonathan Mirrlees sprawił, że jego córka miała jeszcze więcej pytań. Co gorsza, zapomniał o odpowiedziach na wcześniejsze.

David przypomniał sobie coś jeszcze.

„Ilekoć o mnie pomyślisz, spójrz w niebo” – powiedziała jej matka. Pomyślał o tym, co się wtedy stało, 25 listopada, dwa lata po tym, jak przeleciała kometa i nad centrum miasta zagościła pustka.

Heaven płakała ze złości.

– I co ja mam teraz robić?! – krzyknęła do Sary Jane. – Co mi da ta wiedza?

Odpowiedź przyplynęła wraz z zimnym powiewem wiatru, padła z ust cienia w rękawiczkach. W jednej z nich spoczywał długi zakrzywiony nóż, lśniący w ciemności.

– Nie musisz już zawracać sobie tym głowy – oznajmił głos ostry jak nóż.

– Wkrótce będzie po wszystkim. – I zanim zorientowali się, co się dzieje, zostali zaatakowani.

ROZDZIAŁ 10

ALEJA EGIPSKA

David odruchowo stanął między Heaven a mężczyzną w ciemnych rękawiczkach. Łachmaniarz, który w Richmond czaił się przy murze, teraz wyjrzał zza nagrobka.

– Co za urocze spotkanie – wycedził mężczyzna w czarnych rękawiczkach, który jeszcze kilka godzin temu przedstawiał się jako pan Scrooge. Na widok Sary Jane zawahał się, po chwili jednak przedstawił im się ponownie. – W tych stronach jestem znany jako pan Heep.

Łachmaniarz zbliżał się do nich powoli. Utykał, szedł niezdarnie.

– Czego pan od nas chce? – warknęła Heaven. W jej oczach nie było strachu, tylko wściekłość na wszystko, co działo się wokół niej.

– Twego serca.

– Przecież już je pan ma!

Uśmiechnął się lekko.

– Wiem o tym.

– Jak pan nas znalazł? – zainteresował się David.

– Jestem dobry. – Mężczyzna uniósł nóż do twarzy. – Brałem pod uwagę, że prędzej czy później przyjdziecie na grób jej rodziców.

– Proszę dać Heaven spokój! – zażądał David.

Mężczyzna w czarnych rękawiczkach wpatrywał się w ostrze.

– O ile mi wiadomo, nie muszę słuchać twoich poleceń. – Uśmiechnął się przyjaźnie i był to najbardziej przerażający widok, jaki można sobie wyobrazić. – Otrzymałem zlecenie, a mam taki zwyczaj, że staram się zadowolić zleciodawców. Słyszę z tego, że dostarczam to, co obiecuję. – Obracał nożem tak, że w ostrzu odbijało się blade światło gwiazd. Płatki śniegu jakimś cudem omijały stal. – I teraz wezmę to, po co przyszedłem.

Łachmaniarz podszedł bliżej. Wyglądał jeszcze gorzej niż kilka godzin temu, teraz wydzielał dodatkowo mdły, słodkawy zapach. Skóra płatami schodziła mu z twarzy. Owinął ją brudnym bandażem.

– Powiem wam teraz, co z wami zrobimy – oznajmił mężczyzna, który obecnie nosił nazwisko Heep.

David rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć jako broń – kamień, kij, cokolwiek. Czuł, jak narasta w nim złość, wściekłość, która w połączeniu z paraliżującą bezradnością zmieniała się w bolesny węzeł bólu w okolicy żołądka.

– Najwyraźniej zaszło pewne nieporozumienie – wyjaśnił pan Heep.
– Szukaliśmy najzwyklejszego serca, jak wiele razy wcześniej. Już ponad dwadzieścia lat co jakiś czas oddaję się temu zajęciu i nadal mam pełne ręce roboty. Mój klient, jak wielu innych, preferuje długoterminowe relacje biznesowe, jeśli chcecie wiedzieć. – Uśmiechał się tak dobrotliwie, że na sam widok robiło się niedobrze. – Cóż, taka jest ta moja branża. – Zerknął wielkodusznie na łachmaniarza. – Co ja gadam. Nasza branża. Już nieraz zdobywaliśmy serca, ale po raz pierwszy ktoś przeżył. – Cmoknął głośno, najwyraźniej był to znak dla jego pomocnika. – Bo człowiek bez serca nie przeżyje.

Sarah Jane skinęła ponuro głową. Siedziała nieruchomo, niezdecydowana, a może niezdolna cokolwiek zrobić.

– Tylko że panna Mirrlees po prostu nam uciekła. – Heep znowu zrobił krok w jej stronę.

– Uciekła, bo w jej piersi bije jeszcze jedno serce. Takie, które nasz zleceniodawca chętnie zobaczy w swojej kolekcji. I dlatego tu jesteśmy.

– Jeszcze jedno serce?

David nic już z tego nie rozumiał. Mina Heaven wskazywała, że dziewczyna była równie zagubiona. Co on miał na myśli? Skąd wie, co się dzieje z Heaven? Ale mężczyzna w rękawiczkach chyba nie planował dalszych wyjaśnień.

– Zabije ją pan. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Takie rzeczy się zdarzają – odparł Heep zwięźle. – W naszej branży śmierć jest na porządku dziennym.

Łachmaniarz był coraz bliżej. Pod poźółkłymi paznokciami miał półksiężyc brudu. Jego oddech cuchnął rozkładem.

– Pójdiesz z nami. – Heep mówił teraz wyłącznie do Heaven. – Nie wiem, czy mój zleceniodawca zechce oddać ci serce, które już mu dostarczyłem. Jego wielkoduszność nigdy mnie nie interesowała, musicie o tym wiedzieć. Prawdopodobnie tego nie zrobi. Warto jednak dowiedzieć się, co planuje z tym nowym.

– Pan oszalał. – Davida intrygowało, do jakiego stopnia Heep naprawdę wiedział, co tu się dzieje. Sądził raczej, że ani on, ani jego tajemniczy zleceniodawca nie wiedzieli, co właściwie zrobić z Heaven. Najwyraźniej miał za zadanie przyprowadzić mu dziewczynę żywą.

– Na sto procent – wymusknęło się Heaven.

– O nie, kochani, nie jestem szalony.

Łachmaniarz zataczał wokół nich krąg. Przy każdym ruchu jęczał cicho. Spod skóry na palcach zakrzywionych jak szpony wyciekała jakaś ciecz.

David dostrzegł ruch z prawej strony. Sarah Jane. Czy mu się zdawało, czy puściła do niego oko?

Mężczyzna w czarnych rękawiczkach uśmiechał się teraz do Davida.

– Ty jesteś nieważny – powiedział. – Mogę darować ci życie. Możesz cały i zdrowy wyjść z tego cmentarza. Albo możesz gapić się w gwiazdy w kałuży krwi z własnych flaków i zastanawiać się, kiedy zgaśnie w tobie ostatnia iskierka życia. Twój los jest w twoich rękach. Los twojej przyjaciółki – w moich.

– Nic takiego nie zrobię – prychnął David. Pochylił się, porwał znicz z nagrobka i zamierzył się na Heepa, który zareagował zbyt późno i nie zdążył się uchylić. Ciężki znicz uderzył go w bark. Jęknął z bólu.

– Nie zdołasz jej ochronić – wysapał z wściekłością i złapał się za bark. – Za to przekonasz się, jak ostry jest mój nóż. Wygląda na to, że już dokonałeś wyboru.

David złapał Heaven za rękę i pociągnął za sobą. Na mężczyźnie nie zrobiło to większego wrażenia. Coś w jego barku trzasnęło głośno. Sam nastawił sobie bark i wszystko było jak przedtem.

Sarah Jane stała na nagrobku z nieszczęśliwą miną.

– Nie mogę wam pomóc – szepnęła. – Jestem duchem i nie mam władzy nad żywymi.

Heep się uśmiechnął.

– Jesteście sami. – Ostrze błysnęło w świetle księżyca. – Nawet duchy wam nie pomogą.

Łachmaniarz ruszył na Heaven.

– Czas umierać, chłopcze – wysapał Heep.

Heaven krzyknęła gniewnie.

I nagle Sarah Jane błyskawicznie zaatakowała łachmaniarza. David nie miał pojęcia, co zrobiła, ale skoczyła i brutalnie pchnęła go na ziemię. Walczył jak dzikie zwierzę, miotał się nieporadnie. Gnijącą twarz o martwych oczach wykrzywił grymas bólu. Światło bijące od Sarah Jane zalewało mu usta i oczy, sprawiało, że skóra pękała mu w wielu miejscach.

Heep był wyraźnie zaskoczony.

– Biegnijcie! – szepnęła Sarah Jane, a właściwie jej cień. – Szybko!

Łachmaniarz chyba w ogóle nie panował nad swoim ciałem, bo teraz z wściekłością rzucił się na Heepa. Jego wygięte palce przypominały szpony. Poruszał się nierównymi, rwanymi ruchami jak marionetka. Heep wrzasnął wściekle, łypnął groźnie na Heaven i Davida i upadł pod ciężarem współnika.

– To sprawka Sarah Jane? – zapytała Heaven.

David wolał nie zastanawiać się nad odpowiedzią. Nie zawracał sobie głowy tym, co jest słuszne, a co nie. Mocno złapał Heaven za rękę i pociągnął za sobą. Mężczyzna w czarnych rękawiczkach niespokojnie obejrzał się za nimi, cały czas walcząc ze współnikiem. Błysnęło srebrzyste ostrze i rozległ się trzask przecinanego materiału i ścięgien. Łachmaniarz wrzasnął, skulił się i zawył jak drapieżnik, który padł łupem większego zwierzęcia.

– No, chodź! – rzucił David i pociągnął Heaven za sobą.

Obejrzał się za siebie; Heep nadal leżał na ziemi i dźgał nożem ciało byłego pomocnika, który ciągle walczył.

Cokolwiek się tam dzieje, nie potrwa długo, pomyślał, a wtedy Heep rzuci się za nimi i będzie tak wściekły, że jego oczy rozblęsną czerwonym blaskiem.

– Szybciej! – Teraz to Heaven nadawała tempo.

David biegł. Płuca paliły go z wysiłku. Zerknął w bok. Heaven biegła lekko, bez trudu. Kiedy znajdowali się na świeżym, zimnym powietrzu, nic jej nie ograniczało. Jej kroki były jak muzyka, piosenka, której pulsujący rytm zmuszał do dalszego biegu.

Skręcili w inną alejkę, wracali tą samą drogą, którą przyszedli. Świadcami ich ucieczki były kamienne anioły, rzeźby z połową twarzy. Biegli wśród grobów i posągów, przez zagajnik smagający ich gałęziami po twarzach, obok fontanny i krzyża, na którym wisiał drewniany faun.

W pewnym momencie David stracił orientację. Nic wokół nie wydawało się znajome. Zdziczałe kolczaste żywopłoty, niskie, zniszczone groby.

– Cholera, cholera, cholera! – Zatrzymał się przy rozłożystym krzaku, rozchylił gałęzie, przepuścił Heaven przodem i wszedł za nią.

– Skąd wiedzieli, gdzie jest grób moich rodziców? – Oddychała szybko, ale miarowo.

– Byli w Richmond. Znają twój adres, a resztę można sprawdzić.

– Ale skąd wiedzieli, jak się nazywam? – dziwiła się. – Jakim cudem trafili do Richmond?

David dyszał ciężko.

– Nieważne – mruknął. – Później, dobrze?

Kiwnęła głową.

Przeszli przez kolejny żywopłot i znaleźli się na placu otoczonym drzewami. I mauzoleami. Krypty ziewały ciemnymi otworami drzwi.

– Aleja Egipska – wyrwało się Heaven.

Osobny świat uliczek, zaułków, miasto grobów, grobowców, mauzoleów przypominających pałace. Znaleźli się w środku miasta umarłych.

– Może krypta? – David niespokojnie rozglądał się dookoła. – Schowajmy się w jednej z nich.

Heaven pokręciła głową. Otworzyła szeroko oczy.

– A jeśli znowu spotkamy tam ducha? Nie tak przyjaznego jak Sarah Jane?

– To stare groby. Jeśli wierzyć Sarah Jane, nie będzie tu duchów, bo nikt o nich nie pamięta.

– A jeśli...

– Nic nam nie zrobią. Jesteśmy żywi. – Wzruszył ramionami. – Najwyżej nas przestraszą.

Przypomniał sobie, co Sarah Jane zrobiła z łachmaniarzem, i szybko

odepchnął tę myśl od siebie.

Heaven nasłuchiwała. Ciemność wypełniały różne odgłosy; pod nogami szeleściła ściółka, gdzieś krzyczał ptak, ale nic nie wskazywało, że prześladowca jest coraz bliżej. Śnieg padał coraz intensywniej. Jeden z płatków zawisł na rzęsach Heaven, nie topniał, kołysał się jak ła.

– W krypcie będziemy jak w pułapce, jeśli nas dopadnie – zauważyła. – To ślepy zaułek, bez drogi ucieczki.

– Musimy zaryzykować. – David podniósł głowę. – Idzie.

Teraz już oboje słyszeli kroki, głośny szelest wśród krzewów, dochodzący z tej samej strony, z której nadeszli. Najbardziej na świecie chcieli się ukryć.

– Cholera! – zaklął David. – Kim on jest?

Chwilę później stali nieruchomo pośród nocy. W końcu podjął decyzję.

– Chodź! – Pociągnął ją za sobą. Podbiegli do żelaznej furty, uchylonej, bo łańcuch skuwający jej skrzydła przerdzewiał na wylot. Wystarczyło tylko rozgiąć kłódkę i już.

Ostrożnie uchylił skrzydło i w ślad za Heaven wślizgnął się do środka. Kiedy byli wewnątrz, zamknął furte i umieścił kłódkę na łańcuchu.

– Przy odrobinie szczęścia niczego nie zauważy – szepnął.

Heaven nie odpowiedziała, w milczeniu szukała jego dłoni.

Weszli w głąb krypty.

W mauzoleum liczącym co najmniej sto lat otaczał ich zapach mokrej ziemi i ściółki. Powietrze było zimne; wydawało się, że od dawna nikt tu nie zaglądał. Ostrożnie pokonali wąskie kamienne schodki, częściowo połamane i zniszczone. Uważali, żeby się nie potknąć.

W dachu na końcu korytarzyka, którym szli, znajdował się niewielki otwór, przez który do środka wpadało srebrne światło księżyca i pojedyncze płatki śniegu.

Niskie ściany pokrywały malowidła egipskich bóstw i dawno wyblakłe hieroglify. Najwyraźniej w czasach wiktoriańskich taka dekoracja grobowców była wyjątkowo modna wśród londyńskich bogaczy.

David zatrzymał się pod otworem i spojrzał w niebo. Cały czas dyszał ciężko, ale już nie z powodu wysiłku.

Czuł, jak powraca znajome wrażenie uwięzienia. Niemal słyszał odgłos zamykanych drzwi i szcęk klucza w zamku.

– Wszystko w porządku? – zapytała Heaven.

Choć pokręcił głową, posłał jej słaby uśmiech.

– Dam radę.

Chciało mu się śmiać. Co za banał! Dam radę? Tekst rodem z hollywoodzkiej szmiry, gdy bohater leży ranny i żeby nie stracić twarzy, każe bezradnej towarzyszkce uciekać dalej. Idź dalej sama, skarbie, zrób to dla mnie, dam sobie radę, wszystko będzie dobrze...

Uśmiechnęła się, słysząc jego słowa, i przemknęło mu przez myśl, że być może miała podobne skojarzenia.

Biegli dalej, bardzo ostrożnie. Krok za krokiem zagłębiali się w ciemność. Tym razem wydawało mu się, że to Heaven ciągnie jego, nie odwrotnie.

Tyle jeśli chodzi o hollywoodzkich bohaterów, przemknęło mu przez głowę.

– Jest tutaj! – szepnęła nagle.

Zastygli w bezruchu. David nasłuchiwał. Słyszał kroki na zewnątrz i znowu przypomniało mu się tamto. Nasłuchiwanie odgłosów zewnętrznego świata przez opuszczone żaluzje. Wtedy wydawały się niesamowicie głośne, jak gdyby życie za wszelką cenę chciało wdrzeć się do zabarykadowanego domu.

Czuł, że oddycha coraz szybciej, czuł niemal, jak przytłaczają go ciężkie kamienne ściany, czuł ciężar, który doskwierał mu od tylu lat.

Nie, to na nic. Na chwilę zamknął oczy.

To nic, to nic, zaraz będzie dobrze...

– Dalej – szepnął.

Szli dalej, w głąb mauzoleum. Schodami dotarli do większego pomieszczenia. Między kolumnami nad spokojem zmarłych czuwały egipskie bóstwa. Właściwa komora grobowa kryła się za drewnianymi drzwiami.

Drzwi, stare i brudne, wisiały na potężnych zawiasach.

David uchylił je ostrożnie ze strasznym przeczuciem, że ukrycie się w komorze grobowej może okazać się fatalnym pomysłem. Jeśli Scrooge ich znajdzie, już po nich.

– Kiepski pomysł – mruknęła Heaven.

– Może.

Zajrzał do środka. Muszą jakoś wykiwać tego drania. Musi być jakieś wyjście. Zawsze istnieje jakieś wyjście, trzeba tylko zdobyć się na odwagę, żeby go poszukać.

Z ciemności wyłonił się zarys sarkofagu. Coś drgnęło w mroku.

– Coś tam jest – szepnęła Heaven.

– Może szczury.

– No, bomba.

David skulił się odruchowo. Coś otarło się o jego nogawkę. Małe pazurki, chcące się przekonać, co odważyło się wdrzeć w ciemność.

Namacał w kieszeni zapalniczkę i zapalił ją od razu. Coś ugryzło go w nogę. Kopnął odruchowo.

Szczur, pomyślał i usiłował się uspokoić. To na pewno tylko szczur.

I wtedy to zobaczył.

– Jezu, co to jest?

Zwierzę poruszało się i kołysało w rozedrganym płomyku zapalniczki. Było wielkości kota, ale nie wyglądało jak kot. W białych ślepiach odbijało się mdłe

światło. Po chwili zobaczył długi, łysy ogon. I pysk, zbyt spiczasty jak na kota. To skrzyżowanie kota i szczura, doszedł do wniosku, stworzenie, które nigdy nie widziało światła dziennego i lepiej, żeby tak zostało.

Zwierzę prychnęło wściekle i zanim zdążył zareagować, zaatakowało ponownie. Małe kły szukały jego palców.

Przerażony kopnął je. Upadło na ziemię. Na wszelki wypadek kopnął je mocniej, tak że poleciało za sarkofag.

I niemal w tej samej chwili ciemność wypełniły szelesty.

– Cholera – zaklął, gdy zrozumiał, co obudził.

Komora grobowa była pełna szczurokotów.

Czaiły się w kątach, spały na ziemi, drzemały na sarkofagu pośrodku pomieszczenia. Szczurokoty wyłaniały się ze wszystkich stron i patrzyły na Davida i Heaven mlecznobiałymi ślepiami.

Heaven odczekała chwilę. Nic się nie działo.

– Uciekajmy stąd! – I znowu to ona ciągnęła za sobą Davida i zamknęła drzwi, zanim szczurokoty rzuciły się w pościg.

Zdyszana oparła się o drzwi i popatrzyła na niego. David cały czas ścisnął w dłoni zapalniczkę. Płomyk odbijał się w ich oczach. A potem usłyszeli zardzewiały zgrzyt i brzęk łańcucha opadającego na ziemię.

Heep szedł ich śladem.

Był tutaj.

– Musimy się ukryć – szepnęła nerwowo. – Może tam? – Wskazała kolumny pod ścianami.

David nasłuchiwał kroków w korytarzyku. Heep szedł przez mrok, był coraz bliżej, poruszał się szybko, zdecydowanie za szybko. Nie mają czasu. Mogli wybrać albo drzwi do komory ze szczurokotami, albo kolumny i posągi bóstw o zwierzęcych głowach.

Heaven złapała go za rękę i szarpnęła w bok, tak że stali naprzeciwko komory grobowej. Płomyk zapalniczki kołysał się niespokojnie.

– Co wymyśliłaś? – szepnął.

Kroki były coraz bliżej.

– Chodź. – Pchnęła go za posąg z wielkimi piersiami i łbem krokodyla i przywarła do niego. Wcisnęli się w szczelinę między posągiem a ścianą. Prawie nie oddychali. A potem wyjęła mu zapalniczkę z dłoni i cisnęła nią w drzwi.

Słyszał, jak uderzyła w drewniane deski. Ze środka dobiegło gniewne prychnięcie. I zrozumiał, co wymyśliła.

Znowu zapadła cisza. Grobowa. Czuł na twarzy miękkiego dotyk jej włosów. Otulał go jej zapach, cytryny i cynamonu.

Kroki się zbliżały. Poprzedzało je światło latarki rozjaśniające mrok.

Heaven przywarła do niego mocniej i wtedy, zanim prześladowca do nich

dotarł, poczuł na ustach dotyk jej zimnych warg. Była blisko jak nigdy i całowała go, jakby miało nie być jutra.

Strumień światła penetrował ciemne pomieszczenie tak samo, jak jego język jej usta. Ukryli się w mroku i w pocałunku, a ten stał się całym światem, którego nie znali, który teraz odkrywali.

A potem wrócili w mroczną rzeczywistość grobowca i nasłuchiwali, jak mężczyzna stał przed drewnianymi drzwiami. Pochylił się, by zbadać trop.

Zobaczył zapalniczkę na ziemi.

David niemal czuł, jak Heep uśmiecha się tym swoim przyjaznym uśmiechem. A potem uchylił drzwi i cicho wszedł do środka.

– No, chodźcie, chodźcie. Gdzie jesteście? – szeptał.

Ciche prychnięcie. Światło tańczyło po wzorach na ścianach.

David wyskoczył z ukrycia, podbiegł do drzwi, zamknął je i oparł się o nie całym ciałem.

Zamknęły się z głośnym trzaskiem, zamek zaskoczył i już Heaven mocowała się z ciężką zasuwą.

A ze środka dobiegło gniewne prychnięcie dobywające się z setek gardzieli. Heep dopiero teraz się zorientował, że w komorze grobowej nie jest sam. I że znalazł się w pułapce.

David nie czekał na ciąg dalszy.

– Uciekajmy.

Wybiegli na dwór. Cały czas miał na ustach smak pocałunku, głębokiego, przelotnego jak sen. Biegli w górę, chciwie chwyтали powietrze.

Na zewnątrz padał śnieg. Grube płatki tańczyły na wietrze.

David wstrzymał oddech, spojrzał na Heaven. Wiedziała, gdzie są, biegła przodem. Ruszył za nią. Wkrótce dotarli do jednej z głównych alei cmentarza. Biegli ile sił w nogach. Postrzępione chmury zasłaniały księżyc, wyczarowywały cienie tam, gdzie właściwie nie powinno ich być. Śnieg osiadał im na włosach i twarzach, ale nie zwracali na to uwagi, biegli, byle jak najbardziej oddalić się od podziemnej krypty, mężczyzny w rękawiczkach i niezliczonych szczurokotów, które Bóg jeden wie, co z nim zrobią.

W końcu dotarli do wysokiego muru cmentarnego. Tam czekał na nich lśniący cień.

– Sarah Jane – szepnął David.

Zjawa siedziała na ławce pod drzewem. Mrugnęła porozumiewawczo.

– Łachmaniarz już jest unieszkodliwiony.

Podeszli do niej.

– Co pani z nim zrobiła? – zapytał David.

– To jeden z nas – odparła głosem trzeszczącym jak lód. – To duch. Nie żyje.

A jednak ktoś oddał mu ciało, żeby mógł się w nim poruszać. Takich jak Heep

nazywano dawniej porywaczami ciał. Wykopują zwłoki i biorą je w niewolę.
– Wzruszyła ramionami, jak to duch. – Może obiecał mu nowe serce.

– Czyli wskrzesił trupa, żeby służył mu jako pies gończy?

Skinęła głową.

– Martwi z daleka wyczuwają żywe serca. – Patrzyła na śnieżynki opadające przez nią na ziemię. – Odwróciłam uwagę jego ciała, ale Heep się obronił. Nóż spełnił swoje zadanie.

– A duch?

– Będzie błakał się bez celu, póki jego szczątki nie spoczną w ziemi.

– Straszne – szepnęła Heaven.

– Takie jest życie umarłych – powiedziała Sarah Jane. Zobaczyła dziurę w nogawce Davida i ślady pazurów.

– Weszliśmy do starego mauzoleum – wyjawiała Heaven. – W alei Egipskiej. Sarah Jane zrozumiała.

– Czasami zdarza się, że jakieś zwierzę wślizgnie się do krypty i nie potrafi z niej wyjść. Niekiedy zadaje się ze stworzeniami żyjącymi pod ziemią. Ich potomstwo jest koszmarnie, żyje w wiecznym mroku, żywi się robakami, pleśnią i tymi, którzy trafili tam przed nimi. Nie mają światła dziennego. Cierpią wieczny głód.

– Zaatakowały Heepa.

– Mieliście szczęście.

– Wiem – szepnął.

Sarah Jane wstała.

– Idźcie już – powiedziała. – Highgate to nadal miejsce umarłych.
– Dotknęła ich dłoni. – To nie jest wasz świat. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale zanim odejdziecie, mam jedną, jedyną prośbę. – Puste oczy spoglądały to na Davida, to na Heaven. – Czy kiedy to wszystko się skończy, umieście na nagrobku moje nazwisko?

Heaven obiecała, że tak.

– Nie zapomnimy pani – zapewniła.

David dotknął przezroczywej dłoni i powiedział tylko:

– Sarah Jane.

A potem odwrócili się i odeszli w noc.

Ani razu nie obejrzel się za siebie, bo to coś, czego żywi pod żadnym pozorem nie powinni robić, gdy wychodzą ze świata zmarłych. Wiedzieli o tym, choć nikt im tego nie powiedział.

ROZDZIAŁ 11

WIELKIE NADZIEJE

Nie rozmawiali. Wydarzyło się zbyt wiele, by o tym mówić. Nie czuli się bezpieczni tylko dlatego, że wyszli z cmentarza.

Pobiegli na przystanek. Mieli szczęście, złapali autobus do stacji St. Pancras. David wyjął ze schowka torbę z ciuchami Heaven, a potem przez Trafalgar Square pojechali autobusem do domu.

W powietrzu tańczyły grube płatki śniegu, spowijały miasto zimową bielą. Wielka fontanna z kamiennymi lwami była pięknie podświetlona ze wszystkich stron, podobnie jak potężna kolumna z posągami admirała. Po raz kolejny pomyślał, że o tej porze roku śnieg to w Anglii rzadkość.

Co chwila ukradkiem zerkał na Heaven. Analizował w myślach wszystko, czego się dowiedzieli od Sary Jane i Heepa, a później przypomniał sobie pocałunek i zamierzał coś powiedzieć, ale Heaven milczała i uparcie unikała jego wzroku. Patrzyła przed siebie, zatopiona w myślach, trochę tak, jakby zapomniała, że nie jest tu sama.

Szli w stronę Charing Cross, gdy nagle, bez uprzedzenia, pośrodku placu, Heaven zmieniła kierunek.

Pod budką telefoniczną siedział żebrak, otulony śpiworem i brudnymi kocami. Nie było wiadomo, czy spał, czy tylko tkwił tak w bezruchu. Nie zwracając uwagi na Davida, Heaven do niego podeszła. Szukała drobnych w kieszeni.

– Przepraszam – zagaiła uprzejmie.

Mężczyzna spojrzął na nią, mrużąc oczy.

– Czego, laleczko?

Wskazała leżącą koło niego butelkę.

– Nowa?

– Nietknięta.

– Akcyza wygląda w porządku – mruknęła.

David zastanawiał się, co to wszystko ma znaczyć.

Żebrak przyglądał się jej nieufnie.

– Chcesz łyka?

Nie sposób było określić, co to za alkohol, bo butelka tkwiła w papierowej brązowej torebce.

– Dziesięć funtów za flaszkę. – Heaven pomachała mu banknotem przed nosem.

– Wszystko w porządku? – odezwał się David.

Nie zwracała na niego uwagi. Żebrak ciągle nie był przekonany.

Heaven traciła cierpliwość.

– Płacę dziesięć funtów za towar. Dziesięć funtów – podkreśliła i zamachała banknotem w powietrzu.

Żebrak szybko pozbył się wątpliwości. Butelka i banknot przeszły z rąk do rąk.

– Masz fajną dziewczynę – rzucił żebrak do Davida. – Ale taka młoda nie powinna tyle pić.

– Wiem o tym – burknął.

Heaven była już daleko.

David pobiegł za nią. Otworzyła butelkę, uniosła ją do ust i upiła spory łyk.

– Ej! – zawołał. Nie odwróciła się, szła prosto do jednego z kamiennych lwów. – Co to za wygłupy?

Zatrzymała się przy kamiennym posągu, ponownie odkręciła flaszkę, skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Jezu, ale paskudztwo – mruknęła i znowu się napiła.

Dogonił ją.

– Dlaczego to robisz?

– Tańczyłeś kiedyś na lwie?

Przypomniał sobie zdjęcia jej i jej przyjaciółek, które widział w internecie.

– Nie.

– A ja tak.

– Hmm.

– A wiesz, co w tym było najfajniejsze?

– I tak mi powiesz, jak się domyślam. – Zdawał sobie sprawę, że z jego głosu przebija zniecierpliwienie i że jej się to nie podoba.

– Byłam wtedy tak cholernie nudno normalna, rozumiesz? – Roześmiała się głośno. – Byłam zwykłą uczennicą. Miałam przyjaciół, było normalnie. – Spojrzała na niego i zobaczyła łzy w jej oczach. – Popatrz na mnie teraz, do cholery. Moje życie legło w gruzach. Ojciec przez cały czas ukrywał przede mną, że matka po moich narodzinach zniknęła bez śladu. Wolał, żeby powiedział mi o tym duch kobiety, którą pochował zamiast niej. Nie czuję w sobie serca. Kto wie, ile jeszcze pożyję? Podejrzewam, że Heep nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, choć teraz pewnie przedstawi się jako pan Creackle. – Podeszła do lwa, spojrzała mu w oczy, a potem zaczęła krzyczeć. Stała tam po prostu i wrzeszczała na całe gardło, aż noc zadrzała w posadach. To był gardłowy, pierwotny wrzask, krzyk gniewu i rozpacz, niepewności i strachu. – Już nie mogę! – krzyczała. A potem z całej siły roztrzaskała butelkę na lwim łbie, jakby to wszystko była jego wina. – Mam tego dość, rozumiesz? – Po pysku lwa spływał tani alkohol. Heaven splunęła,

odchrząknęła, wytarła sobie usta dłonią. – Życ normalnie, czy to takie cholernie trudne?

David stanął za nią, objął ją i usiłował przytrzymać, ale odsunął się, kiedy poczuł, jak zeszywniała.

– Nie mogę tak dalej – szepnęła.

– Heaven – powiedział. Tylko tyle.

– Chcę odzyskać swoje życie.

– Znajdziemy jakiś sposób – obiecał.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak. – Czasami w takich chwilach po prostu trzeba skłamać, pomyślał.

Heaven odwróciła się do lwa.

– Przepraszam – szepnęła.

A potem poszła dalej. David ruszył za nią.

Ramię w ramię wbiegli na schody, mając po lewej galerię. Wędrowali Charing Cross Road. W milczeniu szli ulicami białymi od śniegu.

Cisza zawsze towarzysząca opadom śniegu spowiła miasto jasną chustą, która nawet głośnie dźwięki zamienia w szept. Nad tą częścią Londynu zamiast nieba nadal ziała pustka. Davidowi przypomniła się opowieść Sary Jane, a także to, co wydarzyło się tamtego dnia, gdy Heaven przyszła na świat, a jej mama zniknęła.

Zerknął na nią z ukosa i z trudem opanował odruch, by wziąć ją w ramiona. Wiedział, że tego nie chce, nie teraz. Pocałunek w krypcie, szybki, nieoczekiwany, zaskoczył oboje. A jednak nadal wisiał w powietrzu i tak naprawdę nic nie zdoła go wymazać z pamięci. To po prostu niewłaściwy moment, by o tym rozmawiać. I tyle. I tak było dobrze, przynajmniej jego zdaniem.

Charing Cross Road niemal zupełnie opustoszała. Tylko nieliczne samochody zmagaly się ze świeżym śniegiem. Białego puchu nie znaczyły żadne ślady; ani na jezdni, ani tym bardziej na chodniku. David czuł, jak napięcie, które towarzyszyło mu od rana, odrobinę zelzało.

Pięć minut później doszli do księgarni. W zaułku panował spokój, z okna na ulicę wylewało się światło. David nagle odniósł wrażenie, że nie było go tu od lat, tyle się działo w ciągu minionych godzin.

Wsunął klucz do zamka i cicho otworzył drzwi. Wewnątrz powitało ich miękkie światło lampy. Panna Trodwood spała w fotelu pośrodku sklepu. Na jej kolanach leżała otwarta książka.

David rozpoznał ją od razu. Oczywiście Dickens. *Wielkie nadzieje*.

– Naprawdę na nas czekała – szepnęła Heaven.

– Zazwyczaj punktualnie o ósmej kładzie się spać – mruknął David.

Cichutko podszedł do fotela. Starsza pani miała przekrzywione okulary, głowa opadła jej na bok. *Wielkie nadzieje* wędrowały w górę i w dół w rytm jej

miarowego oddechu. Prawa ręka spoczywała na oparciu fotela, lewa na kartce, przy której czytaniu najwyraźniej zasnęła.

David chciał troskliwie zdjąć jej okulary, zanim spadną na podłogę, i w tej chwili panna Trodwood uniosła powieki i odruchowo odepchnęła jego rękę. Dopiero po chwili w pełni odzyskała przytomność.

– David! – zawołała z ulgą i zarazem z pretensją. – I Heaven! – Westchnęła. – Gdzieście się podziewali? – Przyjrzała się im i dodała: – Jak wy wyglądacie?

Dopiero teraz David zdał sobie sprawę, jak bardzo są brudni.

– Gdzie przepadliście? – Już całkiem oprzytomniała. – Drogie dzieci, wyglądacie, jakbyście widzieli ducha.

Milczenie.

Panna Trodwood zmrużyła oczy i nagle wydawało się, że patrzy przez nich na wylot.

– Chwileczkę... chyba nie widzieliście prawdziwego ducha?

– No cóż – zaczął David. – Skoro już o tym mowa...

– No właśnie... – zawtórowała mu Heaven.

– W pewnym sensie tak.

– To była zjawą – ciągnęła Heaven. – Duch kobiety. Przedstawiła się jako Sarah Jane.

– To długa historia – dodał David.

Panna Trodwood ze zniecierpliwieniem zamknęła książkę i położyła ją na stole.

– Chyba nie wpakowaliście się w żadne kłopoty? – Mierzyła ich surowym spojrzeniem. – Nie braliście narkotyków?

Oboje energicznie zaprzeczyli.

– Ale twierdzicie, że widzieliście ducha.

Tym razem stanowczo potwierdzili.

– Prawdziwego ducha, jak u Oscara Wilde'a?

Nie mieli innego wyjścia. Znowu musieli potwierdzić.

– To istne szaleństwo – mruknęła panna Trodwood.

– Czekala pani na nas? – zapytała Heaven.

– Nie – zapewniła starsza pani stanowczo. – Po prostu trochę się zasiedziałam, i tyle.

– Hm.

– Czy Heaven...?

Panna Trodwood nie dała mu dokończyć.

– Ależ oczywiście, że może zostać. Potrzebuje naszej pomocy, prawda? – Spojrzała na Heaven i dodała: – Dzisiaj sobie trochę pogadałyśmy. – Przeniosła wzrok na Davida i zapytała z udawanym oburzeniem: – Jak mogłeś pomyśleć, że mam coś przeciwko temu? – Mruknęła znacząco do Heaven i dźwignęła się

z fotela. – Ale wasza historia, choćby nie wiem jak fascynująca, choćby i o duchach, musi poczekać do jutra. Jestem już stara i muszę spać. Już i tak się zasiedziałam, ale wróciliście cali i zdrowi, to najważniejsze.

– Ja...

– Dlaczego nie miałaś ze sobą komórki?

– Bo nie lubię komórek – powiedział David zgodnie z prawdą.

Heaven się roześmiała. Wiedział doskonale, o co jej chodzi. Po tym wszystkim, co ostatnio przeżyli, dobrze było dostać burę od panny Trodwood za coś tak banalnego jak brak telefonu komórkowego. I dobrze było wiedzieć, jak bardzo się o nich martwiła.

– A teraz – staruszka podjęła przerwany wątek – pozwolicie, że was pożegnaj. Jeśli zaraz się nie położę, jutro będę nieznośna. – Podeszła do drzwi, zamknęła je starannie, wyjrzała przez okno. – Ach, ta pogoda – mruknęła. – Śnieg w listopadzie. – A po chwili dodała: – Chyba nikt was nie śledził. – Z jej spojrzenia mogli wyczytać, że nie jest ślepa ani głucha i dobrze wie, że wpakowali się w nie lada tarapaty. – Dobranoc. – Podeszła do schodów i pozwoliła sobie na ostatnią uwagę: – Tylko żeby mi na górze nie dochodziło do żadnych bezeceństw.

David i Heaven wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie, skądże – wykrztusił David. Heaven lepiej nad sobą panowała.

– Słowo honoru.

– No i dobrze. – Z lekkim uśmiechem na ustach zniknęła za kotarą. – Rano będę jak nieżywa, jeśli się teraz nie położę. – Jej głos niął na schodach skrzypiących przy każdym kroku. Potem usłyszeli trzask zamykanych drzwi wysoko na poddaszu. Gdzieś w domu zaszumiały rury kanalizacji, a potem zapadła cisza.

David cały czas stał przy fotelu, wpatrzony w książkę, którą czytała panna Trodwood.

– Lubi Dickensa – domyśliła się Heaven.

– Nic dziwnego, co?

Heaven ziewnęła dyskretnie.

– Chodźmy na górę – zaproponował David. Uśmiechnął się. – Tylko żeby mi nie dochodziło...

Roześmiała się i pomyślał, że robi to zdecydowanie za rzadko.

– ...do żadnych bezeceństw – dokończyła za niego.

Chichotała jeszcze, gdy szli na górę, i przez chwilę wydawało się, że jej humoru nie popsuje żadne zmartwienie, zaraz jednak znowu umilkła. Oddychała z coraz większym trudem. W ciasnym korytarzu było jej za ciepło, za duszno.

Na pięterku zniknęła w łazience. Wyszła pół godziny później, w starej koszulce i bokserkach Davida. To samo miała na sobie poprzedniej nocy. Wydawała się bardzo zmęczona.

– Na barce nie znalazłem piżamy – przypomniał sobie.

– Chętnie noszę twoje rzeczy – odparła.

David już przedtem otworzył okno. Do pokoju wpadało lodowate powietrze, na meblach osiadło kilka zabłąkanych płatków śniegu.

– Wystarczająco zimno? – spytał troskliwie. Cały czas miał na sobie kurtkę i szalik.

Skinęła głową.

– Mogę cię o coś prosić?

– Jasne.

– Chodzi o to, że... – Stanęła przed nim. – Zostaniesz tu ze mną?

Zgodził się.

– Mimo zimna?

Demonstracyjnie postawił kołnierz kurtki.

Heaven wślizgnęła się do łóżka.

David zniknął w łazience, a gdy wrócił, nałożył gruby sweter na koszulkę i położył się obok Heaven.

– Teraz chciałabym popatrzeć w gwiazdy – szepnęła. – Wiesz, jak na dachu. Tam zawsze czuję się wolna, bez względu na to, co mnie spotkało w ciągu dnia. Wolna od świata, w którym żyję.

Wiedział doskonale, co ma na myśli.

– Masz wrażenie, że latasz, choć to nieprawda.

Oboje obserwowali ten sam płatek śniegu. Wpadł przez okno, przycupnął na komodzie, stopniał.

– Chcesz porozmawiać? – zapytał szeptem.

– Nie. – Wpatrywała się w okno. – W każdym razie nie o tym, czego się dowiedzieliśmy. Nie teraz.

– Dobrze. – David wbił wzrok w sufit. Po chwili zapytał cicho: – Czytałaś *Wielkie nadzieje*?

– Oczywiście.

– Panna Trodwood bardzo lubi tę książkę. – Wyrzwał na zewnątrz. – W kółko do niej wraca. Ba, uparła się, że ja też muszę ją przeczytać. Twierdzi, że żadna inna książka tak dobrze nie przygotowuje człowieka do prawdziwego życia. – I nagle poczuł, że chce opowiedzieć Heaven o wszystkim tym, co złożyło się na jego życie. A opowieść o tej, która go uratowała, to pierwszy krok.

– Bardzo ją lubisz, prawda?

Potwierdził ruchem głowy.

– Wiesz coś o niej? – zapytała szeptem.

– Panna Trodwood... – Przewrócił się na bok, wsparł na łokciu i spojrzął na Heaven. – Mieszka w tym domu od dawna. Tylko raz opowiadała mi, jak tu trafiła. To był ostatni dzień jej życia, tak to określiła.

– Brzmi smutno.
– Opowiedziała mi to, ponieważ chyba czuła, że nie radzę sobie z własnym życiem.

Przechyliła głowę, ale o nic nie pytała.

– Kiedy tu trafiłem, byłem w kiepskim stanie.

Skinęła lekko i cały czas patrzyła mu w oczy.

– Byłem nieszczęśliwy, samotny, zły, miałem wyrzuty sumienia, wszystko naraz. – Niechętnie wracał myślami do tego okresu, choć przecież nie było to tak dawno. – Robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny.

– I?

– Któregoś dnia panna Trodwood wzięła mnie na bok. Mieszkałem wtedy u niej od niedawna i akurat segregowałem nowości wydawnicze. Zaprosiła mnie na herbatkę i opowiedziała o sobie.

– Zaciekawileś mnie.

– W pierwszej chwili w ogóle nie miałem pojęcia, czego ode mnie chce. Wychowała ją ciotka, gdzieś na wsi koło Dover. O rodzicach nie wspomniała ani słowem. – Zawahał się. – Wiesz, właściwie to historia jak z powieści, właśnie jak z *Wielkich nadziei*. Wyobraź sobie małą dziewczynkę, wychowywaną tak, by zawsze była urocza i słodka, tak słodka, że wszyscy tracą dla niej głowę. Dziewczynka dorasta na wsi, samotna w wielkim domu, otoczona lustrami i książkami w wielkiej bibliotece, do której poza nią nikt nie zagląda. Mijają lata. W końcu ciotka dziwaczka umiera, dziewczynka, już dorosła, wyjeżdża do Londynu. Tam ma wiele romansów, łamie serca wszystkim tym, którzy tracą dla niej głowę. Nie może się zmienić, bo nie wie, że powinna. Robi to, czego ją nauczono. Potrafi żyć bez miłości. – Urwał, wpatrzony w noc lśniąca w oczach Heaven. – I wtedy coś się wydarzyło – podejmuje przerwany wątek. – Poznaje kogoś, kto zrobi dla niej wszystko. Chcą się pobrać, po tym jak ona otworzy swój antykwariat. On jednak nie zjawia się na uroczystym otwarciu.

– Mówiła, jak się nazywał?

– Nie, właściwie nie. Mówiła o nim tylko Pip.

Heaven przysłuchiwała się z zainteresowaniem.

– Przyszli zaproszeni goście, wszystko szło jak po maśle. Aż otrzymała wiadomość, że Pip nie żyje. Wpadł pod samochód na Edgware Road.

– Ciekawe, skąd wiedziałam, że ta historia źle się kończy?

– Tamtego wieczoru, po uroczystym otwarciu, panna Trodwood przysięgła sobie, że resztę życia spędzi właśnie tutaj.

– Opowiedziała ci to wszystko?

– Tak.

– Kochała go?

– Tego mi nie powiedziała.

– Dziwna historia.

– A potem dała mi książkę.

– *Wielkie nadzieje*.

– Tak. Wyjaśniła, że Dickens znał życie. Miałem przeczytać tę powieść i w ten sposób poznać ludzkie charaktery. – David się zawahał. Do tej pory nie miał pewności, czy właściwie zrozumiał intencje panny Trodwood. – Mam się mieć na baczności, podkreślała, bo życie jest nieprzewidywalne. I nikt nie może wiecznie grać. W którymś momencie maska opada, a wtedy trzeba spojrzeć w lustro i zmierzyć się z tym, co w nim widzimy. To takie proste. I trzeba zawsze o tym pamiętać.

– I to ci pomogło?

Wzruszył ramionami.

– Cóż, przynajmniej od tamtej pory wiedziałem, czemu zawsze zachowuje się trochę dziwnie wobec mężczyzn.

– Dlaczego przyjęła cię pod swój dach?

– Może chciała zrobić w życiu coś dobrego? Kto to wie? Może chciała za coś odpokutować. A może po prostu czuła się samotna.

Heaven skinęła głową.

– Rozumiem ją.

– Masz na myśli rodziców?

– Tak.

Przypomniał sobie jej słowa.

– Wierzysz w to, co mówiła Sarah Jane?

– Tak.

Po chwili milczenia wyznał:

– Ja też.

– Mieliśmy o tym nie rozmawiać – zwróciła mu uwagę ochryłym, łamiącym się głosem.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi.

Opadł na plecy i teraz Heaven wsparła się na łokciu. Przyglądała mu się badawczo.

– Co z tobą?

Domyślał się, że chciała, by opowiedział jej o sobie to, co do tej pory zataił.

Odetchnął głęboko.

– Oprócz tego, co już wiesz? – Jego oddech unosił się małym obłoczkiem w zimnym powietrzu.

Skinęła lekko.

– Wiesz już, co jest z mamą. Ale jeszcze gorzej było chyba przez ojca. Przez to, jak sobie z tym radził. Przez to, czego ode mnie wymagał.

Przyglądała mu się w milczeniu.

– Pracuje w porcie – zaczął. – To potężny facet, który chętnie majsterkuje. To jego hobby. Być może dawniej, zanim matce się pogorszyło, interesował się też nią, ale odkąd zaczęły się napady paniki i przestała wychodzić z domu, interesowało go już tylko, w jaki sposób ukryć przed sąsiadami, że coś jest u nas nie tak. Zrobiłby chyba wszystko, byle nikt nie zwracał na nas uwagi.

– A twoja siostra?

David na moment zamknął oczy.

– Przykro mi – szepnęła Heaven.

Pokręcił głową.

– Nie, w porządku. – I naprawdę tak było. – Szczerze mówiąc, zostawiłem ją na lodzie. – Zagryzł dolną wargę. – Siedzi tam, w tym domu z opuszczonymi żaluzjami, i dzień w dzień gapi się w cholerny telewizor. A ja po prostu ją tam zostawiłem.

– Nigdy nie usiłowałeś się z nią skontaktować?

Zawahał się.

– Raz.

– I co?

– Odłożyła komórkę i zawołała ojca.

Heaven po omacku szukała jego dłoni. Znalazła ją.

David nie protestował.

– Radzi sobie lepiej niż ja. Lepiej też dogaduje się z ojcem. Może dlatego, że jest dziewczyną. Może być taka, jaka chce. Podejrzewam, że w pewnym sensie zastępuje mu żonę, która tak bardzo się zmieniła. Ale ja...

– Nigdy nie byłeś synem, którego sobie wymarzył.

– Nigdy nie byłem chłopakiem, jakiego powinien mieć. Pewnie nie tak wyobrażał sobie życie rodzinne. Chciał syna, który lubi to samo co on. Chłopaka, który lubi majsterkować, który siedzi przed telewizorem i ogląda z nim mecze piłkarskie.

– A ty taki nie jesteś.

– Chciał, żebym taki był. Zastanawiałem się czasami, czy to przypadkiem nie część jakiejś fasady, gry pozorów, w której uśmiechnięta żona co wieczór stawia przed nim kolację na stole, córka niesie piwo z piwnicy, a on razem z synem ogląda w telewizji mecz Manchester United.

Przypomniał sobie, jak często kłócił się z ojcem. Słowne pojedynki, których już niemal nie pamiętał. Zamknął oczy, odpychał od siebie ich wspomnienie.

– Wiesz, niełatwo ująć w słowa, dlaczego właściwie uciekłem. Nie chodziło tylko o matkę. I nie tylko o ojca. Mieszkałem w świecie, w którym nie było dla mnie miejsca.

– A panna Trodwood?

– Pokazała mi, że swoje miejsce trzeba odnaleźć.
– O rodzicach mówisz jak o nieznajomych, a o panie Trodwood jak o matce.

– Zabawne, co? – Co innego mógł powiedzieć?
– Oboje znaleźliście to, czego wam brakowało. Ładnie tu – stwierdziła. Ścisnęła jego dłoń. – Tak swojsko.

David czuł, jak jej szczupłe palce splatają się z jego palcami. I uświadomił sobie, że ten parząco zimny dotyk stanowi w jego odczuciu taką samą część Heaven, jak zapach cynamonu i cytryny.

– Świat jest dziwny – mruknął.
Westchnęła.
– A przecież nie rozumiemy nawet samych siebie.
Odwrócił się do niej.
– To, co przeżyliśmy na cmentarzu Highgate... Twoje urodziny... – Nie dokończył.

Zrobiła to Heaven:
– Zdarzyło się.
– Ja...
Położyła lodowaty palec na jego ustach.
– David, nie chcę o tym rozmawiać – poprosiła.
– Dobrze.
Pokręciła głową.
– Nie, wcale nie. Powinniśmy o tym rozmawiać. Ale nie mogę. Nie teraz. Boję się. Wszystkiego. Szczególnie tej sprawy z sercem. Nie wiem, co robić. Porozmawiamy o tym jutro, dobrze? Jutro o tym pomyślimy. – Zamknęła oczy, jej powieki zatrzepotały niespokojnie w mdłym świetle. – Źle się czuję, David. Co prawda na zimnie mi lepiej, ale nie jest dobrze. A sytuacji nie poprawia świadomość, że tajemniczy ktoś prawdopodobnie nasyła na mnie kolejnego zbira.
– Uśmiechnęła się smutno i spojrzała na niego. – Co za beznadziejna sytuacja.

Objął ją ramieniem.
– Kiedy byliśmy mali, opowiadałem siostrze bajki na dobranoc. – Gdy patrzył jej w oczy, zimno w pokoju nie doskwierało mu tak bardzo. – Mówiła pierwsze zdanie, a ja wymyślałem resztę historii.

– Opowiedz mi.
– Co?
– To, co opowiadałeś siostrze.
– To nie tak. Wymyśl mi pierwsze zdanie.
Niedługo się zastanawiała.
– Była sobie kiedyś pewna dziewczyna, która mieszkała na barce.
– To jest pierwsze zdanie?

Skinęła głową.

– Brzmi niezłe, co?

– Tak.

– Masz już historię?

Przyciągnął ją do siebie.

– Tak, mam już historię. – I zaczął opowiadać. Historia, która przychodziła mu tak łatwo, jakby od dawna czekała na tę chwilę, zaczęła się w ponury ostatni dzień roku, wysoko na dachach wielkiego miasta. Była to opowieść o księżniczce z odległej krainy, która przybyła statkiem do tego zimnego świata, o pięknej dziewczynie, której serce skradł złodziej, a w jego poszukiwaniach pomagał jej żebrak. Mieli wiele przygód... opowiadał i opowiadał, aż Heaven w końcu zasnęła.

Przestał mówić i patrzył na nią, jak spała. Zastanawiał się, czym skończy się ta historia, bo nie znał jej zakończenia (nie znał go nigdy, gdy zaczynał snuć swoje baśnie, ale czy ktoś naprawdę wie, jak się kończą?). Ponieważ jednak zasnęła, nie musiał się dłużej nad tym głowić.

Po prostu leżał przy niej, obserwował ją i usiłował o niczym nie myśleć. Mimo otaczającego go zimna czuł przyjemne ciepło.

Śniąc, Heaven lekko marszczyła czoło, chwilami też nos. Co jakiś czas jej dłoń na kołdrze poruszała się niespokojnie. Jej oddech był zimny jak nocne powietrze na dworze i przyprowadził Davida o dreszcz. Nie miał pojęcia, jak długo się jej przyglądał, ale w pewnym momencie opadły mu powieki. Śnił o lodowych kwiatach i rytmicznym biciu serca. W głębi duszy coś mu mówiło, że ten sen nie opuści go aż do świtu.

ROZDZIAŁ 12

PAPLANINA

Uliczny rozgardiasz obudził go, zanim słońce na dobre wzeszło, ale Heaven spała dalej. Wstał i poszedł do łazienki. Spojrzał na swoje odbicie i przywitał się słowami:

– Wyglądasz tak, jak ja się czuję.

Odbicie odpowiedziało tęym spojrzeniem. Był blady jak duch, włosy sterczały mu na wszystkie strony, miał cienie pod oczami.

Włożył sweter, dzinsy i trampki i przez otwarte okno wyszedł na dach.

Od razu poczuł się lepiej.

Ze wszystkich stron z kominów unosił się dym. Na horyzoncie wschodziło słońce, gdzieś daleko, tam gdzie było o wiele cieplej niż tutaj. Oświetlało chmury, wypełniało świat kolorami.

David wspiął się na swoje ulubione miejsce obok komina. Dwa dachy dalej zobaczył kominiarza. Pomachał do niego.

Ziewnął. To była krótka noc. Przypomniawszy sobie Heaven skuloną w kłębek na łóżku.

Błądził wzrokiem po dachach Londynu. Czuł, że gdzieś tam, w nieprzeniknionym labiryncie ulic, znowu szuka ich mężczyzna, znany w każdej dzielnicy pod innym nazwiskiem. Nie wierzył, że szczurokoty w krypcie go ukatrupiły. Facet był niezniszczalny.

Miał widok prawie do rzeki. W powietrzu unosiły się nieliczne płatki śniegu. Niosły ze sobą słońce; odrobiny światła w bezsensownym świetle.

David, znużony, przetarł oczy. Szkoda, że nie zabrał ze sobą kawy tu na dach, ale nie chciał hałasować. Gdyby zszedł do księgarni, zapewne napatoczyłby się na pannę Trodwood, która wciągnęłaby go w rozmowę. A na to zdobędzie się dopiero po kawie.

I tak siedział na dachu, tęsknił za kawą i cieszył się, że uniknął rozmowy.

A Heaven?

Nie miał pojęcia, jak jej pomóc. W nocy często drżała. Z lękiem dotknął miejsca, w którym powinno być serce. Nic, żadnego rytmu, żadnego pulsu. Czuł tylko zimno, wyczuwalne nawet przez materiał czarnej koszulki, którą miał od lat. Trzymał dłoń na jej ciele, wsłuchany w oddech Heaven, ale ona niczego nie zauważyła. Chwilami jej powieki drżały, jakby ukryte pod nimi tajemnice chciały się uwolnić. Spała niespokojnie, nie wiedział jednak, czy z powodu snów. Uspokoila się dopiero nad ranem. Czasami mamrotała coś przez sen, niewyraźnie,

niezrozumiale.

Lodowate zimno panujące w pokoju wcale mu nie przeszkadzało, bo czuł się świetnie. Kiedy nocował u Kelly, spał w ciepłym pokoju, ale i tak było mu zimno.

Przypomniały mu się nowoczesne meble i geometryczne obrazy, które tak bardzo lubiła.

– David?

Odwrócił się gwałtownie.

Heaven stała za nim. Miała na sobie zieloną kurtkę, którą naciągnęła na koszulkę, i jego spodnie, za duże na nią. Nogawki trzepotały wokół nóg, odsłaniając nagie kostki wystające z rozwiązanych trampek, które chyba znalazła pod łóżkiem.

– Dobrze spałaś?

– Obudziłam się, kiedy spałeś.

Poczuł się przyłapany na gorącym uczynku.

– I zasnęłam znowu, przed świtem.

– Mówiłem coś przez sen?

– Zgrzytałeś zębami.

– Och.

Uśmiechnęła się.

– I owszem, mówiłeś coś, ale to nie były słowa, tylko taka... paplanina.

– Usiadła koło niego. – Nie sądziłam, że taki z ciebie papla.

Teraz on się uśmiechnął.

– Ja też nie.

Dotykali się ramionami, jej włosy muskały jego szyję, łaskotały skórę. Listopadowe słońce było słabe, a jednak wydawało mu się, że topi płatki śniegu.

– Londyn jest piękny – powiedziała Heaven cicho. Błądziła wzrokiem po dachach.

– Tu, na górze, czasami panuje cisza. Przeważnie rano, kiedy ulice są puste. Odgłosy docierają przytłumione, jakby bały się wchodzić tak wysoko.

Objęła kolana ramionami.

– Często tu przychodzisz?

– Czasami. Dobrze jest pobyć samemu.

– Teraz też?

Zaprzeczył.

– Nie, teraz nie. – Posłał jej uśmiech.

– Jak sobie wyobrażałeś swoje życie, gdy wyjeżdżałeś z Cardiff? – zapytała otwarcie.

– Lepiej. – Ta szybka odpowiedź zaskoczyła nawet jego.

– Piękniej?

– A to nie to samo?

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem.

– Chciałem być wolny. – Szukał w głowie wyjaśnienia. – Chciałem żyć.

– Zerknął na nią z ukosa. – Nie wiem sam, czego się spodziewałem. – Pokręcił głową. – Naiwne, co?

– Wierzyłeś, że szczęście samo cię znajdzie, że nie będziesz musiał go szukać.

– Czy tak właśnie nie było? – mruknął pod nosem i zaraz miał do siebie żal, że nie trzymał języka za zębami.

Speszona zwiesiła głowę.

– W zeszłym roku, w lecie, kogoś poznałam. – Mówiła powoli, jej oddech unosił się mleczną chmurką przed jej twarzą. – Choć to właściwie bez znaczenia. Zaczepił mnie w klubie. – Roześmiała się odrobinę za głośno. – Wiedziałam, że to dupek, ale w tamtej chwili mnie to nie obchodziło. Przez chwilę łudziłam się, że w końcu znalazłam szczęście. Przez kilka dni kogoś miałam. – Wzruszyła ramionami. – A potem było po wszystkim. – Machnęła ręką. – Skończyło się, zanim naprawdę się zaczęło. Żadna tragedia.

David obserwował kruka, który na sąsiednim dachu szukał pożywienia w rynnie. Jednym potężnym ruchem skrzydeł wzbił się w powietrze i odleciał w stronę Charing Cross.

– Dlaczego mi to opowiadasz? – zapytał.

Milczała i po chwili, niezbyt dłużej, ale i nie krótkiej, odpowiedziała:

– Bo ty mi opowiedziałeś o opiekunce społecznej.

– Wspomniałem tylko, że nie ma dla mnie znaczenia.

Skinęła głową, wpatrzona w chmury nad miejskimi dachami.

– Tylko widzisz, ja...

– Tak?

– To mi nie dawało spokoju.

– Że o niej wspomniałem?

– Że w ogóle była.

Czuł, jak każde słowo trafia go w serce.

Heaven wstała, spojrzała na niego i z odrobiną złośliwości mruknęła:

– Może i tobie choć trochę przeszkadza, że w zeszłym roku poznałam tego chłopaka. – Jej włosy tańczyły na wietrze.

David otwierał i zamykał usta. Nie, w tej chwili lepiej nic nie mówić. Czuł, że tak będzie lepiej.

Heaven cały czas patrzyła mu w oczy i w końcu powiedziała:

– Jak w tej twojej książce. *Wielkie nadzieje*.

– Jak to?

– Wszyscy wiążemy z życiem wielkie nadzieje. A można po prostu żyć.

– Uśmiechnęła się z wahaniem i mrugnęła do niego. Przeciągnęła się. – Co powiesz na śniadanie, zanim otworzymy księgarnię?

– Dobrze. – Wstał. – A potem zaczniemy szukać odpowiedzi na te wszystkie pytania.

Ułamki sekund zlewały się w coś nowego, krystalicznego, pięknego.

Jednak żadne z nich nie wiedziało, czy to już ta chwila, która wszystko zmieni. A ponieważ tego nie wiedzieli, zesli z dachu do mieszkańka, nieświadomi, że śmierć, gdy podchwyci trop, zakrada się jak zwierzę, niepostrzeżenie.

ROZDZIAŁ 13

MARTWI ZŁODZIEJE SERC

Szybko zjedli śniadanie i zeszli do księgarni. David poprosił o wolny dzień. Oczywiście panna Trodwood nie darowała sobie okazji, by wygłosić kazanie na temat jego lekkomyślności i grożących mu niebezpieczeństw. Potem ustąpiła i David z Heaven wyszli razem z antykwariatu. Kierowali się na pobliską Old Compton Street, konkretnie do kafejki internetowej Doctorow Coffee & Internet Base.

David nie chciał zabierać Heaven do Mike'a. Należeli do innych światów i wolał, żeby tak zostało.

Patrzył w obojętne twarze przechodniów. Po raz kolejny zauważył, że większość mieszkańców jest w złym humorze, jakby to była cecha tego miasta. A przecież nie jadą metrem.

Heaven obserwowała go.

– Jesteś bardzo czujny.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparł.

– Myślisz, że ten w rękawiczkach jeszcze żyje?

– Wspominał coś o zleceniodawcy. – Ze wszystkiego, co mówił mężczyzna o wielu nazwiskach, to przerażało Davida najbardziej. – I nawet jeśli Scrooge, czy jak się tam nazywał, zszedł ze sceny, są na pewno inni, który dokończą jego zadanie. Sama to wczoraj powiedziałaś. – Niespokojnie błądził wzrokiem po Shaftesbury Avenue. – Nie mam pewności, czy jesteśmy bezpieczni.

Przeszli przez ruchliwą ulicę, nad którą spaliny unosiły się jak wyzwolone duchy. Były to delikatne, niemal niewidoczne smugi.

Magia ma wiele twarzy, przemknęło Davidowi przez głowę.

– Co z tobą?

Wzruszyła ramionami, ale widział, jak bardzo jest spięta. Zdradzały to oczy, wielkie, szeroko otwarte. Mrugała niespokojnie, co chwila zerknęła na ziemię i zaraz znowu podnosiła wzrok.

– Boję się.

Zatrzymał się, spojrzał na nią z niepokojem.

– Czuję się taka... pusta. – Przewróciła oczami, westchnęła zrezygnowana. – Do cholery, nie wiem też, co się ze mną dzieje, to wszystko jest jakieś takie... Nierealne, wiesz, o co mi chodzi? To wszystko. – Dotknęła dłonią piersi. – Jakby to się miało zaraz skończyć.

Zmarszczył czoło.

– Więc porozmawiajmy o tym, czego się wczoraj dowiedzieliśmy.

Skrzywiła się.

– Jeśli musimy – mruknęła i krzywo się uśmiechnęła. Odpowiedział tym samym.

– Musimy.

Skinęła głową.

– Wiem. – Białe listopadowe słońce nadawało jej oliwkowej cerze złoty odcień, ale oczy wydawały się ciemniejsze niż kiedykolwiek.

David ruszył z miejsca. Przypomniał sobie rozmowę ze zjawą kobiety na cmentarzu.

– Zaczniemy od tego, co się stało z twoją matką – zaproponował.

– Nie żyje. Na sto procent.

Rozumiał jej gniew i poczucie, że przez całe życie ją oszukiwano, ale nie mogli dłużej udawać, że o niczym nie wiedzą. Zwłaszcza jeśli ta wiedza mogła okazać się przydatna.

– Nie było zwłok – zauważył ostrożnie. – Zniknęła bez śladu. Po śmierci.

– Za życia fascynowało ją niebo – szepnęła Heaven.

David głośno zaczerpnął tchu.

– Wiesz, co się stało w dniu twoich urodzin, prawda?

Heaven jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

– A jak myślisz? – I znowu umilkła.

– Heaven? – Nie dawał za wygraną.

– W mojej podstawówce tylko pletli bzdury – powiedziała w końcu. – Ojciec zachował książki matki i gdy nauczyłam się czytać, pochłonęłam wszystkie. Prima Freema, gwiazdna balerina, tak mnie nazywali.

David nie mógł się nie roześmiać.

– Dzieciaki, ach te dzieciaki. Co za fantazja.

Heaven też się uśmiechnęła.

– Po raz pierwszy obejrzelśmy film o dwudziestym piątym listopada w trzeciej klasie – ciągnęła. – Pani Armagedon, jak nazywaliśmy nauczycielkę przyrody, wpadła oczywiście na genialny pomysł, żeby wszystkim powiedzieć, że urodziłam się właśnie tego dnia.

David skinął głową. On także pamiętał ten film, pokazywany we wszystkich angielskich szkołach, przedstawiający fenomen brakującego nieba. Bo tamtego 25 listopada puste niebo nad Londynem zmieniło się po raz kolejny; dwa lata po tym, jak zjawiała się kometa. Niezliczone teleskopy, kamery i satelity, wiecznie wpatrzone w firmament, skrupulatnie uwieczniły ten moment. Kawałek nieba wrócił na miejsce, nagle, niezapowiedzianie, mały skrawek nad Kensington. Nikt nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Po prostu stało się i pustka nad miastem nie była już taka przygnębiająca.

Odkąd Sarah Jane opowiedziała im o zniknięciu matki Heaven, jedna myśl nie dawała Davidowi spokoju, ale za każdym razem odpychał ją od siebie, bo uważał, że to nieodpowiednia chwila na takie pytanie. Ani wczoraj w pokoju, ani dzisiaj rano, na dachu.

Ale na wszystko przychodzi czas i teraz poczuł, że to odpowiedni moment, tu, na Cambridge Circus, z którego skręcili w Greek Street.

– Heaven, o której się urodziłaś? – zapytał.

Spojrzała na niego. Opuściła wzrok. Znów spojrzała. Ponownie wbiła wzrok w ziemię. Zrozumiał, że ona także odpycha od siebie tę myśl.

– Nie wiem dokładnie – szepnęła.

– Musimy się tego dowiedzieć – powiedział zdecydowanie. – Musimy kogoś zapytać, może pan Mickey będzie wiedział albo twój opiekun...

Heaven pokręciła głową.

– Nie – rzuciła. – Wiesz, gdzie można znaleźć akt urodzenia?

David zacisnął zęby. Rozejrzał się dookoła. Na kolejnym rogu była budka telefoniczna.

– To nie może być takie trudne – mruknął i pociągnął Heaven za sobą. Wrzucił kilka monet, połączył się z centralą, poprosił o numer do urzędu miasta. – Proszę. – Podał jej słuchawkę. – W urzędzie miasta na pewno wiedzą.

Heaven mówiła powoli, co jakiś czas przewracała oczami. Zasłoniła słuchawkę dłonią.

– To może potrwać – szepnęła.

David dwukrotnie wrzucał monety i powoli tracił nadzieję, że uda im się cokolwiek ustalić. Chyba jednak będą musieli pofatygować się tam osobiście.

Nagle w jej oczach pojawiła się twardość.

– Heaven?

Nie zareagowała.

David wyjął jej słuchawkę z dłoni, odwiesił, złapał ją za ramiona. Wyglądała, jakby nie mogła oddychać, a przecież otaczało ich lodowate powietrze.

– Co ci powiedzieli?

Zatoczyła się na niego. Przytulił ją do siebie.

– Urodziłam się o trzeciej dwadzieścia dwie nad ranem – szepnęła.

Powoli skinął głową. O 3.22 nad Kensington wrócił kawałek firmamentu.

Nad wejściem jaśniał jadowicie zielony neon z napisem Doctorow Coffee & Internet Base.

Dawniej w tym budynku mieściło się małe kino. Front przywodził na myśl stare kinoteatry, takie, jakie wiekowi londyńczycy pamiętali z filmów wytwórni Hallmark, z filmów pokazywanych podczas wojny i w ciężkich latach powojennych.

Do środka prowadziły drzwi obrotowe. Powitał ich zapach przeszłości:

papierosów, prażonej kukurydzy, karmelu.

Na ścianach wisiały plakaty starych filmów: *Jak zabić starszą panią*, *Szlachectwo zobowiązuje*, *Twarz kobiety*, *39 kroków*, *Starsza pani znika*.

Obok staroświeckiej budki, w której dawniej sprzedawano bilety, dzisiaj wisiał plakat reklamujący aktualne wydarzenie kulturalne – Digital Dreams. Ze zdjęć spoglądali Alfred Hitchcock i Alec Guinness, Robert Donat i Madelaine Carroll, John Gielgud i Peter Lorre. Między fotografiami widniały kadry ze współczesnych filmów: *Matrix*, *Tron*, *Strażnicy*, *Rise of the Cyberking*, *Little Brother*.

– Zawsze mają tu jakieś instalacje artystyczne – wyjaśnił David. – Na ogół dość dziwaczne.

– Często tu przychodzisz?

– Nie, w sumie nie. Przechodzę, oglądam plakaty, i tyle.

Właściwa kafejka znajdowała się w dawnej sali kinowej. Zostały nawet rzędy foteli, usunięto ich tylko tyle, by zrobić miejsce na okrągłe stoliki. Na wielu z nich stały kolorowe monitory, migające w mdłym świetle żarówek.

Na ekranie pokazywano ostatnią instalację, szalony zlepek obrazów, mieszaninę scen ze starych i nowych filmów; fragmenty czarno-białych klasyków zestawione z sekwencjami z nowoczesnych superprodukcji, dziejących się w innych światach i w internecie. Joan Barry i Keanu Reeves, Cary Grant wpatrzony w walczące w powietrzu postacie w skórach i winylu. Ten kobierzec scen eksplodował kolorami, rozpędzone pojazdy z *Tronu* zlewały się ze scenami z *Sabotażu*.

Towarzyszająca obrazom muzyka nie pochodziła z tych samych filmów, które rozbłyskały na ekranie jak negatywy dawno zapomnianych snów.

Nie, tłem dla szaleństwa na ekranie była muzyka klasyczna i stare przeboje w wykonaniu Nancy Sinatry, Petuli Clark i Beatlesów.

– Podoba ci się? – zapytał David.

– Nie wiem jeszcze. – Uśmiechnęła się z wahaniem.

Davidowi przypomniała się *Ucieczka do XXII wieku*, ale zaraz odepchnął tę myśl od siebie.

Heaven szła przodem. Ruszył za nią.

Zajęli stolik w przedniej części sali, blisko ekranu, właściwie tuż przed nim.

O tej porze kafejka świeciła pustkami. Ot, kilku studentów, którzy mają czas do pierwszych zajęć, i paru urzędników, którzy zabijali czas, zanim wejdą do biur. Większość i tak miała ze sobą własne laptopy i nie widziała świata poza tym, nad czym akurat pracowali.

Nikt nie zwracał uwagi na obrazy na ekranie. Muzyka była jak cudownie miękki kobierzec, na którym można odlecieć do dowolnego świata.

– Na dwa komputery? – zapytał.

Heaven tylko skinęła głową. Rozglądała się ciekawie, obserwowała innych gości.

– Za ciepło tu, tak? – David zmarszczył czoło.

– Za jakiś czas wyjdę na dwór – uspokoiła go. – Nie denerwuj się, kiedy na chwilę zniknę. Wrócę.

Na kontuarze stał ekspres z kawą, imbryk herbaty i ciasteczka. Samoobsługa.

David usiadł przy komputerze. Heaven zajęła miejsce za nim, przy sąsiednim stoliku. Przyniósł sobie earl greya, a jej herbatę o nazwie Katalonia. A potem rzucili się w odmęty wirtualnego świata.

David wpisał kilka haseł – morderstwo, Londyn, serce – i czekał, co wypluje z siebie wyszukiwarka. Po sekundzie zobaczył linki do tysięcy stron, w których występowały te słowa. Wyprostował się i metodycznie sprawdzał każdy odsyłacz.

Dobrze. Zaczęło się polowanie.

Zawęził obszar poszukiwań, trafiał na nowe tropy. Wpisał w wyszukiwarkę jeden rok, potem drugi, co chwila zmieniał kryteria wyszukiwania, a liczba wyników malała, rosła, malała. I tak w kółko.

Upił łyk herbaty.

Heaven także intensywnie wpatrywała się w ekran. Jej dłonie tańczyły nad klawiaturą. Szeroko otwarte oczy jak łasice mknęły po linijkach tekstu i fotografiach, jakby za wszelką cenę chciały dowiedzieć się tego, co nie dawało jej spokoju.

David wziął się w garść, gdy dotarło do niego, że od nie wiadomo jak dawna tylko się na nią gapi. Wędrował w wirtualnej przestrzeni przez fora detektywów amatorów i strony poświęcone niewyjaśnionym tajemnicom. W końcu trafił na, jak miał nadzieję, obiecujący ślad. Pisał coś szybko i z wypiekami na twarzy chłonał nowe informacje.

Dopiero wtedy zauważył, że Heaven oddycha coraz ciężiej. Sapała cicho, co chwila przecierała oczy, gorączkowo chwytła powietrze ustami. Jednym haustem dopiła herbatę. Przesunęła myszkę na skraj stołu, dotknęła klawisza Backspace.

– Wszystko w porządku? – Niepotrzebnie o to pytał.

Zaprzeczyła.

– Muszę na chwilę wyjść – szepnęła. Miała szklisty wzrok. – Zaraz wracam – dodała. Wstając, położyła mu rękę na ramieniu, musiała się go przytrzymać. Na chwilę przymknęła oczy, odetchnęła i ruszyła do drzwi.

Widział, jak przeszła koło kontuaru i wzięła plik kartek. Wydrukowała coś, żeby przeczytać na świeżym powietrzu.

Odprowadzał ją zatroskanym wzrokiem, aż znikła mu z oczu. Dopiero wtedy ponownie skoncentrował się na monitorze.

Z Heaven jest w porządku. Mniej więcej. Ale nie mają czasu do stracenia.

Wkrótce to, co czytał, pochłonęło go tak bardzo, że nagle wydawało mu się,

iż zablądził w mrocznym lesie danych. Odbił od głównej drogi, szedł wąskimi ścieżkami, coraz bardziej zagłębiał się w mrok. Nie wiedział, dokąd zaprowadzi go ten trop.

Ale trafił na coś ważnego. Zmrużył oczy, przebiegając tekst wzrokiem. Czuł, jak z wrażenia coś ściska go za gardło, jak serce bije coraz szybciej, aż zakręciło mu się w głowie.

Czy to możliwe?

Podążał nowym tropem, dochodził do miejsc, w których trafiał na makabryczne fotografie okrutnych zbrodni, krwi i wycinanych serc i opisy ograniczające się do kilku słów.

Wróciła Heaven z plikiem kartek. Usiadła przy swoim komputerze. Zerknęła na niego.

– Tu naprawdę jest bardzo gorąco – zauważył.

– Dam radę – mruknęła. – Już dobrze. – A potem wpisała coś w wyszukiwarkę i nerwowo przeglądała wyniki na ekranie. Mniej więcej po dziesięciu minutach znowu wyszła na dwór z nowym plikiem kartek, wróciła, szukała dalej, sączyła herbatę, poprawiała włosy, w napięciu wpatrywała się w ekran. Była podekscytowana jak ktoś, kto jest na tropie skarbu.

Na ekranie eksplodowały sceny walki, wojownicy dosłownie fruwali w powietrzu, przekształcali się w biało-czarnych bohaterów w garniturach i kapeluszach, którzy rozwiązywali tajemnice dzięki wdziękowi i logice, a to wszystko na oczach milczącego Petera Lorre'a, przy akompaniamencie *Million Miles* Rory'ego Gallaghery w tle. Jak wygłodniałe skrawki cudzych snów, fragmenty filmów atakowały gości kafejki.

David nie zwracał na to uwagi. Zatracił się w opowieściach na ekranie komputera. Zdjęcia tylko potęgowały jego niepokój.

W końcu podniósł głowę, przetarł oczy, odetchnął głęboko. Heaven akurat wróciła do stolika, na którym rósł plik kartek.

– Chodź, coś ci pokażę. – Wiedział już dosyć. W każdym razie dosyć, by wyciągnąć pewne wnioski. Dosyć, by nie zatrzymywać ich dla siebie.

Stała za nim, pochyliła się nad jego ramieniem. Poczul na szyi jej oddech. W tej chwili nawet jemu przeszkadzało ciepłe powietrze.

– Szukałem wydarzeń podobnych do tego, co nas spotkało – zaczął. – Tu, w Londynie.

– I?

– Popatrz. – Otworzył pierwszą stronę, na którą trafił. Drobnny druk i niewyraźne, ziarniste zdjęcie z gazety sprzed lat, na dodatek digitalizacja została kiepsko wykonana. – Siedem lat temu koło Trinity Church Square znaleziono zwłoki dwudziestopięcioletniego mężczyzny, pracownika Urzędu Skarbowego. Zakrwawione ciało leżało koło śmietników niedaleko kamienicy czynszowej. Ze

zwłok wycięto serce... z chirurgiczną precyzją. Pozostałe narządy były na swoim miejscu.

Heaven pobladła. Jak zafascynowana wpatrywała się w fotografię, na której, poza śmietnikiem i typowym miejskim budynkiem, nie było niczego widać.

– Zacząłem szukać podobnych spraw i trafiłem na więcej takich przypadków.

Wymieniał wydania internetowe gazet: „Herald Tribune”, „Sun”, „Esquire Magazine”, „Times” i tak dalej. Kiedy mówił, jednocześnie otwierał kolejne linki i ich oczom ukazywały się zdjęcia i artykuły, nagłówki z gazet, tytuły reportaży, obiecujące sensację, sugerujące więcej, niż było w samym tekście.

– Zdarzało się to dosyć często i zawsze tylko w Londynie – ciągnął. – Po raz pierwszy na Valentine Plaza, na South Bank. Ponad dwadzieścia lat temu. – Podał dokładną datę.

– Mniej więcej w tym czasie poznali się moi rodzice – mruknęła Heaven niespokojnie.

David spojrział na nią i skinął głową.

– Pracownica firmy doradczej zeszła do archiwum znajdującego się w piwnicy – kontynuował. – Kiedy przez dłuższy czas nie wracała do biurka, zaczęto jej szukać. Stażysta, który w końcu znalazł jej zwłoki, trafił do szpitala w szoku. Ktoś wyciął jej serce z piersi. Wszystkie dokumenty były umazane krwią. Policja nie miała pojęcia, kto to zrobił. Zabezpieczone ślady sugerowały rozpaczliwy opór ofiary i brutalną bezwzględność mordercy. – Wszedł na stronę, na której można było przeczytać cały artykuł. – A tutaj, trzy lata później... – Pokazał plan ulic na ekranie. – Do studentki zadzwonił jej chłopak. Powiedziała współlokatorce, że idzie na spotkanie, że umówili się w kafejce za rogiem. – Skrzywił się znacząco. – To właściwie ta sama historia. – Chwila ciszy. – Po pewnym czasie do drzwi zadzwonił chłopak studentki. Nie przyszła na randkę. W końcu ją znaleźli – martwą, na podwórku kamienicy. Ktoś wyciął jej serce i cisnął zwłoki do śmietnika. Także i w tym wypadku nie zabezpieczono żadnych istotnych śladów. Wiadomo jedynie, że morderca wyciął serce z chirurgiczną precyzją. A zatem musi znać się na anatomii.

– Lekarz?

– A wyobrażasz sobie Scrooge’a w *Oстрым dyżurze*?

– Prędzej jako zbira z *Torchwood*.

– No właśnie.

Niespokojnym wzrokiem przebiegła ekran.

– Za każdym razem wykluczono handel organami, bo morderca zabrał tylko serce, pozostałych narządów nie tknięto. Scotland Yard nie wykluczał seryjnego mordercy, ale zawsze trop się urywał, bo przez dłuższy czas nie dochodziło do kolejnej zbrodni.

– To straszne. – Położyła mu dłoń na ramieniu. Drżała.

– Kolejna sprawa – ciągnął. – Niespełna sześćdziesięcioletni wykładowca ze szkoły biznesu poszedł pobiegać w przerwie na lunch i zniknął. Znaleźli go w Haggerston Park. Morderca nawet nie zadał sobie trudu, żeby ukryć zwłoki. Leżały pośrodku łąki, na widoku. Jemu także wycięto tylko serce, jak pozostałym.

– Myślisz, że to był ten sam zabójca?

– Poczekaj, będzie jeszcze lepiej. – David opowiedział o kolejnej zbrodni, którą popełniono trzy lata później. – W Rotherhithe Tamiza wyrzuciła na brzeg zwłoki wędkarza. Bez serca. – Szukał artykułu na ten temat. Na zdjęciu widzieli brzeg rzeki, odgradzony plastikową taśmą, za którą tłoczyli się dziennikarze.

Heaven uniosła rękę do ust. Nie chciała patrzeć na to, czego nawet nie mogła sobie wyobrazić.

– W St. Crispin Close, koło dworca, znaleziono zwłoki pary. Jej poderżnięto gardło, jemu wycięto serce. Leżeli w bramie. – Odwrócił się do Heaven. – Do tych zbrodni dochodzi regularnie co trzy, cztery, pięć lat. Zaczęło się ponad dwadzieścia lat temu. Gazety o tym piszą, ale do tej pory nikt nie dostrzega związku. Z jakiegoś powodu w mediach niewiele było o tych sprawach.

– Jakież inne podobieństwa?

– Tylko serce – odparł zwięźle. – Każdej z ofiar z chirurgiczną precyzją wycięto serce. Morderca porzuca zwłoki. – Westchnął. – To jedyny wspólny element. Ofiary były w różnym wieku, pochodziły z różnych klas społecznych, wykonywały różne zawody.

– Ale czemu ktoś to robi?

– Tego nie wiem. Ale znalazłem też artykuł o dziwnych zajściach w Bankston Gardens. Trafiłem na niego dzięki datom poszczególnych mordów. – Pokręcił głową. – W pierwszej chwili myślałem, że się mylę, ale to wszystko nagle układa się w logiczną całość.

Kliknął link, o który mu chodziło.

Heaven czytała.

Milczała.

W końcu zapytała zbита z tropu:

– Bezczeszczenie cmentarzy?

David szybko skinął głową.

– Pamiętasz, co mówiła Sarah Jane? O facecie w rękawiczkach? Że jest porywaczem ciał? – Kliknął kolejne linki. Była to strona poświęcona miejskim legendom, jego jednak interesowała tylko jedna z nich. – Na różnych londyńskich cmentarzach dochodziło w ostatnim czasie do aktów wandalizmu. Jednak przypadki, o które mi chodzi, są naprawdę dziwne.

Heaven przysunęła sobie krzesło do sąsiedniego stolika i usiadła.

– Nie chodzi o imprezy przy pełni księżyca czy polowania na wampiry, nie,

to coś zupełnie innego. – Powiększył artykuł, tak że Heaven wyraźnie widziała nagłówek: *Powrót porywaczy ciała?*

W XIX wieku handel zwłokami stanowił dochodowy interes na ulicach, uliczkach i w zaułkach Londynu. Zawodowi porywacze ciała wykradali świeże zwłoki z grobów i sprzedawali szpitalom i lekarzom, którzy na nich ćwiczyli swoje umiejętności. Naukowcy dobrze płacili za świeżego nieboszczyka, a to oznaczało, że nieraz porywano i sprzedawano nawet żywych.

– Ktoś wykradał zwłoki z grobów – wyjaśnił. – Co kilka lat.

– W naszych czasach?

– Ciała wykopywano i przepadały bez śladu. Za każdym razem chodziło o niedawno zmarłe osoby. Zwłoki znikwały z grobów, po czym znajdowano je w zupełnie innej części miasta.

– Jak to: znajdowano je?

– Po prostu. Leżały na ulicy, jakby je wykorzystano i porzucono. Jakby same tam dotarły i nagle straciły całą energię.

– Niech zgadnę – mruknęła. – W tym samym czasie dochodziło do tych morderstw, tak?

– Daty pokrywają się w stu procentach. To przerażające.

– Ale przecież...

Skinął głową.

– A jednak. Ilekroć komuś wycięto serce, dochodziło wcześniej do zbezczeszczenia cmentarza. Mniej więcej dzień później znajdowano wykradzione zwłoki.

– Cholera! – syknęła.

– No właśnie, cholera. Pamiętasz łachmaniarza? To, jak śmierdział? Że już nie wspomnę o tym, co zrobiła z nim Sarah Jane.

Heaven dyszała ciężko.

– Muszę wyjść – szepnęła. – Chodźmy stąd, proszę.

David zerwał się z miejsca, cisnął na stół kilka banknotów i podtrzymał ją, gdy szli do drzwi. Za ich plecami rozgrywała się kluczowa scena z filmu *Człowiek, który wiedział za dużo*, a w tle grał zespół Dresden Dolls.

Co za dużo, to niezdrowo.

Powietrze było lodowate. Nad ulicami tańczyły płatki śniegu. David nie zwracał na nie uwagi, musieli się jeszcze tyle dowiedzieć. Martwiło go to.

– Przejdźmy się – zaproponowała Heaven.

– W którą stronę?

– Nieważne.

Poszli na zachód.

– Ja też się czegoś dowiedziałam – zaczęła.

David wbił ręce w kieszenie. Do tej pory nie rozmawiali o tym, co ustaliła

w urzędzie miasta, wiedział jednak, że w internecie szukała właśnie tego.

– Czego szukałaś? – zapytał.

– Ludzi, którzy po śmierci znikają bez śladu. Dziur w niebie. Zaginionych serc.

– I? – Spojrzał na drobną postać w czerni u swego boku. W jej ciemnych włosach jaśniały płatki śniegu. Nie topniały, lśniły jak małe gwiazdy.

Wzruszyła ramionami.

– A jak myślisz, na co trafiłam, wpisując w wyszukiwarkę takie hasła?

– Bajki – domyślił się.

– Bingo – mruknęła.

– Jak to?

– Tak to. Opowieść została spisana, problem w tym, że zaginęła bez śladu, jak moje serce.

– Czy wyjdę na durnia, jeśli przyznam, że nic z tego nie rozumiem?

– zapytał, unosząc brew.

Roześmiała się.

– Owszem, ale i tak ci opowiem. – Znowu spoważniała. – Na samym początku natknęłam się na nazwisko, które co chwila wracało, przeważnie tylko w notatkach na marginesie, ale powtarzało się na wielu stronach. Często też wspomniano książkę poświęconą właśnie temu zagadnieniu. Jej autorem był niejaki hrabia Rochester. Tytuł brzmi: *Serce upadłego elfa*.

David przyglądał się jej ze zdumieniem.

– Do tej pory słyszałem tylko o upadłych aniołach, o elfach nigdy.

– Ja też nie.

– I o czym jest ta książka? To baśń?

– I tu pojawia się problem. Nigdzie nie można jej znaleźć.

David zmarszczył czoło. Odkąd poznał pannę Trodwood, wiedział, że książki nie znikają. Po prostu trzeba umieć ich szukać.

– Gdzieś na pewno zachował się jakiś egzemplarz.

Energicznie pokręciła głową.

– Nie wiadomo dokładnie, kiedy w ogóle się ukazała. Nie ma jej w ofercie żadna księgarnia ani antykwariat internetowy. Znalazłam ją jedynie w katalogu British Library. – Jej oczy rozbłysły. – Przed wielu laty mieli ją w swoich zbiorach. Znalazłam także dedykację: *Prawdziwa historia, wymyślona dla Claire*.

– Claire?

– Tak.

– Kim jest Claire?

– Pewnie występuje w książce.

– Której nigdzie nie można znaleźć. – Westchnął.

– Szukałam dalej i Claire, i hrabiego Rochester – opowiadała. – Ten drugi

nazywał się John Wilmot, żył w siedemnastym wieku i zasłynął jako autor nieprzyzwoitych, żeby nie powiedzieć wyuzdanych, wierszy.

David zerknął na nią z ukosa.

– Nieprzyzwoite wiersze? Brzmi nieźle.

– Sam chciałeś. – Uśmiech rozjaśnił jej oczy. – W każdym razie zainteresowało mnie coś innego. – Na chwilę zawiesiła głos. – To był znany bywalec salonów, kobieciarz, ekscentryk. Walczył w drugiej wojnie angielsko-holenderskiej, dokonał bohaterskich czynów, potem jednak popadł w niełaskę u króla Karola II. Porwał bogatą dziedziczkę, Elizabeth Malet, z którą się później ożenił. Po ślubie w końcu się ustatkował. A jeszcze potem, dwa lata przed śmiercią, wyruszył w podróż po Hiszpanii i Portugalii. I tam na pewnej wyspie poznał przepiękną kobietę.

– A jego żona?

– O niczym nie miała pojęcia. A może to akceptowała. Nie wiadomo.

– Dziwne czasy.

– W listach nazywał tę Hiszpankę lady Claire – dodała Heaven.

– A co to ma z nami wspólnego?

– Pewnego dnia lady Claire zniknęła. Przepadła bez śladu. – Heaven odwzajemniła jego spojrzenie. Nietrudno się domyślić, że skojarzyła to ze swoją matką. – Hrabia był niepokieszony. Pisał o tym w listach, których nigdy do nikogo nie wysłał. Tęsknił za nią.

David podniósł rękę.

– Błagam, powiedz, że chociaż te listy się zachowały.

Westchnęła.

– O ile mi wiadomo, oryginały przepadły. Z hrabiego Rochester był niezły dziwak. Wiele dokumentów związanych z jego życiem zniknęło bez śladu.

– Listy też?

– Trafiłam na źródła, które odsyłają do kolejnych źródeł. Do autorów opisujących to wszystko po jego śmierci i powołujących się na źródła, których sami nie widzieli, ale o których sporo słyszeli. Od wiarygodnych świadków, ma się rozumieć.

– Tak powstają legendy – mruknął.

Przyznała mu rację.

– Nieważne. W każdym razie trafiłam na coś, co pasuje do naszych poszukiwań. Podobno pieszczotliwie zwracał się do lady Claire: niebiańskie serce.

David znieruchomiał.

– Niebiańskie serce?

– Tak.

– To może być fałszywy trop. Może po prostu był romantyczny.

– Nie sądzę. Facet twardo stąpał po ziemi. Pamiętaj o sprośnych

wierszykach.

– Więc nie romantyk. Myślisz, że traktował te słowa dosłownie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale to jednak już coś. Kiedy się dowiedziałam, dokąd podróżował, szukałam dalej. – Rozejrzała się. – Przypomniała mi się pewna historia, którą czytałam przed laty. Znalazłam ją w jednej z książek o niebie należących do mamy.

Z przeciwnej strony nadchodziła grupa hałaśliwych emerytów, być może turystów, którzy przyjechali do Londynu autobusem – dwa dni w stolicy za trzydzieści funtów. Kilka osób niosło przewodniki, mężczyźni mieli na głowach czapeczki baseballowe, ktoś beztrudno machał parasolem. Nieszkodliwi, a jednak Davidowi nagle wydali się niebezpieczni i pomyślał, co też poczułaby jego matka, gdyby wyszła z domu.

– Tamtędy – mruknął i zmienił kierunek.

– Dobrze.

Szli dalej, ale teraz zwracał uwagę, dokąd się kierują.

Heaven podjęła przerwana opowieść:

– W tej książce czytałam o wyspie gdzieś na Morzu Śródziemnym, którą za dnia – i tylko za dnia – spowija tak gęsta warstwa chmur, że nie dociera tam słońce. Kiedy jednak zapada zmrok, chmury znikają i nad wyspą świecą gwiazdy. Niebo za dnia po prostu znika. Nie ma go.

– Za dnia, ale nie w nocy?

– Nie, za dnia. I coś jeszcze. – Spojrzała na niego znacząco. – Niebo nad wyspą, niebo za dnia, zniknęło na krótko. A dokładnie – na cztery miesiące. Dla tamtej historii nie miało to znaczenia. Rolnicy i rybacy, mieszkańcy wyspy, zgłosili to władzom na stałym lądzie i prosili, by przysłano kogoś, kto im pomoże.

– I pomógł?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie nie ma żadnych oficjalnych wzmianek o tamtym incydencie.

David domyślał się, co zaraz usłyszy, ale i tak zapytał:

– Czy hrabia Rochester ma z tym coś wspólnego?

– Był tam.

– Na tej konkretnej wyspie?

– Z wielu źródeł wynika, że właśnie tam, na tamtej wyspie, poznał lady Claire. Zniknęła bez śladu mniej więcej wtedy, gdy chmury rozwiały się i nad wyspę wróciło niebo.

David myślał intensywnie. Dokładnie w tym samym momencie, gdy zmarła River, a Heaven przyszła na świat, nad Londyn wrócił skrawek firmamentu nad Kensington.

Zdawał sobie sprawę, że powinno go to dziwić. W innych okolicznościach

powiedziałby, że to niemożliwe, że to całkowity nonsens. On jednak doskonale wiedział, że ta historia dzieje się naprawdę. A dopóki jej część stanowiła Heaven, był gotów wszystko zaakceptować.

– Po jej śmierci hrabia Rochester spisał historię lady Claire – ciągnęła. – Ale później chyba nie chciał, by ktokolwiek o niej usłyszał. Jeśli wierzyć plotkom, osobiście dopilnował, żeby książkę zniszczono. Podobno resztę życia spędził, jeżdżąc po Europie i niszcząc każdy egzemplarz, który wpadł mu w ręce.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Może wiedział, o co chodziło z zaginionym niebem.

David przyglądał się tłumom sunącym po Piccadilly Circus. Znowu zmienił trasę, skręcił na północ, w Great Windmill Street, spokojniejszą niż Shaftesbury Avenue.

– I naprawdę udało mu się zniszczyć wszystkie egzemplarze?

Skinęła głową.

– Tak przynajmniej wyczytałam.

Zatrzymał się gwałtownie. Oczy mu rozbłysły.

– Panna Trodwood – rzucił i pstryknął palcami, jakby to była odpowiedź na wszystkie pytania. – Ona wytropi każdą książkę. Musimy ją tylko poprosić.

– Ile to potrwa?

Zamyślił się.

– To zależy – odparł po chwili. Pana Trodwood miała swoje sposoby wyszukiwania rzadkich egzemplarzy. Robiła to po swojemu, używając staroświeckiego telefonu. Rzadko, bardzo rzadko, wyruszała w podróż, za każdym razem koleją, nigdy samolotem.

Najlepsze, że zawsze znajdowała to, czego szukała. Najgorsze, że czasami trochę to trwało.

Powiedział to Heaven.

Stała w pół kroku. Widział rozpacz na jej twarzy.

– Skoro tak, równie dobrze możemy to sobie darować – mruknęła.

– Posłuchaj tylko: seryjni mordercy, porywacze ciał, dziwaczny hrabia i zaginiona piękność. To idiotyzm! – Prychnęła pogardliwie. – Jak na razie nic nam z tego nie przyszło. Nie wiemy, gdzie jest moje serce. – Miała taką minę, jakby chciała coś kopnąć, ale w pobliżu była tylko urocza staruszka z białobrązowym beagle'em na smyczy, który spojrzał na nią wiernymi ślepiami i radośnie zamerdał ogonem. Heaven przyglądała mu się przez chwilę, w końcu jęknęła głośno. – Do cholery, David, mam tego dosyć.

Myślał gorączkowo. Nie mogą się poddać, nie teraz, nie po tym, czego się dowiedzieli. Czuł, że są blisko, ale Heaven miała rację, ciągle wiedzieli za mało. Kluczem do zagadki była ta książka. Na pewno jest jakiś sposób, by do niej dotrzeć!

– A pan Merryweather? – zapytał nagle. – Zna wszystkie baśnie świata. I czasami ma je nawet na półce.

Heaven uniosła głowę.

– Myślisz? – W jej głosie pojawiła się nutka nadziei.

David spojrział w górę. Dachy – najszybsza droga do Kensington.

Heaven się zawahała.

– David, mam już mało czasu – szepnęła. – Nie wiem, co mnie trzyma przy życiu, ale czuję, że to się wkrótce skończy.

Objął ją ramieniem.

– Wiem. – Co innego miał powiedzieć? – Chodźmy do pana Merryweathera. Musimy przynajmniej spróbować. – Jego wzrok mówił co innego: nie mamy nic do stracenia. Heaven, w milczeniu odwzajemniając jego spojrzenie, szepnęła bez słów, zrozpaczona, z oczami ciemnymi jak noc: poza nami, Davidzie.

A potem pociągnął ją za sobą do pierwszego z brzegu budynku, na schody, coraz wyżej, biegli szybcy jak wiatr z północy, biegli po ukośnych dachach miasta, z dala od ludzi, przez zimno i śnieg.

To przypominało sen lub lot, który należał tylko do nich.

TRZECIE INTERLUDIUM

ODWIEDZINY

W domu w Richmond panował spokój. Pan Mickey siedział w wielkiej kuchni i popijał czarną herbatę. W ciągu ostatnich godzin sporo myślał o Heaven.

Była cichym dzieckiem. Jonathan Mirrlees bardzo ją kochał. Kiedy podrosła, stała się bardzo niezależna – nikt nie zdołałby zatrzymać jej w domu. Włóczyła się po mieście, ponieważ jednak w szkole nie miała problemów, Jonathan nie miał nic przeciwko temu. Brakowało jej matki, ale Jonathan zawsze wierzył, że wszystko się ułoży.

„Musi znaleźć własną drogę, Mickey” – powtarzał.

Pan Jones do dzisiaj za nim tęsknił. Był dobrym przyjacielem i wierzył, że Mickey zaopiekuje się Heaven podczas jego nieobecności.

„Uważaj na nią – mawiał, ilekroć pakował walizkę i przekraczał próg domu. – Liczę na ciebie”.

Tylko że nie miał pojęcia, czego od niego wymagał.

Pan Jones zerknął na zegarek. Spodziewał się gości.

Kotka, którą kilka godzin temu wpuścił do domu, siedziała przy oknie i oblizywała sobie łapki.

Mickey dumał o wszystkich poszukiwaniach, które nie przyniosły żadnych rezultatów. Heaven nigdy o nic nie pytała, zносиła to, początkowo z lękiem, potem już tylko z irytacją. Rutynowe badania serca, szybko załatwiane.

A potem jej ojciec zginął. Mickey doskonale pamiętał tamten dzień, gdy odebrał ją ze szkoły i przywiózł do domu.

Poszła do swego pokoju, milcząca, o martwym spojrzeniu. Siedziała tam przez sześć godzin. Nie chciała z nikim rozmawiać. W tym czasie zabazgrała ściany nutami i słowami. Napisała melodię, którą nazwała muzyką sfer. Dopiero później zaczęła płakać. Nie wiedział, czemu zapisywała nuty na ścianie. Nigdy z nim o tym nie rozmawiała.

Pan Jones nadstawił ucha. Coś się poruszyło przed domem. Kotka, do tej pory spokojna, zeskoczyła nagle z parapetu i wybiegła z kuchni.

Mickey wyszedł na korytarz. W kątach nawet za dnia czaiły się cienie. Kotka siedziała nieco dalej. Syknęła groźnie.

– Co jest, księżniczko? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Jej oczy mieniły się zielono. Odwróciła się i odbiegła w przeciwnym kierunku.

– Hm. – Pan Mickey ponownie zerknął na zegarek.

A potem poszedł korytarzem do holu. Z półmroku przy schodach wynurzyły się dwie postacie.

– Chciał pan ze mną rozmawiać? – zapytał pan Drood.

Łachmaniarz milczał.

Pan Mickey zmierzył ich wzrokiem.

– Tak – odparł.

ROZDZIAŁ 14

MIASTO UPADŁYCH ELFÓW

David prowadził Heaven do Kensington. Szli dachami, gzymsami, schodami przeciwpożarowymi, mostkami z żelaza i stali. Tam, na górze, byli sami, a świat tykał jak tajemniczy mechanizm, na który nikt nie zwraca uwagi.

Biegli, jakby od tego zależało ich życie. Skakali nad przepaściami zaułków i ani razu nie oglądali się za siebie. Po prawej stronie minęli Kensington Gardens, kopuła Royal Albert Hall lśniła w mdłym świetle poranka. Big Ben po raz jedenasty tego dnia wybił pełną godzinę, a Tamiza milczała.

Zatrzymali się na dachu domu przy Reston Place.

– Co jest? – zapytała Heaven.

David myślał o tylu rzeczach jednocześnie, że zabrakło mu słów. Patrzył na miasto rozciągające się na wszystkie strony aż do horyzontu. A potem podszedł do Heaven, złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował.

Odwzajemniła pocałunek tak mocno, jakby od kilku godzin tylko na to czekała. Wtuliła się w niego, dotknęła dłonią jego włosów.

– Czasami – szepnęła, gdy się od siebie oderwali – życie bywa proste.

Przez dłuższy czas stali na dachu i tylko obserwowali miasto. Takie jest życie, a oni tkwią w nim po uszy. Jest jak muzyka, tylko głośniejsze.

A potem pobiegli dalej. David pomyślał o Kelly, o tym, jak wszystko wydawało się skomplikowane. A potem spojrział na Heaven i pomyślał, że wszystko może wyglądać inaczej.

W końcu dotarli do Kensington, ściśle rzecz biorąc – do domu przy Phillimore Place 18.

Zeszli z dachu przez lufcik. David pomógł Heaven wślizgnąć się do środka, a potem zbiegali ze schodów, aż stanęli pod drzwiami pana Merryweathera.

David zadzwonił. Z głębi mieszkania rozległo się szuranie, potem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, szcęk klamki i drzwi stanęły otworem. Pan Merryweather zamrugał na ich widok.

– Pan David Pettyfer? – upewnił się. – Z uroczą przyjaciółką. Co was do mnie sprowadza?

– Potrzebujemy pomocy – odparła Heaven.

– Cóż, kiedy młoda dama prosi o pomoc, nie można jej odmówić – oznajmił niskim głosem. Mrugnął znacząco do Davida. – W każdym razie prawdziwy dżentelmen nigdy nie odmawia, prawda? – Roześmiał się głośno. – Stoimy w przeciagu. – Z tymi słowami zaprosił ich gestem do saloniku.

Przez lekko zasunięte żaluzje wpadało światło słoneczne, kładło się jasnymi smugami na półkach z książkami. Powietrze wypełniał zapach zimnego tytoniu i starych książek, farby drukarskiej na palcach i zaczytanych gazet, które piętrzyły się na stoliku, pod talerzykami z resztkami ciastek i imbrykami z herbatą, tak samo jak poprzedniej nocy. Pod ścianami pokrytymi kolorową tapetą i boazerią stały regały z książkami.

– Czytał to pan teraz? – David wskazał otwarty tom na fotelu.

– *Narzeczoną z Lammermooru*? – Starszy pan uśmiechnął się lekko. – Oczywiście. Z wielką przyjemnością czytałem jej ze starej księgi. – Wskazał oprawioną fotografię żony. – Życie nagle znowu nabrało barw. – Tego dnia miał na sobie brązowy sztruksowy garnitur i wyglądał jak bohater powieści P.G. Wodehouse’a. Podszedł do sąsiadującej z salonikiem kuchni, żeby wstawić wodę na herbatę, David tymczasem opowiadał mu o wszystkim, co ich spotkało. Oczywiście przedstawiał nieco okrojoną wersję wydarzeń; bądź co bądź pan Merryweather nie musiał wiedzieć o wszystkim. Starszy pan słuchał spokojnie.

Nalał herbaty do filiżanek. Heaven poprosiła, żeby uchylił okno, i usiadła obok. Na szafce nad kuchenką stało radio, z którego płynęła muzyka klasyczna.

– Gilbert and Sullivan – wyjaśnił pan Merryweather, widząc zaciekawione spojrzenie chłopaka.

– Och – mruknął David.

– Możemy tu zostać – zaproponował pan Merryweather. – Lubię kuchnie. Najlepsze rozmowy mojego życia toczyły się właśnie w kuchni. – Postawił przed Davidem i Heaven po filiżance parującej herbaty i przeszedł do rzeczy. – Wasza opowieść jest niesamowita – stwierdził, ale wbrew tym słowom wcale nie wydawał się zdziwiony. – Jak mogę wam pomóc?

– Chodzi o książkę – zaczął David.

– A dokładnie, o zaginioną książkę – uściśliła Heaven.

Pan Merryweather nadstawił ucha.

– Te są najlepsze – zauważył. – O ile uda się je odnaleźć.

– *Serce upadłego elfa*. Napisał ją niejaki hrabia Rochester.

Pan Merryweather powoli skinął głową.

– Ten tytuł coś mi mówi – mruknął pod nosem. Zmarszczył czoło, zawahał się i nagle rozpromienił. – Tak, w rzeczy samej, nawet to czytałem. Przed laty, ale nadal pamiętam!

Oczy Davida rozbłysły.

– Gdzie jest ta książka? Tutaj, u pana? Możemy ją pożyczyć? – zapytał.

Pan Merryweather uśmiechał się dobrotliwie.

– Owszem, czytałem ją, ale jej nie mam. To bardzo rzadki egzemplarz. Właściwie powinienem zamówić ją u panny Trodwood. – Zmierzył ich ciekawym wzrokiem. – To tylko baśń, nic więcej. Podobna do tych, które pisywał Oscar

Wilde. Bardzo dorosła, powiedziałbym.

David zerknął na Heaven.

– *Serce upadłego elfa* – powtórzył. – Czy w tej książce naprawdę jest mowa o elfach?

– No cóż... – Pan Merryweather strzepnął niewidoczny pyłek z nieskazitelnie czystych sztruksowych spodni. – To, jak hrabia Rochester przedstawia elfy, różni się nieco od tego, jak tu, w Anglii, wyobrażamy sobie te istoty. – Chrząknął i z uznaniem upił łyżek herbaty. – Ale co ja plotę? Nieco? Tak naprawdę stawia na głowie wszystko, co do tej pory wiedzieliśmy o elfach. – Wodził wzrokiem od Heaven do Davida i z powrotem. – To smutna historia, mojej żonie nie przypadłaby do gustu. – Pokiwał głową. – O ile dobrze pamiętam, to opowieść o młodym arystokracie z Walii, który podróżuje po Europie i gdzieś za granicą poznaje kobietę. Właściwie to historia jak wiele. Na początku jest młodzieniec i jego pragnienia, na końcu rozpacz. – Obmacywał kieszenie marynarki w poszukiwaniu fajki. – Jak zawsze w bajkach, bohaterka jest przepiękna. Hiszpanka, o ile pamiętam. Arystokrata traci dla niej głowę i zabiera kobietę ze sobą do Walii. I wtedy jego wybranka zaczyna chorować. Choć ma na imię Hope, nie ma dla niej nadziei.

– Hiszpanka imieniem Hope? – zdziwił się David.

– *Licentia poetica*. Takie imię nadał jej Rochester.

David przyjął to do wiadomości.

– W każdym razie – ciągnął pan Merryweather – sprowadza najlepszych lekarzy, jednak żaden nie umie jej pomóc. W końcu ukochana błaga go, by odwiózł ją tam, gdzie się poznali. Wyruszają w kolejną podróż i kochają się jeszcze bardziej. – Sięgnął po staroświecką ciężką zapalniczkę i powoli zapalił fajkę. – Cierpienie wzrasta wraz z miłością, napisał Rochester. – Staruszek uniósł znacząco palec. – Bo kochać oznacza bać się utraty. O to tak naprawdę chodziło Rochesterowi. – Pobiegł wzrokiem do wszechobecnych w mieszkaniu oprawionych fotografii. – Kiedy człowiek oddaje serce, prędzej czy później zostanie złamane. Taka jest kolej rzeczy. – Popatrzył na nich. – Jesteście jeszcze młodzi i nie zwracacie sobie głowy tym, co wydarzy się w przyszłości. Wszystko przed wami. A jednak kiedyś nadejdzie ten dzień, gdy jedno z was będzie musiało odejść. I wtedy drugiemu pęknie serce i uzna, że lepiej było nigdy nie kochać.

Heaven z całej siły ścisnęła dłoń Davida. Przypomniawszy sobie, co mówiła, gdy opowiadała o chłopaku z klubu.

– W każdym razie nasz hrabia Rochester nie był zbyt pogodnym kompanem. – Pan Merryweather wypuścił w powietrze kłęb dymu i zaniósł się kaszlem. – A i jego dzieła nie należą do najweselszych. Ale wróćmy do naszej historii. Arystokrata przywozi lady Hope na tę wysepkę na Morzu Śródziemnym. Leży na uboczu, z dala od tras innych statków, a jednak przykuła powszechną uwagę, bo

mówi się, że nad częścią wyspy zniknęło niebo za dnia. – Spojrzał na nich znacząco. – Jak u nas, nad Londynem.

Skinęli głowami. W radiu rozległ się nowy utwór.

– Korngold – mruknął machinalnie staruszek. – *The Sea Hawk*.

David znowu ograniczył się do lapidarnego:

– Och.

Pan Merryweather odczekał chwilę i podjął przerwana opowieść.

– Cudzoziemska piękność, którą hrabia Rochester nazwał lady Hope, koniec końców wyjawia ukochanemu, że muszą się rozstać. Cała we łzach zdradza mu, że tak naprawdę jest kawałkiem nieba, tak, właśnie tak, kawałkiem nieba, który wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i przez fatalną pogodę spadł na ziemię ze swego miejsca wysoko, wysoko nad światem. A ponieważ wszystko, co trafia na ziemię, musi przybrać jakąś postać, tak i niebo, spadając na naszą małą planetę, przybrało postać kobiety.

Heaven dyszała ciężko. Jej dłoń drżała.

– Piękna kobieta imieniem Hope to kawałek nieba – powtórzył pan Merryweather. – Tak twierdzi hrabia Rochester. – Zaniósł się kaszlem. – Oczywiście nasz arystokrata sam nie wie, co o tym myśleć. Jednak w jej oczach nie widzi kłamstwa, nie wierzy, że to zmyśla. Tak więc słucha dalej i poznaje inne tajemnice. Hope opowiada, że na ziemi są inni podobni do niej. Tłumaczy, że ludzie nadają jedną nazwę wszystkim istotom, których serca po śmierci wrócą na nieboskłon.

– Elfy – szepnęła Heaven. To słowo z trudem przeszło jej przez usta. Osaczało ją jak zły sen, jak prawda, której nie chce się wypowiedzieć na głos.

– Tak jest. Któż z nas nie wierzył w nie w dzieciństwie? Magiczne istoty sprzed wieków. Z innych światów.

– Rochester wierzył w to, co pisał, prawda? – zagaił David.

Pan Merryweather zamruczał jak borsuk.

– Ależ oczywiście. Hrabia Rochester nie był wesołkiem. – Energicznie pokręcił głową i podrapał się w bokobrody. – Ale pozwólcie, że skończę tę historię, zanim zapomnę, co chcę powiedzieć. – Podjął wątek w tym samym miejscu, w którym przerwał. – Arystokrata wie już, że istoty, dotychczas znane jako elfy, to po prostu kawałki nieba, które jakimś cudem trafiły na ziemię, ale prędzej czy później wrócą do domu.

Heaven zerwała się na równe nogi, rzuciła się do okna, otworzyła je na oścież i oddychała głęboko, pełną piersią. Pan Merryweather obserwował oboje na zmianę, ale milczał.

David siedział nieruchomo. Przypominał sobie wszystko, co wiedzieli o River Mirrlees, i to, kiedy Heaven przyszła na świat. Wszystko do siebie pasowało. Patrzył na nią, stojącą przy oknie, oddychającą nerwowo, i wszystko

w nim krzyczało, by do niej podszedł. A jednak tego nie robił. Wiedział, że w tej chwili musi być sama.

– W historii Rochestera to arystokrata potrzebuje pomocy – ciągnął pan Merryweather. – Lady Hope prosi go, żeby pozbawił ją życia – w imię ich miłości.

Heaven odwróciła się od okna. Poszarzała na twarzy, oczy zapadły się jej głęboko.

– Jak to się kończy? – zapytała, nie, nie zapytała, raczej wykrzyczała. – Proszę powiedzieć, jak to się kończy.

Pan Merryweather zachował spokój, jakby podniesiony głos Heaven w ogóle nie zrobił na nim wrażenia.

– Lady Hope wraca do ojczyzny. Ona i arystokrata wyrzekają się miłości i w zamian za to dostają niebo. Bo oto co obiecuje mu na samym końcu: po śmierci jej serce wróci wysoko, na firmament, i niebo, którego tak długo nie było, znowu znajdzie się na miejscu.

– Po śmierci mojej mamy kawałek nieba też wrócił na miejsce – powiedziała Heaven łamiącym się głosem. – Kawałek nocnego nieba. – Doszło do tego owego pamiętnego dwudziestego piątego listopada, gdy River Mirrlees zniknęła bez śladu, a jej mąż pochował Sarah Jane pod nazwiskiem żony, żeby uniknąć komplikacji i zbędnych pytań.

Heaven głęboko zaczerpnęła tchu.

– Ale nie całe niebo wróciło na miejsce, tylko kawałek. – Okienne szyby drżały pod naporem wiatru, który hulał po kuchni. – Dlaczego? – I sama odpowiedziała sobie na to pytanie. – Bo ja żyję. Bo we mnie żyje część serca mojej matki. Przekazała mi je. Rosło we mnie przez te wszystkie lata. I dlatego żyję.

Pan Merryweather przyglądał się jej ciekawie.

– Jeśli tak, to znaczy, że pani matka była elfem – powiedział śmiertelnie poważnie. – W każdym razie jeśli wierzyć słowom Rochestera.

– A ja? – zapytała Heaven rozpaczliwie. – Kim ja jestem? Skąd we mnie ta pustka, to zimno? To nie ja, ja nigdy taka nie byłam!

Myśli Davida galopowały, jakby wszystkie elementy układanki, które do tej pory trafiły na miejsce, nagle się pomieszały.

– Właśnie dlatego cię ścigają – szepnął. – Nie chodzi im o ciebie, tylko o to, co trzyma cię przy życiu. – Zawahał się. – Chodzi im o serce, które oddała ci matka. To miał na myśli Heep.

– Ale po co im ono?

Pan Merryweather wzruszył ramionami.

– Tego wam nie wyjaśnię, ale mogę opowiedzieć tę historię do końca.

David i Heaven odruchowo skinęli głowami, zbyt poruszeni, by cokolwiek powiedzieć.

– A zatem razem przybyli na wyspę – ciągnął pan Merryweather – i tak zaczął się początek końca. Lady Hope i jej arystokrata tańczą razem po raz ostatni, a potem on podaje jej puchar zatrutego wina. Ona wypija je i umiera w jego ramionach. Arystokrata pograża się w rozpacz. Gdy z lady Hope ucieka życie, rozplywa się też jej ciało, kobieta po prostu znika z jego ramion, przemienia się w coś, co jak melodia unosi się na wietrze. – Wypuścił dwa kółka dymu. – Hope? Hope rzeczywiście wraca na nieboskłon. Chmury rozchodzą się i tam, gdzie do niedawna na niebie ziała dziura, pojawia się błękit nieba. – Westchnął przeciągle i dramatycznie. – I to koniec tej historii. Nic lepszego Rochester nie wymyślił.

Muzyka w radiu ucichła. Rozległ się sygnał wiadomości BBC.

Czy świat naprawdę jest aż tak szalony?

Czy River Mirrlees naprawdę była kawałkiem nieba, który spadł na Londyn i zmienił się w kobietę? Kobietę, która się zakochała i urodziła dziecko zwykłemu mężczyźnie? Czy River Mirrlees naprawdę była elfem, który po narodzinach córki wrócił na firmament?

Znużony David przetarł oczy.

To wszystko brzmiało bardzo przekonująco, a jednak...

Heaven cały czas opierała się o otwarte okno i chciwie wdychała zimne powietrze.

– Po co komuś moje serce? – Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi. To była zagadka, której jeszcze nie rozwiązali.

David usiłował dostrzec obraz wyłaniający się z kawałków układanki. Nadal był zbyt nieostry, by wszystko zrozumieć. Pograżony w myślach, w pierwszej chwili nie zauważył, że Heaven zeszywniała.

I wtedy to zarejestrował. Coś wprawilo Heaven w przerażenie. Jej gwałtowny ruch wyrwał go z zadumy.

– Co jest?

Nie słuchała go, odwróciła się od okna, podbiegła do półki nad kuchenką gazową i drżącymi rękami ustawiła głośniejsze radio.

Kuchnię wypełnił trzeszczący głos:

– Motywy tej przerażającej zbrodni są na razie nieznane, policja prowadzi śledztwo w tej sprawie. Mieszkańcy Richmond są w szoku. Wszyscy z wielkim przejęciem przyjęli wiadomość o brutalnym morderstwie. – Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszeli: – Marcus Wallace, BBC Radio 1.

Heaven wyciągnęła rękę, ale zabrakło jej sił, żeby wyłączyć odbiornik. Załamana, stała nieruchoma. Nawet nie opuściła ręki.

– Morderstwo w Richmond – powtórzyła. W jej oczach dostrzegł rozpacz.

David wiedział, czego się obawiała.

– Możemy zadzwonić? – zapytał pana Merryweathera i natychmiast sięgnął po słuchawkę.

Starszy pan w milczeniu kiwnął głową.
David skinął na Heaven. Wzięła od niego słuchawkę i wybrała numer.
Dzwonek.
I jeszcze jeden.
Heaven nerwowo bębniła palcami o stół.
Kolejny dzwonek.
I w końcu ktoś odebrał.
Ale to nie był pan Mickey. Usłyszała nieznamy głos.
– Z kim rozmawiam? – zapytał. Ani wrogo, ani przyjaźnie.
– Harriett Jones. – Heaven podała fałszywe nazwisko.
– Jest pani krewną?
Milczała.
– Halo? – dopytywał się głos. – Jest tam pani?
– Mogę mówić z panem Jonesem?
Cisza.
Trzaski na linii.
– Muszę panią z przykrością poinformować, że kilka godzin temu pan Jones padł ofiarą przestępstwa. – Głos był tak rzeczowy i chłodny, że aż bolesny.
– Mogłaby mi pani udzielić odpowiedzi na parę pytań?
Milczała, wpatrzona w pustkę. Usta jej drżały, oczy zasły łzami.
– Pan Jones był pani krewnym?
– Mniej więcej – szepnęła.
– Zna pani kogoś o imieniu Julian?
Otworzyła szeroko oczy.
– Julian?
– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.
Milczała.
– Skąd pani dzwoni?
Rozłączyła się. Słuchawka upadła na podłogę.
– Pan Mickey... Nie żyje. – Zachwiała się i złapała krawędzi stołu. – Ale co Julian ma z tym wspólnego? – wykrztusiła. – Nic z tego nie rozumiem. Julian i Eve nie wiedzą nawet, gdzie mieszkam. – Przerazona spojrzała na Davida. – Co tam się stało? Co?
Pochyliła się, podniosła słuchawkę, nerwowo wykręciła inny numer.
I znowu dzwonek, ale tym razem nie musiała długo czekać. Ktoś odebrał.
– Julian?! – krzyknęła do słuchawki, zanim ktokolwiek się odezwał. – Julian, co się stało? Co tam się stało, na miłość boską?
– Heaven, to ty. – Mówił ochryple, David słyszał to wyraźnie, choć nie stał bezpośrednio przy Heaven.
– Co się stało? Dlaczego?

Julian brutalnie przerwał jej w pół słowa.

– Eve zniknęła. Jego słowa padały w ciszy jak kamienie. – Kiedy wróciłem do domu, barka była splądrowana. Na podłodze leżała wizytówka z nazwiskiem Drood. I numer telefonu. Jezu, cholera, Heaven, boję się, że porwali Eve. Znasz kogoś nazwiskiem Drood?

– Julian...

– Zadzwoń pod ten numer. Odebrał policjant. Chodzi o jakieś morderstwo w Richmond. Heaven, błagam, powiedz, że nie masz z tym nic wspólnego.

Heaven błagalnie spojrzała na Davida.

– Zamordowali pana Mickeya. – Przygryzła dolną wargę. – On nie żyje, Julian, rozumiesz? Nie żyje! – Zamknęła oczy, ale i tak nie zdołała powstrzymać łez.

– Cholera. Co z Eve?! – Głos w słuchawce zamienił się w krzyk.

David podszedł do Heaven i delikatnie wyjął jej słuchawkę z ręki.

– Julian? Nie wiemy, co się stało.

– David?

– Tak. – Przełknął ślinę. Myślał szybko, gorączkowo. – Gdzie jesteś?

– Na barce.

– Nie ruszaj się stamtąd, idziemy do ciebie. – Rozłączył się.

– Zabili pana Mickeya – szlochała Heaven.

David chciał ją objąć, ale odepchnęła go i nerwowo biegała po pokoju.

– Co teraz? Mają Eve. – Wplotła palce we włosy. – Ją też zabiją. Jezu, David, co tu się dzieje? – Głos jej się łamał. – Co jest ze mną nie tak? Dlaczego ściągam kłopoty na wszystkich, których spotkam? – Roześmiała się histerycznie i szlochała dalej. – Kłopoty, dobre sobie! Pan Mickey powiedziałby to samo... Gdyby nadal mógł mówić!

– Heaven, uspokój się – powiedział David. – Musimy iść na barkę. Pomóc Julianowi.

Heaven zdawała się go w ogóle nie słyszeć. Cały czas przechadzała się nerwowo wokół stołu, zapłakana, z włosami w nieładzie.

David wahał się przez chwilę, zastąpił jej drogę, objął ją i mocno przyciągnął do siebie.

Broniła się uparcie, uderzała pięściami w jego pierś, krzyczała, ale nie puszczał, po prostu ją trzymał, aż uspokoiła się trochę i łyzy jej obeschły.

Pan Merryweather, który przyglądał się temu w milczeniu, powiedział tylko:

– Jeśli chcecie, poinformuj panny Trodwood.

A potem wyruszyli do Marylebone.

CZWARTE INTERLUDIUM

SCROOGE

Mężczyzna w czarnych rękawiczkach, znany jako Drood, Heep, Scrooge, ale też Fagin i Quilp, uniósł nóż na wysokość oczu i przyglądał się ich odbiciu w błyszczącym ostrzu.

Obracał nim, sprawiając wrażenie, jakby z nim tańczył.

Młoda kobieta szlochająca na podłodze obserwowała to, dygocząc na całym ciele.

Łachmaniarz, który dopiero od niedawna był w jego mocy, nie spuszczał z niej martwego wzroku. Wystarczyła jego obecność, by porzuciła jakąkolwiek myśl o ucieczce. Wystarczyło, by sobie wyobraziła, co z nią zrobi, gdy tego spróbuje, żeby poniechała wszelkich prób.

Drood był bardzo zadowolony. Znajdował się dokładnie tam, gdzie chciał.

Zadzwoił do pracodawcy i to była bardzo dobra rozmowa.

– Kolejny raz mi nie ucieknie – obiecał Drood cicho. Jego nóż zatańczył przed twarzą młodej kobiety.

– Kiedy pan tu dotrze? – zapytał głos po drugiej stronie kabla, zakłócany przez trzaski. Niecierpliwił się. Jak zawsze.

– To już nie potrwa długo. – Drood był przekonany, że zmieści się w czasie. Zmierzch jeszcze nie zapadł.

– Nie czeka mnie następne rozczarowanie? – zapytał zleceniodawca.

– A czy ja kiedykolwiek zawiodłem?

Drood nie doczekał się odpowiedzi na to pytanie.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, jak wiele zależy od tego, co ma mi pan dostarczyć, Scrooge – wycedził głos.

– Oczywiście.

– A zatem mogę być spokojny.

– Na pewno?

– Daje pan słowo?

– Tak.

Chwila ciszy.

– W takim razie do zobaczenia.

– Przyrowadzę panu dziewczynę. – Drood, w rozmowach ze zleceniodawcą zawsze znany jako Scrooge, nawet nie mrugnął, gdy światło załamało się w ostrzu i oślepiło go na chwilę.

– Dziewczynie nie może spaść włos z głowy – podkreślił głos. – Sprawy

mają się nieco inaczej niż zazwyczaj.

– Już pan to mówił.

– Proszę mnie nie zawieść – powtórzył głos. I rozmowa się zakończyła.

Drood był opanowany. Przez chwilę wsłuchiwał się w ciągły sygnał w słuchawce, a potem cisnął telefon na ziemię. Więcej nie będzie mu potrzebny.

Kobieta, która za wszelką cenę starała się nie patrzeć ani na niego, ani na łachmaniarza, jęknęła cicho. Drood nie zwracał na nią uwagi. Podeszedł do okna i patrzył na drzewa na brzegu.

Za niecałe dwie godziny wszyscy będą na London Eye. I tam to się skończy. Rozkoszował się widokiem. Lubił te okolice. Coraz gęstsze płatki śniegu wirowały w powietrzu.

Drood uśmiechnął się.

Wkrótce Londyn czeka cud. A dziewczyna o imieniu Heaven umrze. To pewne.

ROZDZIAŁ 15

LODOWATY CHŁÓD

Miasto było jak lód, z wierzchu gładkie i lśniące, w środku – zimne i zdradliwe. W powietrzu hulały płatki śniegu. Było ich o wiele więcej niż kilka godzin wcześniej. Samochody jeździły bardziej nerwowo, przechodnie z większą niż zwykle podejrzliwością wchodzili do sklepów, wysoko na dachach gołębie chowały się w gniazdach.

Właśnie tamtędy biegli David i Heaven. Jak zwykle była od niego szybsza. W myślach przeklinał swoje ukochane trampki, przez które bieg zmieniał się w jazdę na łyżwach.

Zanim weszli na dach, minęli budkę z hamburgerami i w telewizji widzieli twarz pana Mickeya. Stara fotografia, zrobiona któregoś lata. Heaven szybko odwróciła wzrok. Od tej pory milczała i tylko uparcie patrzyła przed siebie. Z całej siły zaciskała usta. Wydawało się, że wystarczy najlżejszy dotyk, by rozsypała się na kawałki.

David znał to uczucie.

Nie zostało jej już nic. Wszystko, co było, odeszło, robiąc miejsce na wspomnienia, przed którymi chciała uciec jak przed drapieżnikiem, tak daleko, żeby nie słyszeć za sobą wściekłego sapania bestii.

David domyślał się, jak wygląda; jej ślepiec to okna domu w Richmond, w których płoną ciepłe światła i który opowiada historie z przeszłości. Bestia mruczała tym samym głosem, którym przemawiał do niej pan Mickey. W groźnych warknięciach słyszała wypowiedane ciepłym szeptem słowa troski, którą otaczał ją, gdy nie chciała iść na cmentarz. W szponach potwora krył się czas, który parzył jak ogień, pochłaniał ciało, serce i rozum.

Teraz w jej oczach malowała się determinacja. Mogli zrobić już tylko jedno – udać się do Little Venice. Został jeszcze Julian, Eve jeszcze żyła. Dwie osoby, których nie chciała stracić. Można je jeszcze ocalić.

– To może być pułapka.

– Jeśli będzie trzeba, pójdę sama. – Z jej słów biła niezłomna determinacja.

– Chciałabyś.

To była ich ostatnia rozmowa na ten temat.

Zdyszani pobiegli schodami na strych budynku przy Phillimore Place 18, wyszli przez lufcik na zewnątrz, na dach i stamtąd podniebnymi ścieżkami, wysoko nad tłumem, powoli wylewającym się z biur sklepów w labiryncie zwanym Londynem, zmierzającym do stacji metra i na przystanki autobusowe.

Zobaczyli przed sobą dach o wiele niższy od tego, na którym akurat byli, a odległość między budynkami była zdaniem Davida zbyt duża, by skakać.

Heaven nie wahała się nawet przez moment. Wydłużyła krok, odbiła się, przez chwilę szybowwała w powietrzu jak czarna strzała, skupiona, niepowstrzymana. Jak kotka wylądowała na niższym dachu i od razu pobiegła dalej.

David zacisnął zęby. Choć w jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, nie myślał o upadku w przepaść, o śliskim metalu i lodowatym wietrze. Zazwyczaj poszukałby czegoś, żeby się przytrzymać, żeby nabrać rozpędu, jakiegoś drąga, wygiętej anteny, czegokolwiek. Teraz jednak nie miał na to czasu, zwłaszcza że Heaven biegła dalej.

Skoczył, runął w dół, czuł wokół siebie powiew przepaści, pustkę wciągającą go za nogi. Chwila zdawała się trwać godzinami, a potem runął na dach. Przeturlał się jak bramkarz Manchester United, wstał, wyprostował się. Bolał go każdy mięsień.

Odetchnął głęboko.

Heaven zatrzymała się na chwilę.

– Musimy iść – powiedziała cicho. – Proszę.

David skinął głową. Byle nie myśleć o wszystkim, co do tej pory mogło się zdarzyć na barce w Little Venice. Oczami wyobraźni widział przed sobą pana Mickeya, z którym rozmawiał jeden, jedyny raz w życiu. Nie ufał mu wtedy, podejrzewał, że lokaj usiłuje na boku coś ugrać dla siebie. A przecież Jonesowi zawsze chodziło tylko o Heaven, teraz David był tego pewien. I zapłacił za to życiem.

Ruszył dalej, nie zwracając uwagi na ból w plecach. Heaven oddychała miarowo na lodowatym powietrzu. Wydawało się, że ma niewyczerpane siły.

Kolejny skok, tym razem w górę. Podciągnął się i skoczył. Poszło łatwiej niż poprzednim razem.

Dalej.

Przed oczami przesuwały się sceny z jego życia, jak fragmenty niemych filmów, z których zniknęły podpisy. Duszny pokój. Opuszczone żaluzje. Krzyki matki. Głośne kłótnie z ojcem, który nie chciał pogodzić się z prawdą. Geraldine, od rana do nocy przed ekranem telewizora, pozwalająca, by życie przeciekało jej między palcami. Historie, które jej opowiadał, żeby wyrwać ją z letargu. Decyzja, by wyjechać z Cardiff, bo tamto życie tylko raniło, a takie rany nigdy się nie zagoją.

Każdy ma swojego potwora, którego chce zgubić, ale samemu jest o wiele trudniej.

Pomyślał o elfach i niebie, o sercach i pocałunkach – i poczuł, że monstrum traci moc.

Przy Oxford Circus zeszli z dachów, przez mokry śnieg dalszy bieg na górze był zbyt niebezpieczny. Resztę drogi pokonali metrem linii Bakerloo. Dojechali do Warwick Avenue.

Marylebone było odmienione. Dzisiaj domy z czerwonej cegły rzucały dłuższe cienie niż wczoraj, niezliczone mostki i wąskie uliczki, puste ławki, przysypane świeżym śniegiem – to wszystko przypominało żywe cienie, zapowiadające nadchodzącą noc. Widzieli jeszcze mniej ludzi niż poprzedniego dnia, nie było nawet biegaczy. Zapach mętnej wody przywodził na myśl Cardiff, ale nie morze, tylko duszny zaduch starej, nigdy niewietrzzonej łazienki.

– Nie ma!

Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedział, co Heaven miała na myśli. Barka Eve i Juliana cumowała tam, gdzie wczoraj, ale łódź Heaven zniknęła.

Dotknął jej ramienia.

– Bądź ostrożna – poprosił.

Spojrzała na niego.

– I kto to mówi? – rzuciła i usiłowała się uśmiechnąć, ale wypadło to bardzo blado.

Pokonali mały mostek i zbliżali się do nabrzeża.

Na łodzi panował spokój, wewnątrz płonęło światło, ale nie słyszeli żadnych odgłosów, tylko cichy plusk zimnej wody uderzającej o opasy korpus barki i docierający z daleka uliczny zgiełk na Wellington Road i St. John's Wood Road.

David poczuł, jak barka kołysze się pod jego stopami. Mandale na ścianach już nie wydawały się pogodne, a kamienny Budda na dachu był milczący i poważny. Plastikowe folie na bukietach ocierały o kamienne nabrzeże, z kominka dawno wywiało cały popiół. Wszystko pokrywała biała pierzynka śniegu.

Zostawiali za sobą ślady na śniegu. David zapukał do niskich drzwi, najpierw nieśmiało, potem mocniej. Usłyszeli zbliżające się kroki, a potem szcęk klucza w zamku. Otworzył im Julian.

– Heaven! – Na okrągłej bladej twarzy z cienką kozią bródką i szerokimi bokobrodami wykwitły czerwone plamy. Dredy, sfilcowana niekształtna masa, podskakiwały niespokojnie przy każdym ruchu. – W końcu!

Heaven pozwoliła się objąć.

Otoczył ją obłok dusznego, ciepłego powietrza. Zmrużyła oczy, jakby ktoś sypnął jej piachem w twarz.

Julian miał na sobie kolorowy T-shirt z liściem marihuany, spodnie moro i sandały.

David zajrzał zza Heaven i Juliana do wnętrza barki. Było jak w dżungli, pachniało ziemią, wilgocią i upałem.

Wszędzie stały ogromne palmy. Liście dotykały górnych półek regałów, rośliny o czerwonych kwiatach wylewały się z donic, ustawionych między stertami

książek i płyt, nawet teraz, w listopadzie.

Nic dziwnego, że tak tu gorąco.

Zerknął za siebie. Nic! Weszli do środka i zobaczyli, co wydarzyło się na barce.

– Co tu się działo? – zapytała Heaven z przerażeniem. – Na Boga, Julian, co z Eve?

Julian szukał czegoś w kieszeni spodni, wyciągnął wizytówkę. Szarą, z grubego papieru, bez jednego zawijasa.

Widniało na niej tylko: Pan Drood. Poniżej zamaszystym charakterem pisma zanotowano numer telefonu, który Heaven знаła aż za dobrze. Był to telefon domu w Richmond.

– Co tu się dzieje? – Rozejrzała się.

Także David chłonał wzrokiem chaos panujący w pomieszczeniu: poprzewracane sztalugi, walające się po podłodze tubki farb, pocięte niedokończone obrazy. Pomiędzy przyborami malarskimi poniewierały się kawałki połamanych gwiazd z popękkanymi kamieniami, szkice z projektami, grafiki, obrazy i narzędzia, których przeznaczenia na pierwszy rzut oka nie mógł sobie wyobrazić.

Od razu było jasne, że krótko przed ich przybyciem doszło tu do walki.

– Mów, człowieku! Co tu się stało? – zapytał.

Julian zamknął drzwi. Rozglądał się niespokojnie, jakby spodziewał się kogoś na progu. Schował klucz do kieszeni spodni, pogładził dredy palcami, bezradnie opuścił ręce.

– Musicie mi pomóc.

David rozpiął kurtkę. Heaven zrobiła to samo.

Wewnątrz było gorąco. David obawiał się, że Heaven długo nie wytrzyma takiej temperatury.

Może to pułapka. Powiedział to, gdy tylko wyruszyli, i szczerze mówiąc, wszystko na to wskazywało.

Każda częśćka jego ciała podpowiadała, żeby uciekać. Czuł, jak powraca stare uczucie uwięzienia, jak z coraz większym trudem przychodzi mu oddychanie. Zerknął w stronę okien, ale malutkie bulaje niewiele tu pomogą. Może sobie to tylko wmawia, a może naprawdę panowała tu ta sama duchota co w Cardiff? Nagle poczuł, że się dusi, i wiedział, że musi natychmiast zabrać stąd Heaven.

A jednak nie ruszył się z miejsca.

– Musicie mi pomóc. – Słyszał panikę w głosie Juliana, widział strach w jego oczach i zdawał sobie sprawę, że nie mogą go teraz zostawić. Nerwowo obracał wizytówkę w dłoniach. – Oni mają Eve.

– Kto?

– No jak to kto? Drood i ten drugi.

David błędził wzrokiem po niewielkim pomieszczeniu. W tylnej ścianie

znajdowały się drzwi, pewnie do kuchni albo sypialni, na pewno nie na pokład.

– Jaki drugi? – zapytał.

– Wygląda jak psu z gardła wyjęty.

– Łachmaniarz? – zapytała Heaven.

Julian skinął głową.

– Tak, można tak powiedzieć. – Jego lewa powieka drżała, jakby żyła własnym życiem. – Tak w każdym razie wyglądał.

Mało brakowało, a David zakląłby na głos. Niby skąd Julian wiedział, jak wygląda łachmaniarz? Przecież przez telefon mówił, że znalazł tylko wizytówkę?

Heaven oddychała z coraz większym trudem. David nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma w dusznym pomieszczeniu. Chyba do niej nie docierało, że coś tu jest nie tak, chyba nie widziała, że Julian unika kontaktu wzrokowego. Wyglądała, jakby lada chwila miała zemdleć. Przy każdym, nawet najmniejszym ruchu, chwiała się na nogach, musiała chwycić się stołu i krzesła.

– Chcieli, żebyś tu przyszła – powiedział przeproszającym tonem. – Nie mogłem nic zrobić. Zagroził, że zabije Eve, i mało brakowało, a spełniłby groźbę.

Julian wpatrywał się w przestrzeń wzrokiem bez wyrazu.

Dopiero teraz David odzyskał siły. Błyskawicznie rzucił się do drzwi i złapał za klamkę.

– Czy to jedyne wyjście? – zapytał.

Julian skinął głową.

– Kiedy wróciłem na barkę, już tu byli.

David zaklął. Cholera, wiedział od początku! Ale czy mieli inne wyjście?

– Ty cholerny...

Heaven tak nagle zaczęła osuwać się na ziemię, że zaskoczyła nawet Juliana.

– Co z nią?

David już był przy niej, zdążył ją podtrzymać.

– Wszystko w porządku – sapnęła. Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło jej to ani odrobinę. – Tylko... – Jej głos przeszedł w jęk, a w tylnej części barki otworzyły się drzwi i z ciemności sąsiedniego pokoju wyłonił się Drood.

David wcale się nie zdziwił, podobnie jak Heaven. Prośba o pomoc, duchota na barce, zamknięte drzwi – to wszystko sugerowało pułapkę.

Heaven odwróciła głowę.

– W końcu – zaczął Drood swoim przyjaznym głosem, w którym pobrzmiwały też nuty znudzenia – znowu się spotykamy.

Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy widzieli go po raz pierwszy – przeciętny strój, niezwracający na siebie uwagi, poza paroma drobiazgami, które nie pasowały do reszty: jego oczy błyszczące żądzą mordy, nóż ze świstem przecinający powietrze, głębokie rany na czole i policzkach, niektóre pokryte ciemnoniebieskim nalotem.

Drood, tak jak przypuszczali, zdołał uciec szczurokotom, ale nie wyszedł ze starcia bez szwanku, co na moment napełniło Davida absurdalną, dziecinną dumą.

– Jak to miło z waszej strony, że już jesteście – zagaił przyjaźnie i bez widocznego pośpiechu przechadzał się po pokoju. – Nie spodziewałem się was tak szybko. W dzisiejszych czasach w centrum trzeba się liczyć z korkami.

David zacisnął pięści.

Pułapka była bardzo prosta i dlatego okazała się skuteczna. Nie mieli wyboru.

Drood zabija Mickeya. Z Richmond udaje się tu, do Little Venice. Wdziera się na barkę, porywa Eve i zmusza Juliana, żeby ten zadzwonił do Richmond. A potem czeka. Wie, że Heaven się odezwie.

Przy odrobinie szczęścia ktoś wymieni imię Juliana. Szukając mordercy, policja podejrzewa każdego, kto się dziwnie zachowuje. A Julian na pewno zachowa się dziwnie, bo jest przerażony i nie ma pojęcia, co tu się właściwie dzieje. Heaven z kolei dzwoni do Juliana, rusza do Little Venice, bo martwi się o niego i Eve.

Nie wiedzieli jeszcze tylko jednego.

– Jak znalazł pan barkę? – wycedził David przez zęby.

Drood uśmiechnął się po ojcowsku.

– Powiedział mi pan Mickey. Zanim umarł.

– Nie wiedział, gdzie mieszkam – mruknęła Heaven.

– Ależ owszem, od samego początku. Cały czas nad tobą czuwał, dziewczyno. Obiecał to twojemu ojcu.

– Nie zdradziłby mnie.

Drood spojrzał na nóż w dłoni.

– Musicie wiedzieć, że każda istota, każde zwierzę i każdy człowiek, zniesie określoną ilość bólu. Uwierzcie mi na słowo, to wielka sztuka wyczuć dokładnie, gdzie znajduje się ta granica. Na jednych wystarczą same groźby, na innych...

– Długo wpatrywał się w ostrze. – Pan Mickey, jak go nazywałaś, był dzielny.

– Zawiesił głos i po chwili cicho kontynuował: – Najlepsze, że po naszej rozmowie liczył, że ci pomogę. Łatwo było go nabrać. – Uśmiechnął się. – Natomiast nie tak łatwo było skłonić go do mówienia. – Pokręcił głową. – Hm. A przecież doskonale wiedział, jak to się skończy.

– Drań – syknął David.

Oczy Heaven zaszczyły łzami. Zachwiała się, kurczowo chwyciła się fotela. Ostatkiem sił zacisnęła pięści.

– Dlaczego pan go zabił? – Jej powieki zatrzepotały jak motyle, którym nie dane jest dożyć końca lata. Drżała na całym ciele.

David wiedział, że Heaven musi natychmiast wyjść na zewnątrz. W panice rozglądał się za czymś, co mogłoby posłużyć jako broń.

– Dlaczego? – wychrypiała Heaven po raz ostatni. Tak mocno zaciskała dłonie na oparciu fotela, że pobielaly jej knykcie.

– Musiałem wam udowodnić, że poważnie traktuję swoje zadanie. – Drood przyglądał się Heaven, jakby nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co działo się wokół niego. – W takiej sytuacji należy sięgnąć po niekonwencjonalne metody.

– Eve jest tuż obok – szepnął Julian. – Tak mi przykro. Nie chciałem was okłamywać, ale Eve... Jest z nią ten drugi. – Z trudem przełknął ślinę, jakby coś stało mu w gardle i utrudniało mówienie. – Jest z nią i... – Nie dokończył.

Drood skinął głową i dodał:

– Biedaczka jest tak przerażona, że nie może nawet krzyczeć. – Ze świstem wciągnął powietrze przez zęby. – Ale wystarczy trupów jak na jeden dzień, przynajmniej moim zdaniem. Jeśli ona mu nic nie zrobi, on jej też nie. – Zerknął na Juliana. – To chyba leży w twoim interesie.

Julian zaklął.

– Chciał ją zabić – powtórzył. – A ona...

Drood był uosobieniem spokoju.

– Groźby, tak się składa, to podstawowe narzędzie w mojej branży.

Heaven z trudem panowała nad sobą.

– Już dobrze, Julian. – Ostatkiem sił wypowiedziała te pojednawcze słowa, potem dopadł ją atak kaszlu. – Prędzej czy później i tak wpadłabym w łapy tego dupka. – Groźnie łypnęła na Drooda. Nagle zaczęła rzeźnić. Brzmiało to okropnie.

– Ciepło tutaj. – Drood cały czas miał na dłoniach czarne rękawiczki. Rozciągana skóra trzeszczała, gdy ruszał palcami. – Nie każdemu odpowiadają takie temperatury.

W klindze odbiło się światło. David spojrział na rękojeść wykonaną z jasnego materiału. Może to kość słoniowa, pomyślał, a może coś innego, nie ma się nad czym zastanawiać.

– To nie temperatura stanowi problem – wysapała Heaven.

– Czyżby?

– Jeśli myśli pan, że...

Drood wpadł jej w słowo:

– Nie znosisz wysokich temperatur – stwierdził, jakby to było oczywiste. Spojrział na Davida. – Bo widzisz, nasza Heaven ma serce, którego miejsce jest na nocnym niebie. – Teatralnie podniósł wzrok. – Tam, na górze, jest bardzo zimno, tak zimno, że serca istot stamtąd nie znoszą upału. – Zrobił komicznie smutną minę. – Co za pech, że na tej łodzi rzeczywiście jest gorąco jak w piekle. – Skrzywił się lekko. – Zdziwiający zbieg okoliczności, prawda?

Heaven była blada jak ściana. David ją objął. Przyglądał się jej uważnie. Spanikowany poczuł pod powiekami łzy. Po raz ostatni wzięła się w garść, a potem

osunęła się na ziemię.

Podtrzymał ją, a później ukląkł i delikatnie ułożył na ziemi.

Myśl, myśl, myśl, zaklinał się gorączkowo.

Pułapka była banalnie prosta. Może więc i wydostanie się z niej okaże się łatwe?

– Czego pan od niej chce? – Wyprostował się, spojrzał gniewnie na mężczyznę w rękawiczkach.

– Jej zimnego serca – wyjaśnił Drood. – Dlatego tak mi na niej zależy.

– Po co panu?

– Nie chcę go dla siebie.

– Tylko?

Drood smętnie pokręcił głową.

– Posłuchaj, to tutaj to nie jest film, który zrelaksowany oglądasz w starym kinie przy Oxford Circus – oznajmił z zadziwiającym spokojem. Uśmiechnął się pogardliwie. – Niby dlaczego miałbym ci tłumaczyć, po co mi jej serce? Nikomu nic z tego nie przyjdzie. Nikomu. – Spojrzał na Heaven. Leżała na podłodze koło Davida i dyszała tak ciężko, że obawiał się, iż się udusi. – Jej też nie. – Zrobił krok w ich kierunku. – Zabiorę ją stąd, a ty nic nie możesz na to poradzić.

David widział nóż w jego dłoni, tańczący w bladym świetle. Srebrzysta klinga była zakrzywiona jak szpon.

– A skoro już o tym mowa. – Drood uśmiechnął się z satysfakcją. – Ja zawsze dostaję to, czego pragnę.

David zobaczył opartą o szafę torbę z kijami golfowymi. Spojrzał znacząco na Juliana. Ten chyba zrozumiał.

– Zostawię was teraz. Dziewczynę zabieram ze sobą.

– Nie! – krzyknął David zdecydowanie.

– Jeśli staniecie mi na drodze, słodka Eve umrze.

Julian zacisnął pięści. Łzy rozpoczy paliły go pod powiekami.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ciszę przeciął krzyk, z sąsiedniego pokoju dobiegło głośnie charczenie, a później do saloniku wpadła Eve. Przewróciła się na ziemię, uderzając w wielką palmę, która zachwiała się niebezpiecznie. Eve znowu krzyknęła – w drzwiach stanął łachmaniarz.

Był większy niż ten, z którym walczyli na cmentarzu Highgate. Wydawał się... świeższy. David wolał się nie zastanawiać, z jakiego grobu wyciągnął go Drood.

Teraz, pomyślał. Dawaj!

Kolejne sekundy były jak amatorskie zdjęcia, nieostre, źle wykadrowane. Julian zrobił krok w stronę Drooda, który spojrzał na niego ciekawie. David skorzystał z chwili nieuwagi przeciwnika, podbiegł do szafki i złapał kij golfowy. Nie wahał się, choć w tej chwili przez głowę przebiegła mu myśl, ile rzeczy może

pójść nie tak: może upaść, kij może utknąć w torbie i tak dalej... Ale nic takiego się nie wydarzyło. Złapał za rękojeść i szarpnął.

Eve na kolanach przepęzła obok łachmaniarza, który ze śmiertelnym spokojem ruszył za nią. Julian tymczasem rzucił się na Drooda. Obaj runęli na ziemię. Drood przypominał mroczny cień, na którego tle koszulka Juliana była barwnymi plamami.

Heaven straciła przytomność. Jej powieki trzepotały, niespokojnie poruszała palcami.

David uniósł kij golfowy nad głową, zamachnął się. Jeśli trafi Drooda w głowę, będzie po wszystkim. Później zajmie się łachmaniarzem. Wziął zamach i uderzył.

I wtedy zobaczył ostrze.

A ściśle mówiąc – srebrzysty błysk, gdy ostrze zbliżyło się błyskawicznie do szyi Juliana.

Łachmaniarz dopadł Eve. Złapał ją. David nie widział dokładnie, co jej zrobił, ale umilkła. Kuliła się na ziemi i szlochała cicho, wpatrując się przez łzy w nieruchomego Juliana.

– Zachciało ci się bawić w bohatera? – syknął Drood. A do Davida rzucił: – Zaryzykujesz, że poderżnę mu gardło?

David wolał nie odpowiadać. Serce waliło mu jak oszalałe. Drood wstał powoli, płynnie, cały czas z ostrzem na szyi Juliana.

– Chcesz odgrywać bohatera, jak nasz przyjaciel? – zapytał ponownie.

– Zostaw go! On nie ma z tym nic wspólnego!

W głosie Drooda brzmiał gniew.

– Miał wykonać tylko jeden telefon, nic więcej. To chyba nie jest trudne. – Z widocznym zniecierpliwieniem wrócił wzrokiem do Juliana. – A później, zamiast spokojnie czekać na koniec tej historii, zachciało mu się odgrywać człowieka czynu!

Julian dygotał na całym ciele, David widział to wyraźnie. Drżał z wściekłości, bezradności, rozpacz.

David cały czas trzymał kij golfowy nad głową. Spojrzał na Heaven, Eve, łachmaniarza. I nagle zimna rączka kija wydała mu się niewyobrażalnie ciężka.

– Czyż nie mówiłem, że nic ci nie grozi, jeśli zrobisz to, co ci każe? – powiedział cicho i pogodnie Drood.

Julian tylko skinął głową. Miał suche, popękane usta.

– No popatrz tylko! – zwrócił się Drood do Davida. – Ech, ci ludzie! Oszukują na każdym kroku, choćby obiecywało się im nie wiem co.

– Proszę go puścić!

Drood nie zwracał uwagi na Davida. Odwrócił się do Juliana i szepnął mu prosto do ucha:

– Jesteś prawdziwym bohaterem, prawda? Zrobisz wszystko, żeby uratować dziewczynę.

Julian spojrział błagalnie na Davida. Przepraszam, krzyczały jego oczy, bardzo, bardzo przepraszam. Robiły się coraz większe, jak głębokie jeziora, o których mieszkańcach David do tej pory miał mgliste pojęcie.

– Jesteś bohaterem? – Drood podniósł głos.

– Nie – wychrypiał Julian.

– Nie?

– Nie jestem bohaterem.

Drood smętnie pokręcił głową.

– A przecież przed chwilą zachowałeś się bohatersko. – Uśmiechnął się.

– Bezskuteczne i głupie, ale jednak bohaterskie. – Mrugnął znacząco do Davida.

– Czyż nie, chłopcze?

Julian oddychał płytko. Tracił przytomność.

Drood pochylił się nad nim.

– Wiesz, jaki los czeka bohaterów. – To nie było pytanie, a jednak je zadał.

– Każde dziecko wie, jaki jest los bohaterów.

Julian ani drgnął.

– Powiedz.

Po twarzy spływał mu pot.

– No, dalej!

Julian plunął mu w twarz.

– Bohaterowie... – Drood spokojnie wytarł twarz – najczęściej umierają bohaterską śmiercią. – Odepchnął Juliana i jakby od niechcienia wbił mu nóż w brzuch. Wszystko działo się tak szybko, że ani David, ani Eve, ani nawet sam Julian nie widzieli tego dokładnie. Nie słyszeli niczego, póki po chwili Julian nie sapnął z niedowierzaniem, gdy zorientował się, co się stało. – Prawdziwi bohaterowie nigdy nie biorą pod uwagę konsekwencji. – Drood puścił ofiarę.

Julian osunął się na ziemię. Przyciskał obie dłonie do rany, ale i tak spomiędzy jego palców tryskała krew. Jęknął, niezdolny cokolwiek powiedzieć.

– A ty, Davidzie? Czy ty także chcesz zostać bohaterem? – zapytał Drood.

– Dla niej? – Ostrze, teraz pokryte czerwonymi plamami, z wdziękiem przecięło powietrze.

David nie zastanawiał się dłużej. Uderzył z całej siły.

Zacisnął dłoń na ręczce kija i myślał o jednym – żeby trafić.

I wtedy Drood zrobił coś, czego David w ogóle się nie spodziewał.

Po prostu wyciągnął rękę i mocno chwycił kij. Jednym szybkim szarpnięciem wyrwał go Davidowi z dłoni. Wiedział doskonale, co robi. Znał się na tym.

David krzyknął ze złości i zaskoczenia.

A potem poczuł, jak obejmują go silne ramiona, jakby dopadła go śmierć we własnej osobie. Łachmaniarz wydzielał słodkomy odór rozkładu.

– Drań! – David zaklął, wyrwał się, ale bezskutecznie.

Heaven leżała bez czucia na podłodze. Eve wrzeszczała na całe gardło, wyrzucając z siebie całą rozpacz. Pod Julianem dywan barwił się na czerwono.

Drood podszedł do Davida, zatrzymał się dopiero wtedy, gdy był tak blisko, że jego oddech, lekko pachnący miętą, owiewał twarz chłopaka.

A potem złapał go za gardło. I zaczął dusić. Dłoń w czarnej rękawiczce była silna jak imadło. David czuł, jak brakuje mu tchu. Miał gwiazdy przed oczami.

– Zaraz, już zaraz – usłyszał ostry głos tuż przy uchu, zdecydowanie za blisko. – Już zaraz zapadnie noc.

W głosie Drooda pobrzmiwało rozbawienie.

Zacisnął dłoń i palce miażdżyły gardło Davida, coraz mocniej i mocniej.

Najpierw – cisza, potem dźwięki dobiegające jakby spod wody.

Dźwięki stały się wyraźniejsze.

Kiedy odzyskał przytomność, Heaven nie było. Poczował powietrze w ustach i w nosie i wciągał je łapczywie, jakby każdy oddech był jego ostatnim. Czuł, jak barka kołysze się lekko na wodzie, wdychał zapach drewna otaczający go ze wszystkich stron, nie wiedział, skąd napływają obrazy, ale domyślał się, że nie umarł.

– David!

Jego imię.

Tak.

David uniósł powieki i zobaczył znajomą twarz.

– Eve? – wykrztusił. Zaszło mu w gardle.

– On się wykrwawia. – Przy każdym słowie wydawało się, że głos jej się załamie. – Umiera! – Dziewczyna była w ciągłym ruchu. W jednej chwili klęczała nad nim, w następnej, gdy tylko nabrała pewności, że nic mu nie jest, była już gdzie indziej.

– Gdzie Heaven? – To było pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy. Zobaczył wnętrze barki i wróciły wspomnienia. Jak długo leżał nieprzytomny? Dźwigał się z trudem.

– Julian się wykrwawia! – krzyknęła Eve.

David otrząsnął się z resztek otępienia.

Rzeczywistość wróciła z pełną siłą, jak nagły cios w żołądek. Odruchowo złapał się za obolałe gardło, tam gdzie ścisnął go Drood.

Przypomniała mu się piosenka *The Stowaway*. *Pasażer na gapę* Yamit Mamo.

That stranger with the haunting face

Here then gone without a trace.

Sam nie wiedział, czemu ta piosenka kojarzyła mu się z Heaven.

Nagle Eve znowu klęczała przy nim.

– David! – Złapała go za ramiona. – Czy ty mnie słyszysz? On umiera! Julian się wykrwawia! – krzyczała. – Umiera! – Uderzyła go w twarz otwartą dłonią, pewnie po to, żeby szybciej doszedł do siebie. – Nie masz czasu. Nie mamy czasu!

Odwrócił głowę i zobaczył, o co jej chodziło.

– Cholera – mruknął. Obrazy atakowały go jak wygłodniałe zwierzęta ofiarę. Adrenalina dodała mu sił, pomogła dźwignąć się na nogi.

Opierał się tej rzece obrazów, szybkim, nieostrym migawkom: Julian na plecach, w kałuży niemal czarnej krwi rozlewającej się po podłodze. T-shirt, który przyciska do rany. Otwarte oczy. Milczące usta.

– Gdzie telefon? – zapytał odruchowo. W pełni wrócił do siebie, rozglądał się po chaosie panującym na barce.

Eve, nagle jak sparaliżowana, patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby pytał o coś bez sensu.

– Telefon! – Teraz to on wrzeszczał.

Płakała, dygotała na całym ciele. W końcu wyciągnęła rękę.

– Tam.

Podbiegł do przedpotopowego aparatu bez kabla wielkości małego radia i wybrał numer alarmowy. Jego palce zdawały się fruwać po klawiszach. Patrząc na Juliana, odruchowo wstrzymał oddech. Przemknęło mu przez głowę, że jemu oszczędzono takiego losu. Dlaczego? Dlaczego Drood go oszczędził?

Cholera, czemu nikt nie odbiera? Przecież to numer alarmowy, a nie infolinia!

Wrócił myślami do Heaven, do Heaven, której nie było. Nie potrafił myśleć logicznie.

Trzask w słuchawce.

Dyspozytorka miała znudzony, rzeczowy głos. Mówił szybko, co się stało, podawał konieczne szczegóły – rana kłuta, głęboka, w brzuch, tak, wygląda bardzo poważnie, bardzo dużo krwi, ciemnej, prawie czarnej, jedyny opatrunek to T-shirt, tak, do cholery, przyślijcie karetkę, i to szybko! Nie, do licha, nie jestem lekarzem, nie mam pojęcia, co pani.... Rozglądał się wokół, jakby myślami był gdzie indziej.

Julian był blady, oddychał płytko. Spomiędzy jego palców cały czas sączyła się ciemna krew. Koszulka przemokła. Całe pomieszczenie wypełniał słodkawy zapach.

Eve szlochała nieprzerwanie. Uklękała koło Juliana, przemawiała do niego, głaskała go po głowie, dotykała zakrwawionego T-shirta, cofała dłonie, jakby materiał parzył. Na jej twarzy widniały zadrapania i rany – zapewne pamiątka po starciu z łachmaniarzem.

David zlekceważył polecenie dyspozytorki, by został na linii. Rozłączył się. Chwilę później klęczał obok Eve.

– Gdzie Heaven? – Z trudem panował nad głosem.

Eve podniosła głowę.

– Zabrali ją ci dwaj. Była nieprzytomna.

– A ty?

Jej oczy znowu zaszły łzami.

– Byłam przy Julianie.

Czuł, jak zalewa go fala wściekłości. Dlaczego nie próbowała ich powstrzymać? Mogła przecież... Wziął się w garść. Nie, Eve nie jest niczemu winna, nikt nie jest winny, oczywiście, że nie, musi wziąć się w garść, musi zachować zdrowy rozsądek.

I co dalej?

Poderwał się z kolan, przechadzał się nerwowo, zatrzymał na chwilę, a potem krzyknął głośno, wykrzyczał gniew w ciszę i wściekle kopał w to, co znalazło się w jego zasięgu: donicę, krzesło, lampę. Chwycił stertę gazet z podłogi i rozsypał po całym pokoju. Opadały na ziemię jak zestrzelone ćmy. Krzyczał dalej, miał wrażenie, że jego ciało rozpada się na kawałki.

Weź się w garść! Tak jej nie pomożesz.

Wiedział o tym, ale nie panował nad sobą. Nie mógł przestać. Miał w głowie jedną myśl: NIE MA JEJ! Zabrali Heaven. Dokąd? Zabiją ją. Wytną jej serce i nikt nigdy się o tym nie dowie.

Miotał się, podbiegł do bulaja, wyjrzał na zewnątrz.

– Co mam robić? Pomóż mi! – Eve zdawała się nie zauważać jego ataku wściekłości. Wpatrywała się w Juliana i coraz większą kałużę krwi na podłodze.

I ten widok przywrócił Davidowi zdrowy rozsądek. Bo w tej chwili zrozumiał, że Eve czuje to samo co on. Mężczyzna, którego kocha, leży na podłodze i wykrwawia się na śmierć, a ona nie ma pojęcia, jak go ratować.

– Posłuchaj, nie możesz dopuścić, żeby stracił przytomność – zwrócił się do niej. Pochylił się nad Julianem. Otwarte oczy patrzyły pusto. David nie był pewien, czy w ogóle go widział. Powieki zdrząły niespokojnie. – Julian? Nie możesz zasnąć, słyszysz? – Wyraźnie wymawiał każde słowo. – Słyszysz? Nie wolno ci zamykać oczu! – O ile pamiętał, tak zawsze mówili w filmach. Ranny pod żadnym pozorem nie mógł stracić przytomności. Musiał doczekać przyjazdu lekarzy.

Tylko że, do cholery, on nie jest lekarzem.

A pod Julianem było tyle krwi.

– Zaraz nadejdzie pomoc – powtórzył.

Lekko położył Julianowi rękę na ramieniu.

– Nie umrzesz – zapewnił go. – Jesteś na to za fajny, uwierz mi.

Julian nie poruszył głową. Zamknął oczy. Oddychał nieregularnie.

– Cholera – mruknął David.

– Kiedy oni w końcu tu będą? – Eve na chwilę podeszła do bulaja, ale zaraz wróciła do Juliana.

David poszukał jej wzroku.

– Skąd mam wiedzieć? – Czuł, że znowu traci panowanie nad sobą. Nie, nie, nie, musi zachować spokój. Od tego zależy życie Juliana.

I wtedy pojawiła się inna myśl, która bynajmniej nie pomogła mu się uspokoić. Razem z lekarzem zjawi się policja, w końcu zgłosił ranę kłutą. Zaczną zadawać pytania, wiele pytań, zwłaszcza kiedy zobaczą bałagan na barce.

A naprawdę nie potrzebował w tej chwili wścibskich gliniarzy.

Jego myśli galopowały.

– Apteczka? – Spojrzał na Eve.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Spojrzał na T-shirt, który przyciskała do rany Juliana. Był przesiąknięty krwią. Potrzebował kawałka materiału, opatrunku, czegokolwiek.

Rozejrzał się po barce. Zobaczył uchylone drzwi szafy. Z tego miejsca widział w środku jedynie ciemność.

Nie marnował czasu. Podbiegł do szafy, wyjął dwa czyste T-shirty, podarł je w biegu, wrócił do Juliana i przycisnął prowizoryczny opatrunek do rany. Spojrzał na Eve.

– Musisz je dociskać z całej siły, staraj się zatamować krwawienie. Czekaj na nich. Ja idę.

Skinęła głową bez słowa.

– Muszę odnaleźć Heaven. – Czuł, jak coś pali go w gardle, gdy dodał: – Bo inaczej zabiją i ją. Chcą jej wyciąć serce.

Eve płakała dalej, ale teraz już ciszej.

– Jej barka jest przy Camden Lock – powiedziała mechanicznym głosem pasującym bardziej do lalki. – Julian ją przeprowadził.

David starł jej łzę z policzka.

– Wyjdzie z tego. Zobaczysz, wyjdzie z tego.

W oddali rozległo się wycie karetki.

Eve podniosła głowę. Na jej twarzy pojawił się cień nadziei.

– Jadą – mruknął David. Złapał ją za ramiona i zawołał: – Eve! – Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. – Wszystko będzie dobrze! – Wiedział doskonale, że to on i Heaven sprowadzili tarapaty na Eve i Juliana. – Przepraszam – szepnął. – Bardzo przepraszam.

Eve z trudem skinęła głową.

– Ale wszystko będzie dobrze, prawda? – Mówiła z wysiłkiem, jakby każde słowo sprawiało jej ból.

– Tak – zapewnił, choć oczywiście nie miał zielonego pojęcia, czy w ogóle

coś jeszcze dobrze się skończy. A jednak czasami trzeba składać puste obietnice. Czasami dzięki kłamstwom można zobaczyć życie takie, jakie jest naprawdę.

Zawodzenie karetki było coraz bliżej. To nie był jeden samochód. David po raz ostatni zerknął na Eve i Juliana. Nowy opatrunek jeszcze nie przesiąkł.

– Znajdź Heaven – powiedziała Eve. Skinęła mu na pożegnanie.

– Powodzenia – odparł. – I do zobaczenia.

Kolejne, być może, kłamstwo.

Kiedy ostre światła ambulansu były już bardzo blisko, ukradkiem zbiegł z pokładu. Czuł się fatalnie, że zostawia Eve samą, ale nie miał innego wyjścia. Gdyby policjanci zastali go na barce, do rana odpowiadałby na komisariacie na ich pytania – na pytania, na które nie mógł odpowiedzieć. Zatrzymaliby go na nie wiadomo jak długo. Nikt nie uwierzyłby w to, co miał do powiedzenia.

Wybiegł na pokład i po rozgrzanym wnętrzu zimno uderzyło go jak nigdy dotąd. Już dawno zapadł zmierzch. Widział ślady – z nabrzeża w stronę Bloomfield Road, zaraz jednak zniknęły przy koleinach zostawionych przez koła samochodu.

A więc zanieśli Heaven do samochodu i odjechali w stronę Edgware Road. Tam trop się urwie, mogli pojechać dosłownie wszędzie.

Czuł, jak uginają się pod nim kolana. Za plecami słyszał, jak dwa samochody skręcają z Warwick Avenue i z piskiem opon zatrzymują się przy barce. Zawodzenie syren umilkło.

David przywarł do muru, aż poczuł zapach bluszczu na szorstkiej ścianie. Poczul lekkie drżenie w powietrzu i nerwowo zaczerpnął tchu. Tuż obok niego na cienkiej gałązce przysiadł ptak. Przyglądał mu się ciekawie ślepiami ciemnymi jak guziki. Miał kolorowe, egzotyczne upierzenie. Czasami w mieście widywało się zwierzęta, które wyglądały, jakby uciekły z zoo.

Dobiegające z barki odgłosy przywodziły na myśl sceny, które znał z telewizji: szybcy ratownicy medyczni, ciekawi policjanci, czarno-żółta taśma policyjna, która oddziela miejsce przestępstwa. Tak bardzo liczył, że to, co obiecał Eve, okaże się prawdą.

Chwilę później odważył się wyrzeć z cienia na Edgware Road, tam gdzie urywał się ślad opon. Przez dłuższą chwilę stał i obserwował ruch uliczny. Reflektory przecinały zasłonę śnieżnych płatków. Lada chwila zapadnie zmrok.

W końcu ruszył w drogę. Biegł Edgware Road, skręcił w Marylebone Road. Biegł, jakby to stanowiło rozwiązanie jego problemów. Zimno paliło go w płucach, śnieg osiadał na włosach. Biegł, biegł, coraz dalej.

Ze wszystkich stron otaczały go samochody i ludzie. Jedna ulica przechodziła w kolejną. Nagle Londyn wydał mu się przerażającym molochem, ogromnym, wygłodniałym potworem pożerającym ludzi żywcem. Miał przed sobą ciemne miasto, ponure jak nigdy, bo stracił coś, co wносиło w jego życie światło.

Usiłował zachować spokój, ale nie wychodziło mu to najlepiej. Zamknął

oczy, odetchnął głęboko. Dokąd ją zabrali?

Przypomniał sobie piosenkę, którą słyszeli w taksówce. *The Stowaway*. Zalewie dwa wieczory temu. Wyobraził sobie Heaven: jej uśmiech, ciemne oczy, słowa, to, czego się o niej dowiedział. To, co sobie opowiadali, było dla niego zlepkiem przypuszczeń i domysłów, których chwyta się człowiek stojący na skraju przepaści.

Drood to tylko wykonawca, sam powiedział. Jego zleceniodawcą jest ktoś inny. Ale kto? Dokąd Drood zabrał Heaven? Zależało mu na jej sercu, tak, ale gdyby mógł je po prostu wyciąć, jak to zrobił z poprzednim, załatwiłby to na barce.

Ale nie załatwił.

Czyli...

Czyli co?

Czyli nie mógł go po prostu wyciąć z ciała, jak to zrobił na dachu? Czy dlatego nadal żyła? Czy miał ją zabrać do wyznaczonego miejsca, w którym tajemniczy zleceniodawca wyjmie jej serce z piersi? A jeśli tak, to gdzie jest to miejsce? Czy to jakiś szpital?

Westchnął głośno. Nie miał pojęcia. Nie znajdzie jej, mając tylko przypuszczenia. Potrzebował pomocy.

Ale skąd ją wziąć? Do kogo się zwrócić?

Richmond, krzyczał wewnętrzny głos. Pan Mickey co prawda nie żył, ale prosił, żeby David przekazał coś Heaven – gdyby wpadła w tarapaty, miała iść do Canary Wharf.

Canary Wharf.

David domyślał się mniej więcej, kogo tam spotka. I uznał, że to najlepszy pomysł, jaki tego dnia przyszedł mu do głowy.

W Canary Wharf miały swoje siedziby wielkie banki i zarządy potężnych koncernów. Jeśli jego rozumowanie było słuszne, tam również znajduje się biuro firmy, którą ojciec Heaven założył ze współnikiem, panem Simsem, opiekunem Heaven. Być może to arogancki bogacz, ale na pewno ma dość kontaktów, by pomóc mu odszukać dziewczynę. Że już nie wspomni o tym, że ma dość drobnych, by to wszystko sfinansować.

David nie tracił czasu. Biegł przez nadciągającą noc tam, gdzie nad Londynem nie było nieba.

ROZDZIAŁ 16

PASAŻER NA GAPE

Żaden z klientów kafejki internetowej Portland Place nie podniósł nawet głowy, gdy do środka wpadł chłopak w brudnej czarnej kurtce, z rozczochranymi włosami, zdyszany, i jak wariat rzucił się do pierwszego wolnego komputera.

Londyn jest pełen dziwaków, jeden mniej czy więcej nie robi specjalnej różnicy.

David także się nie rozglądał. Nie chciał marnować ani chwili.

No, dalej! Jego palce śmigały po klawiaturze. Po chwili na ekranie pojawiły się pierwsze dane.

Przebiegł wzrokiem informacje, z których część już znał: Juno Sims, szef Sims Enterprises, dawniej znanej jako Mirrlees & Sims Waist Company. Główny producent klasycznych angielskich tkanin.

Bla, bla, bla.

Adres! Dane kontaktowe! Kliknął zakładkę.

W końcu!

Siedziba firmy znajdowała się na One Canada Square. Znał ten budynek – błyszczący, migotliwy kloc, obelisk ze stali i szkła, znany też jako wieża Canary Wharf. Wznosił się nad starym miastem jak niechciany intruz.

David rzucił banknot na stół i po chwili wybiegł na zewnątrz.

Minęło dobre pół godziny, zanim dotarł do celu, a jemu wydawało się, że trwało to całe wieki. Nie chcąc tracić czasu, mimo wewnętrznego oporu przyjechał linią Jubilee aż do stacji Canary Wharf, do szklanego molocha, w którym kotłowały się tłumy anonimowych pracowników korporacji. Całą wieczność czekał na metro, a kiedy w końcu przyjechało, David miał wrażenie, że zatrzymuje się na większej liczbie stacji niż zazwyczaj.

Teraz wreszcie znajdował się wśród nowoczesnych wieżowców, które wyrosły jeden przy drugim na Isle of Dogs. Biurowce były jasno oświetlone, jakby chciały udowodnić całemu światu, że wcale nie są puste i zimne, jak od lat powtarzają londyńczycy. Otaczało go morze szkła i stali, marmuru i granitu. Rozlało się tu, nad Tamizą, na wąskim skrawku lądu, gdzie dawniej tłoczyły się magazyny portowe, suche doki, stocznie i nabrzeża; było to magiczne miejsce, to tutaj przybijały statki z najdalszych zakątków imperium, tutaj wyładowywano owoce i warzywa z Wysp Kanaryjskich, przywożono jednak nie tylko smakołyki, ale też barwne opowieści, powtarzane w barach i portowych spelunkach.

To wszystko już minęło.

Bo wtedy, mniej więcej osiem lat przed tym, jak znad Londynu zniknęło niebo, ówczesni władarze miasta i pani premier, uparta kobieta, która nigdy się nie uśmiechała, zabrali się do przekształcenia starych doków w znany dzisiaj bezduszny krajobraz. I tylko barwne nazwy uliczek w wąskich zaułkach przypominały dzisiaj egzotyczną przeszłość, która stanowiła pożywkę dla marzeń o podróżach i egzotyce.

David nigdy tu nie był, podobnie jak zapewne większość londyńczyków. Pracownicy firm jak najszybciej uciekali z tej okolicy przed zimmem, pustką, ciemnością. Mówiło się, że w weekendy nie uświadczysz tu żywej duszy; nawet psy, którym ten półwysep niedaleko londyńskiej Tower i dzielnicy Whitechapel zawdzięczał starą nazwę, zniknęły ze sztucznej pustyni.

David biegł, nie zwracając uwagi na egzotycznie brzmiące nazwy ulic: West India Docks, East India Docks, Royal Victoria Dock, George V Dock. Wieżowce też nosiły dźwięczne nazwy: Riverside South Tower, North Quay Tower, Heron Quays West Tower 2.

Mijały go tłumy młodych pracowników korporacji; niektórzy szli jeszcze szybciej niż on. Po odśnieżonych ulicach sunęły drogie samochody, a na to wszystko padał śnieg i to chyba wydawało się Davidowi najdziwniejsze. Jak zimowa baśń w świecie, w którym dla bajek nie ma miejsca.

Nie obawiał się, że zabłądzi. Nie sposób nie zauważyć potężnego wieżowca. Wznosił się jak nagrobek nad morzem postmodernizmu i manii wielkości.

Myślał o Heaven, o tym, co się z nią dzieje, być może nawet w tej chwili. Jak mógł do tego dopuścić? W głowie wirowały mu fragmenty tej całej historii. Co chwila pojawiały się nowe pytania. River Mirrlees nie była zwykłą kobietą; umierając, przekazała córce coś, co nie przyniosło jej szczęścia. Czy wiedziała, że tak się to skończy? Nie mógł sobie tego wyobrazić.

Odruchowo spojrział w niebo. O dziwo, akurat Isle of Dogs znajdowała się w tej części miasta, nad którą wróciło niebo. Widział gwiazdy i cały firmament. Powiedzenie, że tutaj noc jest ciemniejsza niż gdziekolwiek indziej w Londynie, brało się stąd, że w Canary Wharf, mimo niezliczonych okien, szkła i przestrzeni, życiu brakowało prawdziwego światła.

W końcu dotarł do Canary Wharf Tower, tego przypominającego obelisk wieżowca o wysokości ponad dwustu trzydziestu pięciu metrów. Budynek był kwintesencją symetrii; żadnych niedoskonałości, nierówności, skaz.

David miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą, gdy wchodził do holu. Otoczył go blask i zapach czystości. Poczul na twarzy ciepłe powietrze. Otaczający go ludzie, poruszający się w mniejszym lub większym pośpiechu, mieli takie same ponure twarze. Wydawali się szarzy, niebezpieczni i bardzo ważni. Najważniejsi. Przy szeregu srebrzyście połyskujących wind zawieszono wielkie tablice z informacjami o firmach mających siedziby w budynku.

Stracił dwie minuty, zanim wypatrzył logo Sims Enterprises. Dwudzieste i dwudzieste pierwsze piętro.

Zerknął za siebie. Obserwował go portier i dwóch strażników. Mieli poważne miny, a ubrania, które nosili, kosztowały chyba więcej niż wszystko, co David miał w szafie razem wzięte.

Zastanawiał się szybko. Nie trzeba mu teraz nowych kłopotów, i tak już zwrócił na siebie uwagę. Odwrócił się na pięcie i podszedł do recepcji.

Oznajmił, że chce się widzieć z panem Junonem Simsem z Sims Enterprises. Nie, to nie jest sprawa służbowa, chodzi o sprawę prywatną wielkiej wagi.

Recepcjonista wykonał krótki telefon, mruknął coś niewyraźnie i pozwolił mu przejść. Mógł jechać na górę.

David spojrział na ochroniarzy i podszedł do windy. Wcisnął zimny, gładki guzik i czekał niecierpliwie.

Wreszcie drzwi rozsunęły się i ze środka wylał się strumień bardzo ważnych biznesmenów. Nie zwracali na niego uwagi. Pewnie tak samo czują się londyńscy bezdomni.

David wszedł do windy. Pachniało elegancją. Na ścianach były lustra, z głośników ukrytych w suficie płynęła elektroniczna muzyka, a w powietrzu unosił się zapach odświeżacza.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Miał ciemne cienie pod oczami, był bladej jak ściana. Dobrze chociaż, że zaschła krew na czarnej kurtce. Zresztą teraz nie będzie zwracać sobie głowy tym, czy zrobi dobre wrażenie.

Miał tylko nadzieję, że pan Mickey się nie mylił, kiedy w Richmond wysłał go do Simsa. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że pieniądze mogą wszystko.

Chwilę później był na górze. Drzwi windy otworzyły się i David znalazł się w eleganckim i luksusowym wnętrzu. Sekretarka, która wyglądała, jakby można ją było zamówić z katalogu (wersja Kompetencja – nigdy cię nie zawiedzie), zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Pan do pana Simsa? – rzuciła nonszalancko, choć David jeszcze nawet nie otworzył ust. Jeśli wierzyć identyfikatorowi, miała na nazwisko Willenbrock.

– To ważna sprawa – odparł.

– Jak zawsze, jak zawsze – mruknęła. Uśmiechnęła się, pokazując nieskazitelnie białe, równe, groźne zęby.

David najwyraźniej użył niewłaściwych słów. Zaczął jeszcze raz:

– Czy mogłaby pani łaskawie...

Pani Willenbrock spojrzała ostentacyjnie na swój złoty zegarek – chyba chciała przede wszystkim pokazać go Davidowi, który z kolei pomyślał idiotycznie, że ciekawe, czy zegarek jest w zestawie.

– Może pan przynajmniej krótko powiedzieć, o co chodzi?

– Proszę mu powiedzieć, że przysłała mnie Freema Mirrlees.

Pani Willenbrock łypnęła znad kanciastych oprawek okularów. Na jej czole nie było ani jednej zmarszczki i przez to jej twarz wydawała się dziwnie pozbawiona wyrazu.

– Przysyła pana Freema Mirrlees?

– Tak.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Pan Sims już wyszedł – oznajmiła. Najwyraźniej uznała, że sprawa na tym się kończy.

David zrobił krok do przodu. Poczuł, jak znowu wzbiera w nim pałaca wściekłość. Ta cholerna koza nie miała pojęcia, co tu jest grane, choć pewnie nawet gdyby powiedział, że stawką jest życie Heaven, na jej twarzy naszprycowanej botoksem nie pojawiłyby się żadne emocje.

– Więc kiedy? – zapytał z podejrzanym spokojem. – Kiedy mogę się zobaczyć z panem Simsem?

Pani Willenbrock wbiła wzrok w monitor, powoli przeglądała terminarz.

– Za trzy tygodnie – oznajmiła w końcu.

Miał tego dość.

– Do cholery, czy pani w ogóle nie słucha? To ważne! – Z taką siłą kopnął w kontuar, że rozlała się kawa recepcjonistki z piekła rodem.

– Co pan! – krzyknęła oburzona. Nie dał jej dokończyć.

– Niech się pani w końcu zamknie, bo... – Urwał, pochylił się nad kontuarem, uderzył pięścią w monitor. – Muszę się z nim zobaczyć, czy to tak trudno zrozumieć?

Pani Willenbrock przemyślała sytuację.

– Wybiera się na ważne spotkanie – warknęła. – Pięć minut temu zjechał do garażu. Jeśli pan się pospieszy, może złapie go pan przy samochodzie.

David łypnął na nią groźnie.

– Proszę do niego zadzwonić! – wrzasnął, chwycił ją za ramię i potrząsnął.

Twarz sekretarki pozostawała bez wyrazu, ale w jej oczach David widział panikę.

Puścił ją, zawrócił do windy, odczekał niekończącą się minutę, aż drzwi stanęły otworem. Wbiegł do środka, pokonał dwadzieścia jeden piętér w dół. W końcu drzwi znowu się otworzyły. Biegł przez hol, minął czekających na niego ochroniarzy, wypadł na dwór. Odprowadzali go podejrzliwym wzrokiem.

Rozejrzał się w prawo i w lewo.

Tam!

Z podziemnego garażu wyjeżdżała limuzyna. Nie wiedział, czy to naprawdę samochód Juno Simsa, ale to nie miało znaczenia. Mógł się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Rzucił się pod samochód.

Śnieżną ciszę przeciął wściekły dźwięk klaksonu i pisk hamulców.

Samochód zatrzymał się tuż przed Davidem. Szofer uchylił okno.

– Ej ty, łachudro, z drogi! – krzyknął.

David otrzepał się ze śniegu.

– Czy to samochód pana Junona Simsa? – zapytał bez tchu.

– Spadaj, mały!

– To ważne! Proszę mu powiedzieć, że chodzi o Freemę. – Usiłował zajrzeć do środka auta – bezskutecznie. Przydymiona szyba oddzielała tylne siedzenie od szofera.

Za plecami usłyszał głośny krzyk. Zerknął za siebie. Cholera! Z przeszkłonych drzwi wypadli dwaj ochroniarze. Obaj trzymali dłonie na kaburach. No tak, brakowało mu jeszcze tylko domorosłych szeryfów.

– Chodzi o Freemę Mirrlees! – krzyknął i pochylił się nad drzwiami, nie zwracając uwagi na rozwścieczonego szofera. To jego jedyna szansa – może pasażer na tylnym siedzeniu coś usłyszy. – Freema ma kłopoty! – krzyczał. – Musi pan jej pomóc...

Przydymiona szyba opadła z cichym pomrukiem. Na tylnym siedzeniu siedział mężczyzna o rzadkich włosach. Przygadał się Davidowi ciekawie. Jego wąska twarz sprawiała, że robił wrażenie oschłego. Miał najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek widział. Niełatwo było oszacować jego wiek, ale z pewnością był to ten sam mężczyzna, którego oglądał na filmiku w internecie.

– Freema Mirrlees? – zapytał z akcentem tak brytyjskim, jak sygnał BBC.

David skinął głową.

– Pan Sims?

– Freema cię do mnie przysłała?

– Tak.

– Wsiadaj, chłopcze.

Drzwi się otworzyły.

Ochroniarze wyhamowali przy samochodzie, nie bardzo wiedząc, co dalej. Szofer machnął gniewnie ręką. Wymienili znaczące spojrzenia, wyraźnie rozczarowani, że nie mogą wkroczyć do akcji.

David opadł na skórzane siedzenie. Po chwili samochód ruszył z miejsca, tak miękko, że prawie tego nie zauważył. Nie słyszał warkotu silnika; ciszę zakłócał jedynie jego ciężki oddech.

Ubrany w ciemny garnitur Sims pochylił się i wyjął z minibarku przy jego siedzeniu dwie szklanki.

– Napijesz się?

– Wody, poproszę! – David jeszcze ciągle sapał głośno.

Sims wyjął butelkę, otworzył, nalał wody do szklanki i podał mu.

– Nazywam się Juno Sims – przedstawił się i wyciągnął rękę. – Już od

dłuższego czasu usiłuję skontaktować się z Freemą. Zwłaszcza odkąd dowiedziałem się o panu Jonesie. Szczerze mówiąc, bardzo się martwię.

Chwilę trwało, zanim do Davida dotarło, że opiekun Heaven mówi o panu Mickeyu z Richmond.

– David – przedstawił się.

– Bez nazwiska?

– Bez.

Samochód mknął między wieżowcami. David upił łyk wody. Zaszło mu w gardle.

– Dlaczego tu jesteś? – Sims przyglądał mu się uważnie.

David się zawahał. Sims nie wyglądał na takiego, który mu uwierzy, jeśli nie przedstawi mu żelaznych faktów. Do takich jak on przemawiają jedynie pieniądze i liczby. Ale nie miał wyboru, musiał spróbować.

– Nieważne, dokąd pan chciał jechać – zaczął szybko. – Freemę porwano.

Sims uniósł brew.

David upił kolejny łyk i zaczął opowiadać: o Droodzie, barce, napaści. Na wszelki wypadek nie wspominał o łachmaniarzu ani o tym, co spotkało Heaven na dachu.

Sims słuchał w milczeniu, a limuzyna przebijając się przez korki Whitechapel. Davidowi wydawało się, że poblądł odrobinę.

– Freema jest bogata – rzekł zamyślony, gdy David skończył. – Być może zbyt bogata, by jej to wyszło na dobre. Razem z jej ojcem doprowadziliśmy Sims Enterprises do rozkwitu. Wiedziałeś, że ma miliony? W czasach kryzysu nie można o tym zapominać, nawet jeśli chwilowo człowiek radzi sobie bez pieniędzy.

David przyglądał mu się z niedowierzaniem. Co on opowiada? W ogóle go nie słuchał?

– Freemę porwano, do cholery! – krzyknął. – A pan mi plecie o jej pieniądzach? Mówił pan, że ma miliony? Więc niech pan coś zrobi! Niech pan jej szuka! W końcu pieniądze nie mają znaczenia, tak?

Sims przyglądał się swojemu odbiciu w szybie.

– Cóż, tu akurat muszę przyznać ci rację. – Sięgnął po blackberry, wybrał numer i czekał.

W radiu podano wiadomość, że przy Westminster Bridge, na ławce parkowej, znaleziono zwłoki, które niedawno wykradziono z cmentarza St. Paul's.

David od razu pomyślał o łachmaniarzu.

Telefon wydał cichy dźwięk.

Ktoś odebrał, coś mówił. Sims tylko kiwał głową. Zmierzył Davida poważnym spojrzeniem, skończył rozmowę i powiedział:

– To był pan Scrooge. Domyślam się, że go znasz.

David gapił się na niego. Poczul, jak przesywa go prąd.

– Pan Scrooge, Drood, Heep – ciągnął Sims. – Bardzo lubi zmieniać nazwiska. – Uśmiechnął się dobrotliwie. – Ale to cię nie dziwi, prawda? Cóż, teraz masz wybór, możesz wysiąść albo mnie wysłuchać. Nikt cię do niczego nie zmusza.

– Niech pan mówi – mruknął David. – Słucham.

Co innego mógł zrobić?

– Kochasz Freemę? – zapytał, choć właściwie to nie było pytanie.

– To nie pana sprawa – odparł David spokojnie.

– A więc jednak. – Sims z zadowoleniem skinął głową.

– Czego pan ode mnie chce? – David popatrzył na zewnątrz. Po prawej stronie mijali imponująco oświetloną Tower, przejechali Tower Bridge, kierowali się do Southwark.

– Chcę, żebyś mnie wysłuchał.

– Tylko tyle?

– Więcej, niż ci się wydaje – odpowiedział i upił łyk wody.

– Mam jakiś wybór?

– Jak powiedziałem, możesz wysiąść. – Błękitne oczy rozbliły się. – W każdej chwili.

– W porządku – mruknął David.

Sims odstawił szklanekę do minibarku.

– Masz zapewne wiele pytań.

To akurat była prawda.

– Zna pan Scrooge’a?

– Tak.

– A więc to pan jest jego zleceniodawcą.

– To nie jest pytanie.

– Nie.

– Pan Scrooge pracuje dla mnie. O tak, znam go od dawna. Jego i jego liczne nazwiska. – Pochylił się nad Davidem i szepnął: – Ale cóż znaczą nazwiska?

Co on gada, do cholery?

– Odebrał pan jej serce – powiedział.

– Tak. – Sims spoważniał. – Niestety, nie mam swojego – wyznał.

– I dlatego korzystam z usług pana Drooda. Co trzy–cztery lata wyrusza w miasto i szuka mi zdrowego serca. – Pochylił się lekko.

David przewiercał go wzrokiem.

– Ty... draniu.

– Nie feruj wyroków, kiedy nie znasz faktów – upomniał go spokojnie Sims.

– Mordował pan ludzi.

– Tak.

– Żałuje pan?

– Czy postąpiłbym inaczej? – Sims pokręcił głową. – Nie – odpowiedział sam sobie. – Zdecydowanie nie. Nie żałuję niczego, co zrobiłem.

– Zamordował pan Jonathana Mirrleesa? To pan spowodował jego wypadek?

– Nie! – Wydawał się oburzony. – Jonathan był moim przyjacielem. Najlepszym!

David czuł, jak wszystko w nim zbija się w bolesny węzeł. Obracał w dłoniach pustą szklankę i nie wiadomo dlaczego pomyślał o Kelly. A później o tym, co usłyszał od pana Merryweathera. Czy dzisiaj jest ten dzień, gdy dojdzie do wniosku, że lepiej było nie kochać? Czy dzisiaj jest ten dzień, gdy utraci Heaven?

Światła Tower Bridge zostały w tyle.

– Ale pan Mickey... Kazał pan go zabić. Heaven go kochała.

Sims skinął głową.

– To niestety prawda – mruknął smutno. – Mógł to wszystko ułatwić. Wystarczyło, żeby wczoraj zatrzymał cię w Richmond, a potem ja zająłbym się wszystkim. – Westchnął. – Ale Jones popełnił błąd. Pozwolił ci odejść. – Potarł swój wąski, długi nos. – Jones, podobnie jak Jonathan, uważał z uporem, że Freemy nie można ograniczać.

– Jest pan z gruntu zły. – David nie znalazł lepszego określenia.

– A kto nie jest? Ale staram się też czynić dobro.

David roześmiał się gorzko. Jakby finansowanie organizacji dobroczynnych miało zmienić fakt, że mordował ludzi.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego to wszystko?

Sims patrzył na rozświetlone miasto.

– Czy zdarzyło ci się patrzeć w górę, w gwiazdy, i zastanawiać się, jakie cuda kryją się tam, wysoko? – Jasne oczy rozbliły, gdy dodał: – Istnieją światy tak piękne, że umierasz na samo wspomnienie. – W jego głosie pojawiły się nuty smutku. – Wiesz, jakie to uczucie stracić swój świat?

David nie odpowiadał.

– Wyobraź sobie świat, którego nie sposób sobie wyobrazić – ciągnął Sims. – Świat zamieszkały przez poetów, świat, w którym każdego dnia powstają nowe cuda. – Niebieskie oczy zalśniły z rozmarzenia, zaraz jednak wspomnienia zgasiły ten blask. – Ale i taki świat można zniszczyć. Zawsze to samo. Żądza władzy i niszczenia piękna to cecha nie tylko ludzi, także innych istot. – Machnął lekceważąco ręką. – Ale w tej chwili to nieważne. Liczy się jedynie to, że ten świat, który kiedyś był mój, został zniszczony wskutek strasznej wojny. Gdyby istniał do dzisiaj, mógłbyś go zobaczyć. Dobry teleskop pozwoliłby ci dostrzec jego blask, bo to był świat pełen światła. – Westchnął. – Wszystko, co tam żyło, zmieniło się w kamień i teraz szybuje przez nieskończone przestrzenie galaktyki. – Spojrzał Davidowi w oczy. – Kiedy go straciłem, byłem bardzo młody.

Nieszczęśliwy. – Szukał wzrokiem dawno nieistniejących światów. – Byłem wielkim głazem. Uciekałem. Tak, wyobraź to sobie. Zbliżałem się do Ziemi otoczony ogniem. Spadałem. – Zmarszczył czoło i nagle wydawał się bardzo, bardzo stary. – Spadałem, pamiętam to doskonale, i rozpaczliwie chciałem przytrzymać się skrawka nieba. Poczulem ból, firmament pękł i razem ze mną runął na ziemię.

– Pan jest kometą? – David myślał gorączkowo. Czy to wszystko może być prawda?

– Byłem kometą.

– A co to za różnica?

Sims zerknął na niego niecierpliwie.

– Odzyskałem przytomność w Hammersmith – kontynuował. – W tym ciebie. Jako człowiek, niemłody, ale i niestary. – Roześmiał się, jakby opowiedział świetny kawał. – Bo widzisz, wszystko, co trafi na ziemię, musi przybrać żywą postać.

David przypomniał sobie gwiazdę spadającą nad Bloomsbury. Przez chwilę wydawało mu się wtedy, że zmieniła się w ptaka, który z rozpostartymi skrzydłami poszybował do Marylebone. Czyżby wzrok go wtedy nie mylił?

– Chce pan powiedzieć, że pan naprawdę był kometą?

– Czy to takie dziwne? – mówił ze śmiertelną powagą. – Porwałem za sobą skrawek nocnego nieba. Niechcący, to się po prostu stało.

Zatem to był ten brakujący fragment historii, którego istnienia David domyślał się od dawna. Przypomniał mu się jaskrawo ubarwiony ptak wśród bluszczu. I gwiazdy, raz po raz spadające nad Londynem.

– Domyślałem się, że i ten skrawek nieba wędruje po Londynie w nowej postaci. Ale jak miałem go odnaleźć?

– A po co w ogóle chciał go pan odnaleźć?

– Skrawek nocnego nieba, który spadł na ziemię, miał serce. A ja byłem słaby, bo właśnie tego mi brakowało, a bez serca żadne stworzenie nie może żyć. – Jego oczy pociemniały. – A więc zdobyłem ludzkie serce. Serce młodego mężczyzny, który z dziewczyną wracał do domu. Zabiłem ich, wyrwałem mu serce gołymi rękami i sobie przywłaszczyłem.

David nie pytał dalej.

– I dopiero wtedy zacząłem naprawdę żyć. Stworzyłem sobie nową egzystencję. My, komety, umiemy kłamać. A Londyn to miasto, w którym wszystko jest możliwe. Bez najmniejszego problemu można zdobyć fałszywy dowód tożsamości i takie życie, jakiego zapragniesz. Tu wszystko jest dziecinnie łatwe. Zacząłem pracować. Przybrałem cudzą tożsamość.

– Nie nazywa się pan Juno Sims?

Pokręcił głową.

– Juno Sims umarł dawno temu, ja tylko ponownie przywróciłem go do życia. Ale to w kółko ta sama gra, więc w pewnym sensie jestem nim.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył ze śmiechem. – Bo chciałem żyć. Davidzie, życie jest wspaniałe. Pogodziłem się z myślą, że teraz to mój świat. Jest tu tyle wspaniałych rzeczy, których do tej pory nie znałem. Pory roku, sushi, motyle, seriale, teorie spiskowe.

– Davida zamurowało.

– Samochód skręcił w St. Thomas Street.

– Żyłem tak samo jak ludzie wokół mnie. I przestałem szukać elfa.

– Jakiego elfa?

– Znowu się śmiał.

– Kiedy na ziemię spada kawałek nieba, staje się elfem, wszyscy o tym wiedzą. Wiele z tego, co spada na ziemię, zmienia się w istoty magiczne. Ale nie wszystkie mogą wrócić na górę.

– Davidowi przypomniały się wszystkie istoty magiczne znane z książek i filmów: wampiry, wilkołaki, demony, postacie z bajek – czyżby ich pochodzenie było zupełnie inne, niż twierdzą odwieczne przekazy?

– Sims mówił dalej:

– Ale pewnej listopadowej nocy właśnie to nastąpiło – kawałek nieba wrócił na firmament nad Londynem. I tego dnia wszystko się zmieniło.

– David pomyślał o dniu urodzin Heaven i słuchał, nie przerywając. Nagle zachciało mu się spać. To pewnie adrenalina. Za dużo się działo. Opowieści o elfach i nieśmiertelnych, o niebie i ziemi.

– W tej chwili zrozumiałem, że niebo, które przeze mnie spadło na ziemię, wróciło do domu. Elf, którego nigdy nie odnalazłem, umarł.

– Skąd pan wiedział?

– To oczywiste. Wszystkie media trąbiły tylko o tym. Oczywiście ludzie nie mieli pojęcia, jak do tego doszło. – Roześmiał się pogardliwie. – Widzieli jedynie, że dziura w niebie, choć mniejsza, ziała nadal. – Spojrzał przyjaźnie na Davida. – To, co oni postrzegali jako problem, było moją szansą. Bo skoro na niebo wrócił tylko kawałek firmamentu, gdzieś na ziemi zostało serce elfa. A to z kolei oznaczało... – urwał na chwilę – że na świat przyszło dziecko, którego ojcem był zwykły śmiertelnik. – Uśmiechnął się, jakby to było rozwiązanie wszystkich jego problemów. I tak było, David już to wiedział. Wszystko układało się w całość, spójną, przerażającą całość. Kometa w ludzkiej postaci całe swoje ludzkie życie szukała elfa, River Mirrlees, ale bezskutecznie.

– Pociągnąłem za sznurki, żeby ustalić, kto umarł tamtej nocy. A konkretnie, ile kobiet umarło w połogu. Tylko na tym opierała się moja teoria. – Przyglądał się Davidowi, jakby chciał się upewnić, że ten nadal go słucha. – Ustaliłem, że niejaki

Jonathan Mirrlees ożenił się z River, kobietą o nieznannej przeszłości. Była tajemnicza, ciemna i piękna, jak elf nocy. Wszystko się zgadzało: River zmarła tamtego dnia. Jedno tylko mi nie pasowało: jej dziecko, córka, wydawała się całkiem normalna. Miała zwykłe serce. Tylko jedno. Nie miała serca nieba.

– Skąd pan to wiedział? Jak można to ustalić?

– Serce nieba jest zimne, bo świat nieba jest lodowaty.

– A to drugie serce?

– To było zwykłe ludzkie serce – zapewnił. – Pełne ciepła i tego wszystkiego, co kryje się w ludzkich sercach.

– Ale pan i tak miał na nią oko.

Juno Sims skinął głową.

– Woląłem zyskać pewność. Bardzo szybko zdobyłem zaufanie Jonathana. Minął rok od śmierci River. Ludzie samotni rozpaczliwie szukają kogoś, komu mogliby zaufać.

– Został pan jego współnikiem.

Roześmiał się.

– Oczywiście.

I nagle David zrozumiał, co się wydarzyło. Heaven opowiadała o badaniach, o podejrzeniu wady serca. To zapewne sprawka Simsa. Może przekupił lekarzy, żeby twierdzili, że to konieczne.

Sims patrzył w okno.

– Mijał czas, a z każdym kolejnym rokiem utwierdzałem się w przekonaniu, że River Mirrlees nie była jednak elfem. Jej córka wydawała się normalną dziewczyną.

– Jak pan się dowiedział?

– Że we Freemie bije serce nieba?

– Tak.

– Dowiedziałem się przypadkiem dopiero dwa dni temu. Odkąd zamieszkałem w Londynie, Drood dostarcza mi serca. Nie wie, do czego są mi potrzebne. Nie wie, kim naprawdę jestem. Drood nie zadaje pytań. Już od bardzo dawna mieszka w tym mieście, a jeśli w Londynie można się czegoś nauczyć, to tego, że w pewnych sytuacjach nie należy zadawać zbędnych pytań, jeśli chce się dużo zarobić.

Davida przeszył dreszcz, gdy wyobraził sobie, że mężczyzna w czarnych rękawiczkach więzi Heaven. To odbierało mu resztki sił, zamazywało obraz przed oczami, ale przez mgłę strachu i niepokoju przebijała się jedna myśl. Wyjrzał przez okno, spojrzął w niebo, zobaczył znajomą pustkę i odetchnął z ulgą. Bo jeśli Sims miał rację, Heaven żyje. Serce jej matki nadal bije w jej piersi.

Sims już nie zwracał na niego uwagi.

– Co pewien czas, co trzy–cztery lata – podjął przerwana opowieść – pan

Drood wyruszał na łowy. Brał sobie do pomocy trupa i szukał żywego, zdrowego serca. Jeśli chodzi o te sprawy, nie ma lepszego tropiciela niż nieboszczyk – zauważył. – Zawsze trafiają na świetny towar. – Zamyślił się. – Ale wtedy... – Urwał, spojrzął w prawo, na obskurny dworzec London Bridge, wynurzający się ze śnieżycy jak duch. – Ale potem stało się niewyobrażalne. – Niebieskie oczy rozbłysły. – Trup, którego Drood wziął do pomocy, wywęszył nowe serce. Poszli za dziewczyną na Phillimore Place, wycięli je z jej piersi, jak już wiele razy przedtem. Jednak dziewczyna wstała i odeszła. Bez serca.

– I wtedy pan wiedział, że odnalazł serce nieba.

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Wiedziałem jedynie, że znalazłem kogoś tak innego, że musi pochodzić z firmamentu. Nie miałem jednak pojęcia, kto to, bo dziewczyna uciekła. Potem jednak Drood wymienił imię, które usłyszał na mieście – Heaven. – Znacząco skinął głową. – Oczywiście wiedziałem, kto to. Tak zawsze Jonathan zwracał się do córki.

Samochód skręcił w High Borough Street i nadal zmierzał w kierunku Southwark.

– Wysłałem Drooda i trupa do Richmond, ale Heaven już tam nie mieszkała. Okazało się, że jakiś czas wcześniej wyprowadziła się do miasta i nikt nie znał jej adresu. Odwiedziłem Jonesa, który uparcie twierdził, że nie wie, gdzie ona jest. Następnego dnia nie zjawiała się na zajęciach, a mnie kończył się czas. Musiałem ją odnaleźć, nie tylko ze względu na siebie.

David uśmiechnął się pogardliwie.

– Czyżby?

– Heaven ma w piersi tylko lodowe serce nieba. Serce elfa, jeśli wolisz. Ale umrze i wróci na nieboskłon, jeśli nie odzyska ludzkiego serca.

– A jej ludzkie serce....

Pan Sims wskazał swoją klatkę piersiową.

– Bije tutaj. Przyniósł mi je Drood.

Davidowi zbierało się na mdłości i przez chwilę obawiał się, że zwymiotuje na drogą skórzaną tapicerkę. I może to byłoby najlepsze. Po prostu narzygać na tego typu.

– Kiedy zrozumiałem, że wkrótce umrze, wiedziałem, że muszę działać szybko. – Zerknął na Davida. – I dlatego tu jesteś. Musisz coś dla mnie zrobić.

– Wcale nie chodzi panu o Heaven – wyszeptał David. – Tylko o jej drugie serce.

Sims skinął głową.

– Och, oczywiście. Kiedy zdobędę jej serce, wrócę do mojego świata. Zamieszkać wysoko nad Londynem, stanę się częścią nocnego nieba. Będę robił to, co zazwyczaj robią tylko elfy.

David nagle poczuł, że jego głowa jest lekka, nic nie waży, jakby była

z waty. Miał wrażenie, że Sims pominął jakiś szczegół w swojej opowieści.

– Dlaczego właściwie pan mi to wszystko opowiada? – zadał najważniejsze pytanie.

– Chcesz jeszcze raz zobaczyć Heaven? Pojedziesz ze mną. Poza tym mam dla ciebie zadanie. Bardzo ważne.

– Nic dla pana nie zrobię.

– Jesteś pewien?

– Niby dlaczego miałbym?

Z uśmiechem opadł na oparcie.

– Bo tam, dokąd jedziemy, czeka Scrooge. – Popatrzył Davidowi w oczy.

– I tylko on ma antidotum.

David poczuł, jak coś ściska go za gardło.

– Antidotum?

– Na truciznę, którą właśnie zażyłeś.

David zajrzał do pustej szklanki. Na dnie zobaczył biały osad.

– Pan...

Sims nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Nie, to nie jest trucizna – zapewnił. – Trucizna nie zostawia śladów.

David przyglądał mu się z przerażeniem.

– Ten biały proszek to środek usypiający.

– Ja...

Barwy nabrały intensywności. Świat rozpływał się przed oczami. Widział jeszcze, jak opada szyba oddzielająca pasażerów od szofera, słyszał, jak kierowca informuje, że wkrótce dotrą na miejsce. Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, że zbliża się coś gigantycznego, a potem głowa opadła mu na oparcie. Zamknął oczy, odpłynął w nicość. Pomyślał jeszcze: cholera, znowu nieprzytomny, a potem rejestrował już tylko delikatne kołysanie i zapach pobliskiej Tamizy.

ROZDZIAŁ 17

LONDON EYE

David Pettyfer był wysoko nad dachami Londynu, tak wysoko jak nigdy dotąd. Daleko w dole, po drugiej stronie rzeki, widział Big Bena, gmach parlamentu, Westminster Bridge – malutkie jak miniaturki na makiecie. Cały Londyn wydawał się mały, od Southwark aż hen, po horyzont. Na niebie pustka ziała jak podarty namiot, od centrum na południe aż do Southwark, na przedmieścia South Bank, na północy – aż do Spitalfields, i dalej do Soho.

W powietrzu wirowały płatki śniegu. Miasto wyglądało jak uwięzione w szklanej kuli, którą wystarczy potrząsnąć, by wywołać śnieżycę.

Dotknął dłonią grubego szkła. O wiele niżej widział czarną limuzynę, którą tu przyjechał. Nie pamiętał, jak znalazł się w gondoli, ale teraz był tutaj. Gondola była wielka i zamknięta. Pośrodku znajdowały się plastikowe szare foteliki. Wypełniało ją ciepłe powietrze napływające dzięki klimatyzacji, czemu towarzyszył cichy, monotony szum jak bzyczenie pszczoł. Podłoga leciutko wibrowała pod nogami.

Był sam.

Bardzo szybko zorientował się, że uwięziono go w miejscu, z którego nie sposób się uwolnić. Pod nim rozciągały się Jubilee Gardens. Na zachodnim skraju przed laty wybudowano London Eye, monstrualnie wielki diabelski młyn, cud techniki ze stali, szkła i stalowych lin, wysoki na sto trzydzieści pięć metrów. Z oddali przypominało oko, czujne, obserwujące. Trzydzieści dwie gondole, każda mogąca pomieścić ponad dwudziestu pasażerów, każda będąca pokłonem dla dzielnic Londynu.

Białe, eleganckie elementy konstrukcji nadawały London Eye wygląd gigantycznego koła od roweru. Olbrzymie gondole, zawieszane na kole jak wielkie jaja, obudowano szkłem, tak że pasażerowie mieli widok na wszystkie strony.

I właśnie tam uwięzili Davida. Ocknął się w plastikowym foteliku. Oceniając po wysokości i tempie, z jakim przesuwała się gondola, pomyślał, że tkwi tu co najmniej od piętnastu minut.

Wpatrywał się w szklaną szybę. A teraz co?

Nie po raz pierwszy zadawał sobie to pytanie, to i wiele innych. Gdzie jest Sims? Co to wszystko ma znaczyć? Zerknął na Big Bena, stąd wręcz mikroskopijnego. Na szczęście nie minęło dużo czasu, a zatem stracił przytomność na krótko.

Martwiła go też ta sprawa z antidotum.

Pozostałe gondole były puste, jeśli dobrze widział. Były oświetlone, całe Millennium Wheel, jak brzmiała oficjalna nazwa, spowijało morze barwnych ledowych diod, mrugających jak żywe istoty, ale w żadnej gondoli nie widział ludzi. Czyli diabelski młyn zamknięto już na noc, a Sims pociągnął za sznurki, żeby tej nocy zrobić tu, co chciał.

David zaklął. Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego tu jest? Pomyślał o Heaven i o wszystkim, co opowiedział mu Sims.

Koło obracało się powoli. Tak cholernie powoli.

Gniewnie zacisnął pięści. Właśnie ta powolność pogarszała sytuację, koszmarną świadomość, że jest uwięziony, póki gondola nie wróci na ziemię.

Przed chwilą znajdował się w najwyższym punkcie i zaczął powoli opadać, gdy nagle za sobą, czy raczej nad sobą, cztery gondole dalej, zobaczył pasażerów. Wpatrywał się uważnie w szklaną kapsułę z trójką osób.

Jedna z nich była wysoka i szczupła. Niesforne włosy okalały pociągłą twarz. A kiedy kopnęła w przeszkloną ścianę, chciało mu się krzyczeć z radości.

Heaven!

To ona, zdecydowanie! Tkwiła nad nim w jasno oświetlonej kabinie. I nie była sama. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, doskonale widocznych. Panowie Sims i Drood. Nie widział jednak, co robią.

Heaven nie była już tak osłabiona. Stała przy oknie, przerażona, ale cała i zdrowa.

Nerwowo wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, a potem spojrzała w dół i zobaczyła Davida.

Rozpromieniła się na chwilę, ale zaraz spoważniała. Na jej twarzy malował się strach, poznał to po tym, jak się skuliła.

Sims skinął głową. Trzymał coś w dłoni. Davidowi wydawało się, że widzi oddechy obu mężczyzn, unoszące się w gondoli jak małe obłoczki. Pewnie wyłączyli ogrzewanie i na pełny regulator ustawili klimatyzację.

Sims uniósł przedmiot, który wyglądał jak pilot od telewizora, i nagle coś zatrzeszczało w ukrytych w ścianach głośnikach. David wyraźnie słyszał głosy pasażerów tamtej gondoli. Rozmawiali o elfach. I sercu. Wiecznie ten sam temat: serce.

– Heaven?! – zawołał i uderzył pięściami w szybę.

Nie odpowiedziała.

Widział za to, jak Sims podszedł do okna, stanął obok Heaven i pokazał jej coś na gondoli Davida, coś na dachu, nad jego głową.

Podniosła dłoń do ust. Sims z uśmiechem spojrzał na pilota.

– Co pan chce mu zrobić? – Głos Heaven w głośnikach był tak wyraźny i wściekły, jakby stała tuż obok.

David zacisnął powieki. Co do tego stopnia wyprowadziło ją z równowagi?

Sims poszukał jego wzroku. Wiedział, że David go słyszy. A także, że to działa tylko w jedną stronę.

– Nie domyślasz się? – Spojrzał na Heaven.

– Nie zrobię tego.

– W takim razie pokażę ci coś, co być może sprawi, że zmienisz zdanie – mruknął.

Rozległ się huk. David skulił się odruchowo. Co to było? Brzmiało jak niewielki wybuch gdzieś z boku. Ciszę przeciął metaliczny trzask. Dobięgl z miejsca, gdzie gondola była przymocowana do wielkiego koła.

Zakołysała się. Metal zazgrzytał o szkło, głośno, przeraźliwie, groźnie. Gondola kołysała się niebezpiecznie, co właściwie było niemożliwe, bo teoretycznie solidnie ją umocowano. Szyna łączyła ją z wielkim kołem, pozwalając jedynie, by obracała się jak jajo, podwieszona pod okręgiem.

– Cholera, co jest?! – krzyknął.

Ponad sto metrów nad ziemią odnalazł zrozpaczone spojrzenie Heaven. W tej chwili w ogóle nie myślał o antidotum.

– Wybór należy do ciebie – powtórzył Sims.

– Nie. – Słyszał błaganie w jej głosie.

– Przykro mi, że muszę posuwać się do takich środków.

Gondolą Davida wstrząsnęła kolejna eksplozja. I znów ten trzask, tym razem z drugiej strony. Gondola się zakołysała. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Na jego oczach wielka śruba spadła w przepaść.

David trzymał się dwiema rękami, żeby nie upaść. Wolał nie patrzeć na śrubę. Wpadnie do Tamizy. Ważniejsze, skąd właściwie wypadła.

– Co...?

Nie zdążył powiedzieć nic więcej.

– Wolna wola – wyjaśnił Sims w głośnikach. – Musisz mi je oddać z własnej woli.

Heaven cofnęła się o krok. Uparcie pokręciła głową, David widział to wyraźnie.

– Nie – powiedziała.

I w tym momencie David zaczął rozumieć, przemknęło mu przez głowę, że Sims jest mistrzem prostych, ale skutecznych planów.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Sims potrzebował zimnego serca elfa, żeby wrócić na niebo, jednak z powodów, których David nie znał ani nie rozumiał, które tak naprawdę były mu obojętne, Heaven musiała oddać mu serce z własnej woli. To dlatego kazał ją sobie przywieźć. Dlatego jej nie zabił. I dlatego potrzebował Davida.

Był jego kartą przetargową.

– Jeśli chcesz uratować mu życie, zrobisz to – rozległo się w głośnikach.

David uderzył pięściami w szybę.

– Cholera – zaklął na głos. – Cholera, cholera, cholera!

Heaven patrzyła na niego.

Czytała z ruchu jego ust: NIE!

Nie mogła tego nie zrozumieć.

Słyszał jej głos w trzeszczących głośnikach.

– On mnie rozumie. – Zerknęła na Simsa. – David? – Podeszła do okna, patrzyła na niego wielkimi oczami.

Sims obserwował ją bez słowa.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała błagalnie. Wpatrzona w Davida, wyszeptała jego imię, nic więcej.

David krzyczał z wściekłości, chciał się ruszyć, pobiec, by dać upust swojej złości i bezsilności, ale nie śmiał drgnąć w uszkodzonej gondoli, cały czas chyboczącej się niebezpiecznie.

– Jeśli pan go zabije, nigdy nie dostanie pan mego serca – powiedziała głośno.

– Eve i Julian, hipisi z barki, będą następni. – Tym razem odezwał się Drood, Heep, Scrooge czy jak się tam nazywał.

– Ty draniu!

David cofnął się o krok. Musiał pomyśleć. Zawsze jest jakieś wyjście. Trzeba tylko pomyśleć.

Zmusił się, by oddychać głęboko, aż poczuł, jak panika ustępuje. Rozejrzał się dookoła. Wysoko w dachu gondoli dostrzegł klapę – wyjście awaryjne. Nie wiedział, czy zdoła je otworzyć, ale nie miał wyboru. Wszedł na plastikowe siedzenie, wspiął się na palce, dosięgnął uchwytu w klapie, szarpnął i zerwał blokadę.

Nie zwracał uwagi na ostrzeżenia, że z wyjścia można korzystać jedynie w sytuacji awaryjnej.

– Awaria – mruknął, bo musiał coś powiedzieć. – Megaawaria.

Uchylił klapę i do gondoli wdarło się lodowate powietrze. Poczul na twarzy płatki śniegu.

Na dworze hulał wiatr, a wręcz rozszalała się koszmarna śnieżycyca.

Zeskoczył z plastikowego siedziska, podbiegł do szyby.

Heaven cały czas opierała się napastnikom. David oszacował odległość od najbliższej gondoli i wskoczył na siedzenie.

Tym razem podciągnął się na rękach, przecisnął przez ciasną szparę i przez chwilę leżał na brzuchu na dachu gondoli.

Tu, wysoko, wiał przeraźliwy wiatr. Jeden fałszywy krok i runie w przepaść, sto metrów w dół. Przy odrobinie szczęścia od razu utonie w Tamizie, w najgorszym wypadku roztrzaska się o asfalt.

Ambulans nie będzie potrzebny, raczej służba oczyszczania miasta.

Cholernie wysoko.

Pomyślał o tym, jak bardzo kocha londyńskie dachy. Ale to bułka z masłem w porównaniu z tym. Zwłaszcza że panowała noc, co komplikowało sprawę.

Sims zorientował się, co planuje. I David to widział.

Sims zareagował pierwszy. Wydał polecenie Droodowi. Cztery gondole od Davida mężczyzna w czarnych rękawiczkach też otworzył wyjście awaryjne i wyszedł na dach przeszklonej kabiny, przeskoczył na metalową szynę i przesuwał się do przodu. Wyglądał absurdalnie w eleganckim garniturze, ze staraniem przystrzyżonymi włosami, niepasującymi do oczu drapieznika i zakrzywionego noża trzymanego w zębach.

Był szybki, piekielnie szybki.

Dobra, to komplikuje sytuację, ale czego innego się spodziewał?

David rozejrzał się dookoła.

Cały czas leżał na brzuchu. Tu, wysoko, było cholernie zimno, jeśli poczeka jeszcze chwilę, mięśnie mogą odmówić mu posłuszeństwa.

Wstał ostrożnie i z całej siły zacisnął dłonie na metalowej rurze.

Miał bardzo ograniczone pole manewru. Gondola chwiała się przy każdym ruchu. Spojrzał niespokojnie na gigantyczne zawiasy mocujące ją do koła. Były uszkodzone albo tak obciążone, że nie wytrzymają długo. W wielu miejscach widział czarne paczuszki.

Materiał wybuchowy.

Zerknął przed siebie. Drood był coraz bliżej. Miał tylko jedno wyjście – przejść obok niego.

Szedł powoli, koncentrując się na tym, żeby nie patrzeć w dół. Wykorzystywał wszystko, czego nauczył się na dachach: poruszać się razem z wiatrem, utrzymywać równowagę mimo lodowatych powiewów.

Przesuwał się do przodu, chwycił potężnych śrub miejscami wystających z konstrukcji. Ale stalowe pręty były gładkie i bardziej śliskie niż omszałe dachówki, które znał do tej pory. Trudno było mu się poruszać, bo gondola wciąż się powoli kręciła.

Wyciągnął rękę. Musiał zrównoważyć wiatr i ruch koła, inaczej niechybnie runie w przepaść.

Odczekał chwilę i rzucił się w przód.

Dobrze, kolejna podpora. Odetchnął głęboko i w tej chwili diabelski młyn zadrżał nieoczekiwanie.

Cholera, pomyślał i spadł.

Rozpaczliwie machał rękami. Nagle, nie wiadomo dlaczego, pomyślał: cholera. A potem poczuł metal pod palcami i zacisnął je instynktownie. Drugą ręką też się chwycił.

Dyszał ciężko. Jego oddech unosił się jak mgła w zimnym powietrzu.

Wbrew sobie spojrzął w dół. Czerwone trampki dyndały nad bezlitosną przepaścią. Ból w ramionach kusił, radził, żeby dał sobie spokój, puścił, poddał się.

– Nie!

Jego krzyk przeciął noc. David rozkołysał się, usiłował zahaczyć stopami o podporę.

Gdzie ona jest, do cholery?

W końcu namacał ją, przesunął się tak, że wyczuwał ciałem ruch diabelskiego młyna. Jęknął cicho, bo bolały go wszystkie mięśnie rąk i nóg, a zimno dodatkowo dawało się we znaki. Ale to nie szkodzi. Żył.

Dobrze, dalej. Pospiesznie zerknął przed siebie. Drood był coraz bliżej. Miał przewagę. David wspinał się – Drood schodził coraz niżej. Co jakiś czas po prostu opadał, co znacznie przyspieszało jego wędrówkę.

Gondola z Heaven i Simsem znajdowała się wysoko. Wkrótce całkiem straci ich z oczu.

Wspinał się dalej. Zdarł sobie skórę na dłoniach, coraz częściej czuł, jak przemarznięte palce wygina skurcz. Nie miał pojęcia, co robi, gdy dojdzie do Drooda. Wiedział jedynie, że dłużej tak nie wytrzyma, że to już koniec.

I właśnie w tej chwili Drood znalazł się tuż nad nim.

Ostatni dzielący ich odcinek pokonał jednym susem, skoczył i pewnie, miękko wylądował na podporze koło Davida. Chwilę później dłoń w czarnej rękawiczce złapała go za ramię i pchnęła na metalowy drąg. David z całej siły walnął go łokciem w żołądek i spróbował się wyrwać. Nic z tego. Nie mógł się uwolnić od mężczyzny w czarnych rękawiczkach.

Drood uderzył go w brzuch. David jęknął głośno.

– I czemu tak się męczysz, chłopcze? – Usłyszał cichy głos, który rozpoznałby zawsze i wszędzie. – Nie wiesz, że znajdziemy innych, na których jej zależy? – Uśmiechał się.

David zastanawiał się gorączkowo, kim właściwie jest ten drań, gdy nagle do niego dotarło, że Drood mówi, a to oznacza, że jego nóż jest nie w ustach, ale w dłoni.

Przed jego oczami wykwitła srebrzysta smuga. Uskoczył, uchylił się i cudem uniknął ciosu. Chwycił się oblodzonej stalowej liny, nie utrzymał się, runął w dół, uderzył plecami o siatkę, przetoczył się w bok i kurczowo złapał elementu konstrukcji.

Drood przyglądał mu się z góry z tym swoim przyjaznym uśmiechem. A potem podszedł bliżej.

David nerwowo chwycił powietrze ustami. Spojrzął w dół. Gondola, z której wyszedł, znajdowała się zaledwie trzy metry niżej, a jemu wydawało się, że wspinał się na Mount Everest.

Osiemdziesiąt metrów w dole płynęła Tamiza.

Drood znowu skoczył i tym razem rzucił się na Davida z całym impetem. Wpadli na grube kable. Zimny powiew pchnął Davida na podpory. Krzyknął z bólu.

Drood z całej siły uderzył go w twarz. David zatoczył się do tyłu. Kątem oka dostrzegł błysk ostrza. Uchylił się, ale i tak poczuł draśnięcie na szyi. Odruchowo podniósł rękę do rany i puścił podporę.

Tym samym stracił ostatni punkt oparcia i w ułamku sekundy, zanim runął w przepaść, zdążył jeszcze pomyśleć: nie, nie, to niemożliwe, nie może tak być, nie może zginąć, nie pokonawszy tego drania. I wtedy jego dłonie zacisnęły się na pasku Drooda.

Po sekundzie Drood też stracił równowagę i razem z Davidem runął w przepaść.

David rozpaczliwie machał rękami, szukał czegoś, czego mógłby się złapać. Na darmo. A więc tak to jest, kiedy się umiera, przemknęło mu przez głowę.

A potem pomyślał o Heaven, tak intensywnie, jak jeszcze nigdy o nikim nie myślał. Myślał o tym, jak się śmiała, jak zasypiała w jego ciuchach w lodowatym pokoju, jak mówiła przez sen, jak wyglądała rano po przebudzeniu. Myślał o chwilach, które znikną na zawsze, jeśli to się skończy tu i teraz, tak jak musi się skończyć. Wszystko...

Nie!

Poczuł coś.

Podczas spadania.

Coś go chwyciło, coś zimnego, ale nie był to lodowaty wiatr.

Miał wrażenie, że ktoś go unosi. Jakby leciał, ale jakoś tak dziwnie. Wszystko działo się tak szybko, że nie wiedział nawet, czy to naprawdę się zdarzyło.

Przez chwilę unosił się w powietrzu, tak, właśnie tak, unosił się w powietrzu, a potem brutalnie wpadł na podporę. Krew płynęła mu z nosa, ale nie zwracał na to uwagi. Nie zginie, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Drood spadał dalej, coraz niżej, aż dłoń w czarnej rękawiczce trafiła na metalowy pręt. Z nieludzką, jak się Davidowi wydawało, siłą przytrzymał się, podciągnął i opadł na najbliższą gondolę. Dopiero po chwili David zdał sobie sprawę, że to ta gondola, z której tak niedawno wy dostał się przez dach.

Nocą wstrząsnął głośny trzask. Drood wydawał się zdziwiony. Ostatni zawias nie wytrzymał.

David patrzył, jak gondola, na której ciągle stał Drood, odrywa się od diabelskiego młyna szybciej, niż wydawało się to możliwe. Przechyliła się na bok, a potem runęła w przepaść, kręcąc się wokół własnej osi, i dopiero wtedy Drood, który już od dawna nie stał na dachu, zaczął krzyczeć. Wiatr wchłonął jego głos

i został już tylko głuchy odgłos, daleko, daleko w dole, gdy Tamiza gwałtownie trysnęła fontanną brudnej wody.

David dyszał głośno. Kurczowo trzymał się podpory, do której przyniosła go nieznana moc, i zbierał resztki sił. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, zanim w końcu zaczął się wspinać.

Był obolały, miał zeszywniałe mięśnie, dygotał z zimna, ból przeszywał go przy każdym ruchu wielkiego koła, ale uparcie brnął dalej i zatrzymał się dopiero przy gondoli z Heaven.

Sims, który cały czas trzymał w dłoni coś, co wyglądało jak pilot, a w rzeczywistości było zdalnym detonatorem, nie odrywał od niego wzroku. David nie miał pojęcia, co planował.

Heaven tymczasem wydostała się na dach i czekała na niego. Podała mu dłoń, jeszcze zimniejszą niż jego, i razem wskoczyli do gondoli.

David odchrząknął.

– Heaven. – wychrypiął. – Ty...

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Była zimna, ale znajoma. Całowali się znowu, głęboko, mocno, jakby po raz ostatni.

– Ty to zrobiłaś? – zapytał w końcu. – To ty...?

Skinęła głową.

– Nie pytaj jak.

– Nie wiesz?

– Bałam się o ciebie, to wszystko.

Widział swoje odbicie w jej oczach. Zaszły łzami.

– Elfy są do tego zdolne – odezwał się Sims. Włosy sterczały mu jak siwa trawa. Wydawał się o wiele starszy.

– Nie jestem elfem – powiedziała Heaven.

– Ale twoja matka była. – Sims wydawał się zmęczony. – I przekazała ci część swojego serca.

– Jestem tylko Heaven – powtórzyła i cichutko dodała: – Freema.

– Wszystko, co trafi na ziemię, staje się żywą istotą – ciągnął Sims. – To magia, która łączy otaczające nas światy. – Uśmiechnął się lekko. – Wszędzie w niebie zieją dziury, które prędzej czy później znikną. Bo jest tak, jak głoszą legendy. Elfy po śmierci wracają tam, skąd przyszły, ale póki są na ziemi, pomagają ludziom. I na tym polega magia serca, które masz w piersi.

– Jestem Heaven – powtórzyła, jakby to imię było zaklęciem.

David stanął między nią a Simsem. Nie wiedział, co teraz nastąpi, ale zorientował się już, że komety uwielbiają sztuczki i triki i nigdy nie można ich nie doceniać.

– Proszę dać nam spokój – odezwał się. – To już koniec. Nie dostanie pan tego, czego chce.

Sims popatrzył na detonator w dłoni.
– Drood nie żyje. – Cisnął go na ziemię.
– A antidotum?
Sims uśmiechnął się lekko.
– Nie ma żadnego antidotum.
David pobladł.
– Nie ma antidotum, bo nie ma żadnej trucizny – wyjaśnił.
Heaven odetchnęła z ulgą. David był zbyt oszołomiony, by zareagować.
Gondola powoli, nieznacznie powoli, zbliżała się do ziemi.
Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.
– Zastanawiacie się pewnie, co teraz zrobię. – Sims był spokojny. Patrzył na Londyn. – Tyle świateł. Życie zawsze toczy się dalej, prawda? – Dokoła padał śnieg, jak miliony malutkich marzeń. – Jesteśmy tylko pasażerami na gapę, których nigdzie nie brakuje.
– Co pan planuje? – zapytał David.
Sims wzruszył ramionami.
– Nic – wyznał znużony. Spojrzał w niebo. Czarna pustka sięgała od Kensington do Hampstead.
– Poddaje się pan? – David nie wierzył własnym uszom.
Skinął głową.
– Tak – odparł sucho. – Jeśli chcesz to tak nazwać. Poddaję się. – Jego twarz pokrywała siateczka zmarszczek. Nagle nie był już wyniosły i zdeterminowany, tylko nieskończenie smutny.
– Nie – odezwała się Heaven. Głęboko zaczerpnęła tchu.
Popatrzył na nią.
– Nie? – Pytająco uniósł brew.
– Nie musi pan rezygnować – wyjaśniła spokojnie. – Dostanie pan to, czego pan chce. Wróci pan do domu. – Zdecydowanie w jej głosie zdradzało mądrość, której nie rozumiał żaden z nich – tylko ona.
Podeszła do Simsa. Po chwili zrozumiał także David.
– Co ty wyprawiasz? – Słyszał panikę w swoim głosie.
Spojrzała na niego.
– Nie obawiaj się, wiem, co robię.
– Bzdura. Nie masz zielonego pojęcia. Najmniejszego.
Pokręciła głową.
– Czuję, co muszę zrobić. Tak samo jak wtedy, gdy spadałeś. – Spojrzała na niego ciemnymi oczami. – Muszę to zrobić. Chociaż nie. – Pokręciła głową. – Chcę to zrobić.
Stała przed Simsem, wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego piersi, tam gdzie w jego ciele było jej serce.

Sims przyglądał się jej uważnie. I jeśli kiedykolwiek w oczach komety zaśniło światło odległych nadziei, to właśnie wtedy, w tamtej dziwnej chwili wysoko nad dachami Londynu.

– Jeśli mi pomożesz – uprzedził – staniesz się zwyczajnym człowiekiem. Umrzesz jak oni i nigdy nie wrócisz do matki.

Skinęła głową. Miała łzy w oczach.

– Wiesz już, co potrafisz – mówił powoli, jakby chciał skłonić ją do zmiany decyzji. – Uratowałaś Davida, bo bardzo tego chciałaś. Jeśli oddasz mi serce, stracisz tę moc.

– Nie jestem elfem. – Uśmiechnęła się słabo. – Ale rozumiem to.

Z jej dłoni dobywało się światło, początkowo blade, potem coraz mocniejsze. Poruszyła palcami. Jej skórę pokrywały kryształki lodu, a oddech zamieniał się w szron i przez chwilę nawet jej oczy wyglądały jak skute lodem jeziora, w których mroku szukamy cudów.

Sims rozchylił usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nagle na jego piersi pojawiła się warstewka lodu. Ogarniała całe ciało, wędrowała w górę, na szyję, zasnęła mgłą jego spojrzenie. Zamroziła oddech i wtedy w jego wnętrzu zapłonęło coś ciemnoczerwonego.

Ogień topił lód na dłoni Heaven, wędrował po jej ciele, wnikał do środka i lód, który ją spowijał, zniknął tak nagle, że wydawało się, iż to tylko sen. Odkasznęła płatkami śniegu, które, jak przyciągane magnesem, mknęły w kierunku tego, co kiedyś było Simsem.

Zimno rozprzestrzeniało się na szyby. Nawet z klimatyzatora sypał śnieg.

Na szybach pojawiły się długie rysy.

David podszedł do Heaven i zamknął ją w ramionach. Ukryła twarz na jego piersi. Szyby pękły. Gondolę zasypały odłamki szkła.

Sims był przezroczysty jak kostka lodu. Widzieli jego wnętrzości. Poruszył się, żywy i szczęśliwy, bo lodowaty podmuch we włosach niósł zapowiedź powrotu do domu.

Owiał go wiatr i lód, w który zmienił się Juno Sims, rozpadł się na tysiące kryształków, a te w podmuchach wichury wyleciały z gondoli i niesione wiatrem wznosiły się wyżej i wyżej.

Heaven wysunęła się z objęć Davida.

– Jak to zrobiłaś?

Nie odpowiedziała. Nie umiała wyjaśnić.

Gondola płynnie zmierzała ku ziemi. Patrzyli, jak na niebie pojawia się blask.

David poczuł dłoń Heaven w swojej. Była ciepła, równie ciepła jak serce, które ponownie biło w jej piersi. Prawdziwa jak życie, które mieli przed sobą.

A sekundę później nad Londyn wróciło niebo i tam, gdzie jeszcze przed

chwilą królowała pustka i ciemność, pojawiły się światła. Po tylu latach nad miastem ponownie była prawdziwa noc, taka, jaką znali tylko z opowieści.

Heaven patrzyła w niebo jak dziecko na dawno niewidzianą osobę.

– Jesteśmy tylko pasażerami na gapę – powiedziała cicho. – Póki nie znajdziemy kogoś, kto daje nam prawo do dalszej podróży. – Śmiała się i płakała na przemian. Zarzuciła Davidowi ręce na szyję. Przyciągnął ją do siebie i oboje wiedzieli, że to nie koniec, lecz początek. A gdy gondola dosięgła ziemi, wyszli prosto w życie, które od kilku chwil w końcu należało tylko do nich.

EPILOG

Żadna opowieść, która zaczyna się jak baśń, nigdy tak naprawdę się nie kończy. Trwa dalej, nawet gdy opadnie kurtyna. David Pettyfer, który jak pasażer na gapę przyjechał z Cardiff do Londynu, wiedział o tym najlepiej.

Z Heaven u boku szedł krętą ścieżką prowadzącą na wzgórze pomiędzy nagrobkami. Mchy i bluszcz znikły pod cienką warstwą śniegu. Krypty o egipskim wyglądzie, zdobione płaskorzeźbami i kolumnami, przywodziły wspomnienia, których jeszcze długo się nie pozbędą. Wiatr drapał nagimi gałęziami w kamienne tablice. Nieczynne latarnie oferowały cień.

– Przyszło ci do głowy, że tak to wszystko się skończy? – zapytała Heaven. David objął ją ramieniem. Myślał o tym, gdzie byli.

Cmentarz Highgate.

Niecały tydzień temu pochowali pana Mickeya. Heaven opowiadała o nim codziennie, wspominała historie z jego udziałem.

Julian i Eve nie przyszedli na pogrzeb, bo Julian nadal leżał w szpitalu. David codziennie wpadał do szpitala St. Bartholomew, gdy wychodził z antykwariatu, później szedł do Little Venice, gdzie teraz mieszkał. Człowiek szybko przyzwyczaja się do nowości i teraz wydawało mu się, że od zawsze mieszka na ciasnej barce pełnej książek i drobiazgów.

Przez kilka dni po tajemniczych wydarzeniach, których finał rozegrał się na London Eye, David i Heaven codziennie wykradali się na dach domu przy Phillimore Place 18, tam gdzie wszystko się zaczęło. Nieruchomo wpatrywali się nocne niebo, które wreszcie wróciło na miejsce, bo zdarza się, że zagubiona istota odnajduje swoje niebo nie tam, gdzie się tego spodziewała.

Nocami, gdy się budził, delikatnie wsuwał dłoń pod koszulkę śpiącej obok dziewczyny i czuł bicie jej serca. Wybijało melodię, która teraz nadawała rytm jego życiu.

Heaven pociągnęła go za rękę i w ślad za nią ruszył wąską ścieżką, której strzegły bezgłowe anioły na wysokich postumentach, blade dziewice z marmuru i czuwające lwy. Doszli do małego zagajnika. Otaczała ich biel i cisza.

Panna Trodwood nie była zadowolona, że David się wyprowadza. Na pożegnanie objęła go nawet i jednocześnie upomniała, że skoro teraz mieszka w Little Venice, musi wcześniej wstawać, żeby nie spóźnić się do pracy. A potem objęła też Heaven. Z poważną miną poprosiła, żeby nie narobili jej kłopotów w wielkim świecie. Dali jej słowo i oboje zamierzali go dotrzymać, zwłaszcza David.

Pan Merryweather tymczasem zlecił starszej pani wytropienie kolejnej książki. Życie toczyło się dalej, jakby nigdy nie zatrzymało się ani na chwilę

– i być może dzięki temu skrzyżowały się ścieżki, które powinny były przeciąć się o wiele wcześniej.

W mediach huczało od rozważań, jak doszło do powrotu nieba nad Londyn. W brukowcach królowały szalone teorie, ale nikt nigdy się nie dowie, co wydarzyło się naprawdę.

– Niektóre sprawy muszą pozostać tajemnicą – skwitował pan Merryweather.

David i Heaven wiedzieli, co miał na myśli. Pojechali do Richmond i zajęli się pogrzebem pana Mickeya. Okazało się, że miał krewnych, o których nigdy nie wspominał, ale którzy stawili się na uroczystości. A David przekonał się, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, a podejrzania to omamy, po których zostaje jedynie nieczyste sumienie.

Heaven zamierzała sprzedać dom w Richmond, gdy tylko znajdzie się kupiec. To był ostatni ciężar, którego chciała się pozbyć.

Światem finansowym wstrząsnęło zniknięcie Junona Simsa, ale po kilku dniach i ta sensacja spadła na ostatnie strony gazet, na które nikt już nie zagląda.

– Jak myślisz, jest szczęśliwy? – zapytała Heaven dzień po dramatycznych wydarzeniach na London Eye.

David, który nie polubił Junona Simsa, odpowiedział:

– Życzę mu tego, żeby był, naprawdę. – A po chwili dodał: – Tak.

Spojrzeli w górę, na zdrowe niebo nad światem, w którym wszędzie czają się istoty magiczne. Może nawet w Cardiff, może nawet tam.

Doszli do grobu rodziców Heaven. Spod śniegu wystawała jedynie górna część skromnego nagrobka.

I napis:

Jonathan Mirrlees i River Mirrlees.

– Cześć – szepnęła Heaven. Podeszła bliżej, dotknęła imienia matki. – Witaj, elfie. – Wiedziała, że matka nie leży na Highgate, że żyje nad Londynem. Wiedziała, że często rzeczy mają się inaczej, niż nam się wydaje.

David ukląkł koło niej, ostrożnie starł śnieg z dolnej części nagrobka i ich oczom ukazało się jeszcze jedno nazwisko, świeżo wryte w kamieniu: Sarah Jane Cavendish.

Wstał, wziął Heaven za rękę.

– Kocham cię – powiedział w ciszy. Pocałował ją tak, jak zawsze ją całował, jakby to był ostatni raz. – Heaven, moja Heaven. – A potem zabrał ją stamtąd – od dziwów, przeszłości, śmierci i smutku – i pociągnął ze sobą do miasta, które odzyskało niebo. Tam gdzie czekało życie, szalone, nieokiełznane, pełne tej magii, którą jest zwykła rzeczywistość.

POSŁOWIE

Zacząło się od piosenki, którą Dick van Dyke i Julie Andrews śpiewają nad dachami Londynu: *Chim Chim Cher-ee*. Z melodii zrodziła się historia, która aż się prosiła, by ją opowiedzieć. A gdy towarzyszyłem Davidowi i Freemie w ich wędrówce w poszukiwaniu serca, dochodziły kolejne melodie, bo muzyka jest zawsze tym, co budzi świat do życia. Dziękuję Murrayowi Goldowi, Yamit Mamo, Neilowi Hannonowi, czyli The Divine Comedy, i tobie, Theo Gilmore, i Glasvegas. Bez waszej muzyki nie byłoby Heaven, to jasne.

Chciałbym także podziękować całemu zespołowi wydawnictwa Arena: mojej cierplivej redaktorce Christiane Düring, która dzielnie stawia czoło potworom terminów, i Katrin Weller, która od początku mówiła jasno, co sądzi o tej opowieści.

Christian Rocas, prawdziwy pan i władca strony www.christophmarzi.de, zadbał o to, by wszystko to, co nie chce przerodzić się w powieść lub opowiadanie, znalazło dla siebie miejsce w internecie. Pracownicy biblioteki miejskiej w Saarbrücken nadal nie nasłali na mnie zbirów, choć skandalicznie przetrzymałem wypożyczone książki, i za to bardzo im dziękuję. A Catharina przeczytała pierwszy rozdział i poprosiła, żebym pisał jeszcze szybciej.

Nie mógłbym pominąć Londynu ze starych powieści i filmów BBC, miasta, które wciąż na nowo mnie fascynuje.

Ale przede wszystkim, jak zawsze, chcę podziękować mojej rodzinie – Tamarze, Catharinie, Lucii i Stelli, które co dzień na nowo przypominają mi, że moje życie jest szalone, nieokiełznane, pełne tej magii, którą jest zwykła rzeczywistość.

[*] Gdzie prawie nie ma dnia i prawie nie ma nocy
Świat na pół w cieniu i na pół w świetle
Na dachach Londynu, och, co za widok!

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

